

KARENYOUNG

OBIETNICA

PROLOG

Savannah, Georgia - 1994 r.

Ogród różany był jednym z jej ulubionych miejsc.

O tej porze roku panowało tam istne szaleństwo barw. Było ciepło, powietrze wypełniał silny aromat kwiatów. Kathleen zatrzymała się przy zegarze słonecznym i stała nieruchomo, przyglądając się swym ukochanym różom. Chłoneła ich piękno i spokój panujący w ogrodzie. To było jej sanktuarium. Jeśli w ogóle miała jakieś hobby, była nim hodowla róż. Z przyjemnością wybierała odmiany, sadziła je, nawoziła, czekała, aż wyrosną i rozkwitną. Czuła wtedy cudowną harmonię panującą w naturze.

Teraz, z lekkim uśmiechem na ustach, przyglądała się ważce, która usiadła na tarczy zegara. Przypomniła sobie dzień, w którym w jej ogrodzie pojawił się ten zegar. To miał być dar czasu - czasu, jaki mieli przed sobą. Minęło już ponad sześćdziesiąt lat. Wyciągnęła rękę i delikatnie musnęła rzeźbiony brąz. Odniosła wrażenie, że spośród mgły wyłoniła się nagle inna dłoń, męska i silna, tak dobrze jej znana i jakże droga. Wydawało się, że czuje dotknięcie palców Patricka.

Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności, że jej wnuczka Shannon niedawno znalazła dziennik, który Kathleen uznała za bezpowrotnie zagubiony? Od tego dziennika zaczęła się historia jej pechowej miłości. Kathleen wyciągnęła starą fotografię koloru sepii, na której widać było jej ojca w sutannie. Pod spodem było jeszcze jedno zdjęcie. Poczowała, że zaczyna brakować jej tchu.

Patrick O'Connor, mężczyzna, którego kochała. To zdjęcie zostało zrobione w dniu, gdy opuszczał Kilkenny w Irlandii, żeby szukać szczęścia w Ameryce.

Tej nocy Kathleen widziała w swej sennej wizji zapowiedź jakiejś katastrofy, ale Patrickowi nic nie groziło. Patrick, człowiek, który miał oczy koloru jasnego nieba, pełne niebiańskiego ognia

Kathleen wystarczyło jedynie przymknąć powieki, żeby znów go zobaczyć takim, jakim był wtedy, i przypomnieć sobie ich ostatnią, brzemienną w skutki noc w Irlandii.

Patrząc na zdjęcie ukochanego mężczyzny, Kathleen dała się ponieść marzeniom.

- Byłeś kimś wyjątkowym - rzekła półgłosem. Wystarczy, że zamknę oczy, a znów cię widzę - Ameryka! Wreszcie zaoszczędziłeś dość pieniędzy, żeby zapłacić za bilet! Och, Patrick .

- Tak, kochanie. - Patrick położył jej palec na ustach. - Jedziemy do Ameryki - oznajmił i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. - Mówiąc ściśle, do Nowego Jorku, gdzie możliwości są nieograniczone. Znajdę pracę, i to dobrą! - W głosie Patricka zabrzmiała gorzka nutka. - Tam, gdzie zapłaty wystarczy na więcej niż nędzny obiad i gdzie traktują człowieka z szacunkiem. Tam jest przyszłość, tam w nagrodę za pracę można osiągnąć rzeczy, o jakich nigdy nie śmieliśmy marzyć. Wtedy poślę po ciebie, *mavourneen*. Weźmiemy ślub i nikt nie będzie się mógł temu sprzeciwić.

- Jak długo to potrwa, Patricku? - spytała, ocierając policzkiem o jego dłoń. Gdy wyobraziła sobie wspólną przyszłość, w jej zielonych oczach zapaliły się ogniki. - Wydaje mi się, że czekamy już wieczność.

- Tyle ile będzie konieczne, i ani dnia dłużej, kochanie. - Patrick przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń. - Mam zamiar kupić ci bilet za swoją pierwszą pensję. Potem poszukam jakiegoś mieszkania. Będziemy mieli swój kąt.

- Och, to będzie wspaniałe, prawda?

- Tak. Bóg wie, że byliśmy cierpliwi - odrzekł, przytulając ją mocniej. - Chciałabym ...

- Ja też, kochanie. - Patrick ujął w dłonie jej twarz i mocno, niemal rozpaczliwie pocałował.

- Będę za tobą tęskniła - szepnęła. Czuła, że drży i że uginają się pod nią nogi. - Patricku

- Mam coś dla ciebie - powiedział, kładąc jej palec na ustach. Drugą ręką sięgnął do kieszeni koszuli.

- Och, Patricku! - Kathleen z radością wyciągnęła rękę, oczy miała pełne łez. Patrick wsunął jej na palec złotą obrączkę, podniósł dłoń dziewczyny i ucałował. - Wkładając ci tę obrączkę, biorę sobie ciebie za żonę.

Kathleen odniosła wrażenie, że jej serce pęknie z nadmiaru emocji, toteż skinęła jedynie głową. Wiedziała, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, z pewnością wybuchnie płaczem.

- Czy będziesz ją nosiła, dopóki nie będziemy znów razem, *mavourneen*?

- Tak - szepnęła. - Każdego dnia i w każdej sekundzie. Założę ją na wstążkę i będę nosiła na sercu.

- Chciałbym, żebyśmy byli już prawdziwym małżeństwem. - Patrick nagle spochmurniał. - Boże, będę harował jak wół, żebyś jak najszybciej mogła do mnie przyjechać. Obiecuję ci to, Kathleen.

- Wierzę ci - zapewniła, gładząc pieszczotliwie jego policzek.

Patrick pochylił głowę i czule ucałował jej palce. Przyglądał się jej tak, jak gdyby chciał wyryć sobie w pamięci wszystkie szczegóły jej twarzy.

- Obiecuj, że będziesz na mnie czekała.

- Nawet do śmierci, jeśli będzie trzeba.

- Też ci to obiecuję.

Stali przez chwilę nieruchomo, po prostu patrząc sobie w oczy. Oboje myśleli o czekającym ich długim rozstaniu. Patrick wiedział, że tej nocy nie powinien być z nią sam na sam. To zbyt ryzykowne.

- Muszę cię odprowadzić.

- Nie! - W świetle księżycy jego oczy wyglądały tak, jakby zrobione były z rtęci. Kathleen pomyślała, że żaden mężczyzna w Irlandii nie ma tak pięknych oczu. Nie mogła się nadziwić, że Patrick wybrał właśnie ją! Gdyby nie był synem biednego rolnika, już dawno byłiby małżeństwem. - Nie wiem, jak wytrzymam to rozstanie, Patricku. Pragnę cię, chcę czegoś, czego sama dobrze nie rozumiem. To takie okrutne.

- Kathleen ...

Przysunęła się do niego bliżej. To miał być ostatni pocałunek. Gdy wtuliła się w niego, westchnął i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Instynktownie zmienił pozycję, tak, aby Kathleen znalazła się między jego nogami. Przez gruby materiał spodni czuła jego gorącą męskość.

Och, przecież nie powinni! Wiedziała o tym, a jednak ... To było takie wspaniałe ... Przesunął dłonie w dół, na jej biodra, i przycisnął do swoich. Ustami przylgnął do jej warg. Całowali się do utraty tchu.

- Patricku, kocham cię! - szepnęła, gdy się cofnął, aby pozwolić jej zaczerpnąć powietrza.

- Ja też cię kocham! - odpowiedział.

Teraz całował jej szyję. Kathleen czuła, że za chwilę przestanie nad sobą panować. W skroniach niemal boleśnie pulsowała jej krew. Nagle Patrick, szybkim ruchem wsunął dłoń pod gorset jej sukni. Kathleen zacisnęła powieki. Czyż coś tak wspaniałego może być jednocześnie czymś złym?

Tak. Nie powinni. Muszą przestać. - Patricku ...

Coś mruknął niezrozumiale, po czym ukrył twarz na jej ramieniu.

- Wiem. Tak, kochanie. Musimy przestać - szepnął.

- Ale ja nie chcę.

- Ja też nie. - Zaśmiał się smutno. Płonącymi oczami przyglądał się, jak Kathleen usiłuje doprowadzić do ładu suknię. W tym momencie chmury przesłoniły księżyc. Widziała tylko jego mocne rysy, zdecydowanie zarysowaną brodę, wysokie kości policzkowe i gęste, ciemne włosy. Jak zdoła znieść tak długie rozstanie?

- Kathleen, jesteś taka piękna - Objął ją w pasie i zacisnął powieki. - Wezmę ze sobą do Ameryki twój obraz. Kiedy będę na ciebie czekał, zamknę oczy i znów cię zobaczę, tak, jak teraz. To będzie prawie tak, jakbyśmy byli razem.

Kathleen z trudem stłumiła łkanie. Patrick pochylił się i znów ją pocałował. To miał być krótki, pożegnalny pocałunek, lecz Patrick nie wziął pod uwagę jej impulsywnej reakcji i pożądania, które przed chwilą niemal pozbawiło ich rozsądku. Trzymał ją mocno przy sobie i ich ciała stopniowo ulegały pragnieniu. Mimo niewinności i braku doświadczenia, Kathleen rozumiała, co się dzieje, nie miała jednak siły ani ochoty, by się temu przeciwstawić. Nogi ugięły się pod nią i nagle znalazła się na trawie, przygnieciona ciałem Patricka, który już nad sobą nie panował. W geście przyzwolenia zarzuciła mu ramiona na szyję i poddała się ogarniającej ją rozkoszy. Miała ochotę krzyczeć ze szczęścia. Patrick również zapomniał o całym świecie. Liczyła się tylko ona. Czuła, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz ekstazy i zapragnęła tego samego. Wygięła się w łuk, tak jakby instynkt wskazywał jej jakiś odległy cel.

Potem przez dłuższą chwilę leżeli w milczeniu. Patrick kołysał ją w ramionach, a ona patrzyła w niebo, na którym znów pokazał się księżyc i gwiazdy, i powtórzyła swą przysięgę, że będzie kochać Patricka przez całą wieczność.

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork-1927 r.

Dziś zmarło moje dziecko. To był piękny chłopiec, przynajmniej tak mi powiedziano, ale nigdy nie będę tego wiedziała na pewno, bo podczas ostatnich dwunastu godzin porodu byłam prawie nieprzytomna. Poród był dużo cięższy, bardziej bolesny i trudniejszy, niż się spodziewałam. Taki cios! Doprawdy, nie zasłużyłam na tak okrutną karę. Całym sercem, pragnę, choć raz na niego spojrzeć, zobaczyć jego maleńką twarzyczkę i pogłaskać go po delikatnym policzku. Pragnę tego samego, co wszystkie matki. Czy naprawdę był ładny? Czy nic mu nie brakowało? Wiem tylko, że był dobrze zbudowany i miał ciemne włosy. A jego oczy? Czy były zielone jak moje, czy miał takie żywe i niebieskie oczy jak Patrick?

Kathleen uniosła pióro znad otwartego dziennika i w jej oczach pojawiły się łzy. Prychnęła niecierpliwie, wytarła je wierzchem dłoni i zaczęła mrugać, czekając, aż odzyska ostrość widzenia. W ciągu siedmiu miesięcy, które minęły od dnia, kiedy opuściła Irlandię, wypłakała tyle łez, że mogłaby wypełnić nimi rzekę Shannon. W swojej sytuacji nie mogła sobie pozwolić na taki luksus jak płacz.

Odłożyła pióro i spojrzała na wypłowiałe firanki, zasłaniające jedyne okno w niewielkim, dusznym pokoiku. Dawno już zapomniała o radosnym optymizmie, jaki pozwolił jej przetrwać smutne dni po opuszczeniu Kilkenny i całego świata, w którym żyła od urodzenia. Wypłynęła do Ameryki na pokładzie parowca "Irish Queen", który najlepsze lata swego żywota miał od dawna za sobą. W uszach wciąż pobrzmiwały jej obietnice Patricka, a serce przepełniała miłość i naiwna ufność. Miała pojechać wreszcie do Nowego Jorku! Macocha ostrzegła ją wielokrotnie, że wskutek swej impulsywności wpadnie kiedyś w poważne tarapaty. Tak się też stało, ale nic prócz śmierci nie mogło jej powstrzymać od wyjazdu do Ameryki.

Dlaczego nie usłuchała ostrzeżenia, jakie otrzymała we śnie, w noc poprzedzającą wyjazd Patricka? W swej wizji wyraźnie ujrzała mrozące krew w żyłach widmo śmierci, lecz nawet przez moment nie pomyślała, że ostrzeżenie może dotyczyć jej dziecka. Przyłożyła palce do drżących warg. Dlaczego?!

Czy powinna czuć się winna? Czy to była kara? Czy należało mniej myśleć o jak najszybszym połączeniu się z Patrickiem, a więcej o warunkach, w jakich jej przyjdzie znosić ciężę na pokładzie takiego statku jak "Irish Queen"?

Na starym parowcu podróźni płynęli w pożałowania godnych warunkach. Kathleen zorientowała się w sytuacji w kilka minut po wejściu na pokład, ale nie mogła już się wycofać. Spaliła za sobą mosty. Nadal słyszała ostre słowa macochy i czuła na sobie pełne żalu spojrzenie ojca. Dla niej ważne było tylko to, że połączy się z Patrickiem. I to szybko. A tymczasem, jeszcze nim brzegi Irlandii zniknęły za horyzontem, Kathleen padła ofiarą morskiej choroby.

A teraz zmarło jej dziecko.

Co mu zaszkodziło? Czy jej nieustanne mdłości, czy też zadziałał jakiś inny czynnik? Jej kabina była brudna, a warunki w toalecie wołały o pomstę do nieba. Kathleen zdołała tam posprzątać dopiero wtedy, gdy nieco doszła do siebie. Przez kilka pierwszych dni po prostu leżała na koi i niemal nie wstawała.

A jedzenie! Trudno było o coś gorszego. W domu nikt nie tknąłby czegoś takiego; potrawy

podawane na statku nadawały się tylko dla świń. Może jej niedożywione ciało nie zdołało dostarczyć dziecku wszystkiego, czego potrzebowało do życia? Kathleen nie mogła się zmusić do jedzenia. Gdyby nie Brigit. Brigit Murray zajmowała sąsiednią kaję. Choć bierna i nieśmiała, podróż znosiła dobrze, a poza tym już po dwóch dniach odgadła, że Kathleen jest w ciąży. To Brigit karmiła ją sucharami i poila herbatą, to ona podawała jej naczynie, gdy nie mogła powstrzymać mdłości. Choć bardzo się od siebie różniły, szybko nawiązały przyjaźń. Któż mógłby się domyśleć, w jaki sposób ta znajomość wpłynie na późniejsze losy Kathleen?

Pochodziły z zupełnie innych środowisk. Kathleen dowiedziała się, że Brigit płynęła do Nowego Jorku na koszt zamożnej amerykańskiej rodziny, w zamian, za co zgodziła się u nich służyć przez trzy lata za skandalicznie niskie wynagrodzenie. Ta praktyka zapewniania sobie usług służących, guwernantek i zwykłych robotników była szeroko rozpowszechniona, ale Kathleen nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest poniżająca. Okoliczności zmuszały ludzi szukających przyzwoitej pracy do rezygnacji z kilku lat życia w zamian za szansę wyjazdu do Stanów.

Dopiero teraz Kathleen zrozumiała, jak lekkomyślna była jej decyzja, by rzucić dom, opuścić ojca oraz przyrodnią siostrę i popłynąć w ślad za Patrickiem do Nowego Jorku. Gdyby teraz miała decydować, byłaby znacznie bardziej ostrożna. Z pewnością nie zadowoliliby się słowami Patricka, z entuzjazmem opisującego jej kraj, o którym wiedział tyle, co ona. Gdyby mogła się cofnąć, gdyby mogła odwrócić bieg czasu, z pewnością posłuchałaby ostrzeżenia z sennej wizji. Nigdy dotąd nie zignorowała tak wyraźnego sygnału. Widziała we śnie tę podróż, widziała katastrofę.

Nie wiedziała tylko, w jakich warunkach przyjdzie jej płynąć.

Życie na pokładzie "Irish Queen" budziło w niej obrzydzenie. Po kilku dniach doszła do siebie, na tyle, że mogła rozejrzeć się dokoła. To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi. Pasażerowie z pierwszej klasy podróżowali w królewskich warunkach, ci z niższych pokładów byli traktowani jak bydło. Co chwila zdarzały się kradzieże i trzeba było nieustannie pilnować swego dobytku Brigit już straciła ulubioną szpilkę do kapelusza. Kathleen zaproponowała, aby trzymały rzeczy w jej metalowej skrzyni, zaopatrzonej w mocny zamek. Swój dziennik, fotografie i umowę o pracę przyjaciółki włożyła do torebki z ceraty. Patrząc na to, Brigit zbladła i przeżegnała się niespokojnie. Nie wiedziała, że najgorsze mają jeszcze przed sobą.

Ostatniego dnia podróży, gdy zbliżali się do portu w Nowym Jorku, zaatakował ich gwałtowny sztorm. Kathleen natychmiast odgadła, że oto zbliża się niebezpieczeństwo, które widziała we śnie. Na szczęście, już wcześniej przygotowała się na zderzenie ze znacznie większym statkiem. Gdy do tego doszło, na pokładzie zapanowało istne pandemonium.

"Irish Queen" szybko poszła na dno. Kathleen widziała teraz wokół siebie wszystko, czego się

obawiała. Już po kilkunastu sekundach straciła z oczu Brigit. Zdołała wprawdzie zawczasu przygotować dla niej kamizelkę ratunkową, ale i tak bała się o jej życie. Brigit nie umiała pływać. Torebka z ceraty spoczywała w bezpiecznym miejscu pod ubraniem Kathleen, ale jakie to miało znaczenie? Teraz obie walczyły o życie.

Do momentu, kiedy przyszło jej rzucić się w zimne fale, Kathleen nie myślała wiele o dziecku, które żyło w jej łonie. Nagle to maleństwo stało się dla niej najważniejszą istotą na świecie. Musi przeżyć, żeby je ocalić. Przez długie godziny kurczowo zaciskała ręce na drewnianej belce i myślała o Patricku, co pomagało jej przetrwać. Napisała do niego, że jest w ciąży. Wprawdzie przed wypłynięciem z Kilkenny nie otrzymała odpowiedzi, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że Patrick się ucieszy. Ta myśl nie opuszczała jej przez długie godziny, podczas których, kurczowo trzymając się belki, oczekiwała na ratunek.

W miarę upływu czasu cichły odgłosy akcji ratunkowej. Kathleen dryfowała na falach i bała się, że nikt jej nie zauważy. Groziła jej śmierć z wyczerpania i zimna. Dzielnie zaciskała jednak zęby i starała się nie poddawać. Czuła na twarzy słone łzy, zmieszane z morską wodą.

Świtało, gdy usłyszała w pobliżu ludzkie głosy i skrzypienie wiosła. Nagle z mgły wyłoniła się szalupa ratunkowa. Kathleen dostrzegła ją, ale była tak wyczerpana, że nie mogła nawet krzyknąć. Łódź płynęła prosto na nią. Po chwili poczuła uderzenie w głowę i straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Od czasu do czasu czuła, że jej obolałym ciałem wstrząsa kaszel lub, że ktoś wlewa jej do gardła jakiś płyn. Chwilami odnosiła wrażenie, że przytomnieje, lecz po chwili znów ogarniały ją ciemności. W pewnej chwili usłyszała nad sobą jakieś głosy.

Czyżby to harpie zgromadziły się nad jej zwłokami? Sama nie wiedziała, czy jeszcze żyje. A może umarłam?

Usłyszała trzask zamykanych drzwi i jednocześnie przeszył ją ostry ból. Jęknęła głośno. Miała wrażenie, że w jej głowie wybuchła bomba.

- No, zdaje się, że odzyskuje przytomność.

- Najwyższy czas. To już trzynaście dni.

- Ciekawe, czy nie stało jej się coś z głową. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś przeżył takie uderzenie.

Jakaś postać kręciła się koło łóżka. Kathleen słyszała brzęk szklanek i stuk odstawianej karafki. Boże, jak bardzo chciała pić!

- Brigit! Obudź się, Brigit!

Kathleen usiłowała pokonać ból i szum w głowie. Chciała otworzyć oczy, ale bała się, że to zbyt duży wysiłek. Zamiast tego skoncentrowała uwagę na wodzie. Chciała ją przełknąć, ale miała spuchnięty język i spieczone gardło.

- Spróbuję ją jakoś napoić - usłyszała kobiecy głos z dobrze znajomym, irlandzkim akcentem, co ją nieco uspokoiło. Ktoś nagle klasnął w dłonie i znów poczuła gwałtowny przypływ bólu.

- Lizzie, zostań tu i pilnuj, czy ona się rzeczywiście obudzi - powiedziała ostrym tonem kobieta.

- Tak, proszę pani.

- Wy dwie, no już! Wracajcie do swoich zajęć. Dość zmarnowałyście czasu, gapiąc się na tę dziewczynę. Pearl, idź do kuchni! A ty, Annie, zajmij się prasowaniem. Mam nadzieję, że przed południem skończysz z koszulami pana Drummonda.

Kathleen usłyszała szelest ubrań, odgłos kroków i zdecydowane trzaśnięcie drzwiami. Znowu boleśnie skrzywiła wargi.

- Brigit. .. Brigit Murray ... - Teraz usłyszała miękki głos Lizzie. - Słyszysz mnie?

Na próżno szukała w głowie odpowiedzi. Wiedziała, że coś się stało, ale nie mogła zrozumieć co. Powoli ogarniała ją panika. Co się stało? Gdzie ona jest? Czuła się zupełnie bezradna. W jej oczach pojawiły się łzy i zaczęły spływać po policzkach.

- Spokojnie, spokojnie, moja droga. Wszystko będzie w porządku. Nie masz powodu płakać. Cudem przeżyłaś straszną katastrofę. Mówię ci, to naprawdę cud. Nigdy nie lubiłam statków. Teraz to nawet nie popłynę promem na Long Island.

Straszną katastrofa. Te słowa wreszcie poruszyły coś w jej pamięci. Sztorm. Zderzenie z innym statkiem. Jakimś ogromnym. Chaos i panika. I Brigit.

Brigit, która nie umiała pływać. Nagle zrozumiała, że wszyscy uważają ją za Brigit Murray.

- Brigit... - szepnęła, z trudem unosząc powieki. Chciała wyjaśnić Lizzie, co się stało.

- Proszę, kochanie. Z pewnością chce ci się pić. Kathleen była wdzięczna, że dziewczyna uniosła ją na łóżku i przyłożyła szklankę do jej spuchniętych warg. Przełknęła nieco letniej wody i niemal się zakrztusiła, gdy ta powoli przedostawała się przez jej wyschnięte na wiór gardło.

- Dziękuję ... dziękuję - wykrztusiła. Powoli odzyskiwała ostrość widzenia. Wreszcie jej spojrzenie spoczęło na Lizzie. - Gdzie jestem?

- No, przecież w domu państwa Drummondów, przy Park Avenue w Nowym Jorku, moja droga. Wyciągnęli cię z wody zmarzniętą na kość i z potworną raną głowy. Niewiele brakowało, a pękłaby ci czaszka. Uderzyłaś głową o dziób szalupy, która cię odnalazła. - Lizzie na sekundę urwała. - Miałaś szczęście, Brigit.

- Ale ja nie jestem ...

- W gazetach napisali, że trzydzieści cztery osoby utoneły. Sami emigranci z Irlandii.

Kathleen zamrugała powiekami i ogarnęło ją przerażenie. Wprawdzie ból i choroba spowolniły jej reakcje, ale to wydawało się zbyt straszne, żeby zdarzyło się naprawdę.

Och, żeby tylko Brigit ocalała! Zwilżyła językiem wargi.

- Gdzie jest Brigit? - spytała.

- A cóż to za pytanie? - Lizzie uśmiechnęła się wyrozumiale.

Kathleen niezdarnie chwyciła ją za rękę.

- Powiedz mi ... czy Brigit przeżyła?

- Czy nie pamiętasz, jak się nazywasz, kochanie? - Z twarzy Lizzie zniknął uśmiech.

- Och, czy nie rozumiesz? Ja nie jestem Brigit Murray. Płynęliśmy razem. Powiedz mi, co się z nią stało?

Lizzie przechyliła na bok głowę i przyjrzała się Kathleen uważnie.

- Coś mi się zdaje, że przez to uderzenie trochę ci się pomieszało w głowie. Znaleźliśmy twoje dokumenty, schowane w torebce pod ubraniem.

Lizzie pochyliła się nad nią i pogłaskała ją po włosach. - Nie myśl teraz o tym. Powinnaś dobrze odpocząć. Wiesz, u tych Drummondów nie jest tak źle. Większość z nas jest na umowach, tak jak ty, więc można by pomyśleć, że trudno liczyć na pomoc w razie choroby. W rzeczywistości wcale tak nie jest. To tylko znaczy, że nigdy nic nie wiadomo. Kiedy dojdiesz do siebie, przypomnisz sobie, co się zdarzyło. Zobaczysz, że mam rację.

- Już teraz wszystko dobrze pamiętam - odrzekła Kathleen, mimo że ból niemal rozsadał jej czaszkę. - Koniecznie chciała wyjaśnić, co się stało. Miała nadzieję, że zawiadomią Patricka. - Nazywam się Kathleen Collins - szepnęła.

- Kath ... - Zaskoczona Lizzie parsknęła śmiechem.

- Brigit Murray to moja koleżanka ze statku - upierała się Kathleen. Pulsowało jej w skroniach, jakieś światła zaczęły przesłaniać postać Lizzie. Miała wrażenie, że jej twarz i wszystkie meble oddalają się gdzieś w nicość.

- Kochanie, jak to możliwe, jeśli ...

Kathleen usiłowała skupić uwagę na jej głosie, ale ból pozbawiał ją przytomności. Słyszała coraz głośniejszy szum, tak jakby zbliżał się pociąg.

- Jestem Kathleen - szepnęła z rozpaczą. - Wierz mi, jestem Kathleen Collins. Przyplłynęłam do Ameryki, do mojego narzeczonego. Nazywa się Patrick O'Connor. Znajdź go. Proszę, znajdź Patricka. Powiedz mu, że go potrzebuję.

Nie znosiła swojego małego, dusznego pokoju. Nie znosiła domu państwa Drummondów. Nie cierpiała niekończących się, nużących prac domowych i ostrego, przykrego głosu Amelii Parsons, gospodyni. Nie cierpiała Herberta Parsonsa, wścibskiego syna Amelii, który bez przerwy gapił się na nią, co wyprowadzało ją z równowagi. Ponieważ jednak była bez grosza i w rozpaczliwej sytuacji, nie mogła nic zdziałać. I tego właśnie najbardziej nienawidziła.

Jak się ostatecznie wyjaśniło, Brigit Murray była jedną z nieszczęsnych ofiar katastrofy. Gdy

Kathleen wytłumaczyła, w jaki sposób umowa Brigit znalazła się w jej posiadaniu, wszystko stało się jasne i nikt nie wątpił w jej tożsamość. Amelia Parsons natychmiast zaproponowała jej objęcie miejsca przeznaczonego dla Brigit. Kathleen serdecznie podziękowała za pomoc, schronienie i opiekę medyczną, jaką zapewnili jej państwo Drummond, ale odmówiła podjęcia pracy służącej. Wyjaśniła, że jeśli tylko będą tak dobrzy i zawiadomią Patricka, ten natychmiast po nią przyjedzie. Herbert Parsons, pełniący funkcję kierowcy, pojechał do przedsiębiorstwa przewozowego Leland Shipping Lines, gdzie Patrick znalazł pracę. Wrócił po godzinie i z ironicznym uśmiechem oświadczył, że na liście płac tej firmy nie ma żadnego Patricka O'Connora.

Przez kilka dni Kathleen nie wiedziała, co począć.

Dreńczyła ją niepewność. Była jeszcze zbyt słaba, żeby udać się do biura firmy, brakowało jej pieniędzy na taksówkę lub dorożkę. Wykonywała niewielkie prace zlecane jej przez Amelię Parsons i niecierpliwie czekała, aż będzie w stanie pojechać do biura armatora i sprawdzić, co się stało z Patrickiem.

Osiągnęła swój cel w tydzień po tym, jak obudziła się u państwa Drummond i niemal trzy tygodnie po tragicznym zderzeniu na morzu.

W dokach Leland Shipping na pozór panował potworny bałagan. Jak okiem sięgnąć, wszędzie kręcili się robotnicy i stały skrzynie z ładunkami. Kathleen przedzierała się między kablami i stosami skrzyń, nie spuszczać z oka wysokiego biurowca przy nabrzeżu, tuż w pobliżu doku koło Szóstej Ulicy. Wiedziała, że Patrick nie byłby zadowolony, widząc ją tutaj, ale od przyjazdu do Ameryki musiała robić wiele rzeczy, które nie zyskałyby jego aprobaty. Dziękowała Bogu, że jej ojciec nic o tym nie wie.

Na myśl o ojcu poczuła lekki ból serca. Starszy pan długo odradzał jej wyjazd do Nowego Jorku. Wskazywał na liczne niebezpieczeństwa i tłumaczył, że niewykwalifikowani emigranci często lądują w beznadziejnej sytuacji. Kathleen myślała tylko o obietnicach Patricka i nie dała się przekonać. Gdy ojciec nadal był pełen wątpliwości, musiała w końcu powiedzieć mu, że jest w ciąży. Ojciec był bliski załamania. Ciekawe, co by powiedział, gdyby dowiedział się, jaki ją teraz spotkał los.

A macocha?

Kathleen wiedziała, że nigdy nie zapomni jadowitego głosu Frances. Nie wątpiła, że macocha byłaby zadowolona, wiedząc, w jakiej sytuacji się znalazła. Z pewnością stwierdziłaby, że to kara za grzechy.

Kathleen dotknęła brzucha. Zawsze myślała z miłością o dziecku, ale wiedziała, że musi znaleźć Patricka, i to szybko. Była już w czwartym miesiącu i coraz bardziej martwiła się losem dziecka. Niezameżna kobieta w jej sytuacji nie ma przed sobą radosnych perspektyw. Nie wątpiła, że wkrótce dowie się, gdzie jest Patrick.

W biurze Leland Shipping wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zajętych. Gdy Kathleen weszła do budynku, znalazła się w wielkiej hali. Maszynistki bez wytchnienia stuknęły w maszyny, żaden urzędnik nie wstał zza biurka. Kathleen zagadnęła wreszcie młodego człowieka, który szedł ze sporym pakietem listów w ręce.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? Szukam kierownika działu personalnego.

- To Goodson - odpowiedział chłopak i wskazał jej kierunek. - Trzecie drzwi, pierwsze biurko po lewej stronie.

Kathleen lawirowała między biurkami w hali, ignorując zaciekawione spojrzenia pracowników, i zatrzymała się przed właściwymi drzwiami. Matowe szkło zasłaniało jej widok, niemniej zauważyła, że w środku ktoś się porusza. Zebrała się na odwagę i nacisnęła klamkę.

Drobny mężczyzna w czapce z wielkim, zielonym daszkiem uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Pan Goodson?

Ten łysiejący, anemiczny człowieczek w grubych okularach wyglądał dokładnie tak, jak Kathleen wyobrażała sobie kierownika działu personalnego. Starannie zaznaczył linijkę w księdze rachunkowej i znów uniósł głowę.

- Słucham panią?

- Powiedziano mi, że jest pan kierownikiem działu personalnego - zaczęła Kathleen. Miała ochotę usiąść. Po długiej chorobie i kilku dniach rekonwalescencji pod bezlitosnym nadzorem Amelii Parsons była wciąż bardzo słaba i podróż do portu zupełnie ją wyczerpała.

- Istotnie, jestem kierownikiem działu personalnego - wyjaśnił człowieczek i zmierzył ją takim wzrokiem, iż pożałowała, że ma na sobie strój roboczy. Niestety, wszystkie jej ubrania spoczywały bezpiecznie na dnie morza i musiała chodzić w tym, co otrzymała w domu państwa Drummond.

- Chciałabym uzyskać pewne informacje, proszę pana.

- Jakże? - Goodson skrzywił się tak, jakby poczuł nieprzyjemny zapach.

- Chodzi mi o pracownika o nazwisku Patrick Q'Connor.

- Żaden Patrick Q'Connor nie jest pracownikiem Leland Shipping Lines.

Kathleen zamrugała powiekami, zaskoczona natychmiastową i stanowczą odpowiedzią. Ten człowiek był odpychający, ale nie miała przecież wyboru. Nie mogła się dać zahukać, niezależnie od tego, jak on się zachowuje. Goodson był niewątpliwie despotycznym władcą swego niewielkiego

imperium, ale ona walczyła o siebie i swoje dziecko.

- To chyba jakaś pomyłka, proszę pana. Czy mógłby pan sprawdzić w kartotece? Po prostu dla pewności.

- Nie muszę sprawdzać w kartotece, żeby wiedzieć, że żaden Patrick Q'Connor tu nie pracuje - odparł Goodson, odchylając się do tyłu i splatając palce na brzuchu. - Ja to wiem i już.

Kathleen zmarszczyła brwi. Czyżby jej pytania o Patricka były z jakiegoś powodu czymś niewłaściwym?

- Czy mogę usiąść? - spytała.

Goodson zrobił znużoną minę, ale wskazał jej ręką twarde krzesło. Kathleen usiadła i spróbowała jeszcze raz.

- Być może powinnam wyjaśnić ...

- Żadne wyjaśnienia nie zmieniają faktu, że Patrick O'Connor nie figuruje na liście pracowników naszej firmy.

- Przecież pan nawet nie sprawdził! - zawołała zniecierpliwiona. Była zmęczona i miała ochotę płakać, jednak nie mogła sobie na to pozwolić. Przyszła tu w określonym celu i postanowiła, że nie da się zastraszyć byle urzędnikowi, który poczuł, że nareszcie ma jakąś władzę. Zastraszyć można tylko tych, którzy się czegoś boją.

- Patrick O'Connor jest moim narzeczonym. Dostałam od niego list, napisany jakieś sześć tygodni temu, w którym pisał, że dostał pracę w tej firmie.

- Pani narzeczony pisał prawdę - przyznał niechętnie Goodson. - Istotnie, pracował w doku przy Szóstej Ulicy. Judson był jego brygadzystą. Tydzień temu zwolnił się z pracy.

- Och, dzięki Bogu! - Kathleen poczuła taką ulgę, że przestała zwracać uwagę na irytujące maniery urzędnika. - Wiedziałam, że mogę mu ufać. Nie może pan sobie wyobrazić ...

Och, ale dlaczego się zwolnił?

- Moja młoda damo, nie mogę przecież znać motywów jego postępowania.

- Ale chyba zostawił jakiś adres? Spodziewał się mojego przyjazdu. Sam kupił mi bilet na "Irish Queen".

- Co za nieszczęśliwy wypadek! - Goodson zdobył się na wyrazy współczucia - Cieszę się, że przeżyła pani tę katastrofę.

- Dziękuję panu.

- Przyznam, że to dość irytujące - tyle szumu wokół jednego pracownika, który na dodatek był u nas tak krótko. Najpierw ten pajac Drummonda, a teraz pani - ciągnął Goodson z niezadowolaniem.

- Ma pan na myśli Herberta Parsonsa, szofera pana Drummonda?

- Nie pamiętam, jak się nazywał - oznajmił sztywno Goodson. - Wydaje mi się, że można było zapobiec tej burzy w szklance wody, bo O'Connor był wtedy na terenie doków i ja poinformowałem o tym tego szofera. Dlaczego nie zwrócił się bezpośrednio do niego?

- Co pan powiedział? - spytała zdumiona.

- Czy jest pani głupia, czy głucha? Parsons, jak go pani nazywa, spytał o O'Connora.

Powiedziałem mu dokładnie to samo, co pani. Jeśli miał do niego jakiś interes, mógł z nim od razu porozmawiać. Doskonale to pamiętam, bo O'Connor właśnie zwolnił się z pracy i przygotowywałem dla niego ostatnią wypłatę. Z jakichś powodów ten Parsons odjechał, nie rozmawiając z O'Connorem.

- Mówi pan, że Parsons nawet nie spróbował porozmawiać z Patrickiem? - szepnęła Kathleen, przyciskając rękę do serca.

- Przecież pani słyszy - zniecierpliwił się. - Teraz bardzo panią przepraszam, ale mam wiele pracy.

Kathleen pomyślała, że nie może się załamać, i to przed obliczem tego urzędnika. Zamrugła kilka razy powiekami, żeby powstrzymać łzy, i wzięła się w garść. Miała nadzieję, że Goodson odpowie jeszcze na kilka pytań.

- Czy Patrick zostawił jakiś adres?

- Nie.

- Czy może powiedział, dlaczego się zwalnia? Czy może zostawił dla mnie jakąś wiadomość? Nazywam się Kathleen Collins. Jesteśmy zaręczeni. Przecież z pewnością coś powiedział.

- Kathleen Collins - mruknął, po czym wstał zza biurka i podszedł do szafy. Otworzył szufladę i wyciągnął z niej teczkę. Po chwili wrócił na swoje miejsce i wyjął zteczki plik listów. - O'Connor nic mi o pani nie mówił, ale kilka dni temu przyszedł list dla pani, adresowany na jego nazwisko. Mam go gdzieś tutaj.

Goodson szybko przerzucał listy.

- O, mam. Jak pani widzi, jest zaadresowany na ręce O'Connora w Leland Lines. Przypuszczam, że ktoś z pani znajomych wiedział, że pani narzeczony tutaj pracuje.

- Tak - przyznała Kathleen. Wzięła list i natychmiast rozpoznała pismo macochy. Wsunęła go do kieszeni. Zauważyła, że Goodson jest zaciekawiony, ale nie chciała czytać listu na jego oczach.

- Co do Patricka, panie Goodson.

- Tak. Pamiętam, jak przyszedł złożyć wymówienie. - Urzędnik zrobił przebiegłą minę. - Ludzie o

tym mówili.

- Ludzie mówili? Co takiego?

- Podobno tego dnia podszedł do niego podczas pracy jakiś zamożny biznesmen. - Goodson przyglądał się jej uważnie, badając, jaki efekt spowodują jego słowa - Jeszcze tego samego dnia O'Connor złożył wymówienie i więcej się tu nie pokazał.

- Nie rozumiem - Kathleen opuściła ręce na brzuch. - Patrick przecież nie mógł ...

Goodson przez chwilę przyglądał się własnym paznokciom, po czym uniósł głowę.

- Ten dżentelmen, który z nim rozmawiał, nie był sam. Kathleen patrzyła na niego bezradnie.

- Towarzyszyła mu córka - wyjaśnił Goodson.

- Nie rozumiem.

- To młoda i piękna dziewczyna, panno Collins. Nie kryła zainteresowania osobą O'Connora. -

Jako urodzony plotkarz, Goodson pilnie się przyglądał, jak Kathleen zareaguje na tę wiadomość.

Kathleen zeszywniała. Próbując rozszyfrować tajemnicę zniknięcia Patricka ani przez chwilę nie pomyślała, że może tu chodzić o inną kobietę. Z trudem opanowała przerażenie i gonitwę myśli, po czym skupiła uwagę na słowach Goodsona.

- Ten dżentelmen jest dobrze znanym biznesmenem. Jego firma mieści się gdzieś dalej, na południe od nas. Jeśli się dobrze orientuję, zajmuje się budową okrętów, nie przewozami. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Judson, brygadzysta, bardzo żałował, że O'Connor od nas odszedł. Podobno był świetnym pracownikiem. Pewnego dnia mógł sam zostać brygadzystą - dodał i zachichotał złośliwie. - Teraz pewnie już się dobrze urządził z tą - Spojrzał na Kathleen i nie dokończył zdania.

- Dziękuję za rozmowę, panie Goodson. - Kathleen powoli wstała z krzesła. - I za przekazanie mi listu od rodziny.

- Proszę posłuchać, panno Collins. Nie powinna się pani tak przejmować. Obawiam się, że pani narzeczony wolał skorzystać z okazji, ale co się stało, to się nie odstanie. Dam pani radę. Proszę o nim zapomnieć, a dobrze pani na tym wyjdzie. Nie on jeden jest na świecie. Z uznaniem oszacował jej figurę. - Czy mogę zaofiarować pani słowa pociechy?

Kathleen miała ochotę cisnąć w niego torebką.

- Jest pani taka błada. - Wstał i wyszedł zza biurka.

- Czy chciałaby pani ?

- Nic mi nie potrzeba, dziękuję - odrzekła chłodno - Sama trafię do wyjścia.

- A zatem ...

- Do widzenia, panie Goodson.

Kathleen wyszła szybko na dwór i oparła się o ceglana ścianę budynku. Czekwała, aż ustanie straszliwy szum w uszach. Przyciskając ręce do piersi, śledziła nie widzącymi oczami przejeżdżające ulicą samochody. W pewnej chwili minęła ją ciągnięta przez konie chłodnia. Woźnica spojrział na nią z wyraźnym zaciekawieniem. Kathleen opuściła ręce i poprawiła spódnicę. Pomyślała, że musi jakoś wrócić na Park Avenue.

Gdy poprawiała ubranie, usłyszała szelest koperty i przypomniała sobie o liście. W każdej innej sytuacji pewnie zdziwiłaby się, dlaczego macocha zdecydowała się do niej napisać, ale dziś Wyciągnęła list i z trudem otworzyła kopertę.

Kathleen!

Nie jestem pewna, czy taka bezwstydną dziewczyna jak ty zasługuje, żeby to wiedzieć, ale twój ojciec zmarł dziś rano. Oczywiście na serce. Może się tego domyślasz, bo to ty je złamałaś. Od twojego wyjazdu nie mógł spojrzeć w oczy swym parafianom. Czy jesteś zadowolona?

Kathleen jęknęła i upuściła list. Ojciec nie żyje ...

Jak zniesie jeszcze ten cios? Znow słyszała szum w uszach. Miała wrażenie, że pochłania ją jakaś ciemna chmura. Chciała się o coś oprzeć, ale pod palcami wyczuła tylko cegły. Przecież nie może tutaj zemdleć. Ten pętał Goodson mógłby wyjrzeć i zobaczyć, co się z nią dzieje. Z pewnością nic nie sprawiłoby mu większej radości, niż gdyby zemdląca na oczach wszystkich pracowników Leland Shipping. Kathleen opadła na kolana i czekała, aż dojdzie do siebie.

- Jakie szczęście, że ta stara wiedźma wysłała na poszukiwania mnie, a nie Herberta! - usłyszała nagle nad głową głos Lizzie. Gwałtownie zamrugła powiekami i uniosła twarz.

- Lizzie, skąd się tu wzięłaś?

- Nie zaprzątaj sobie tym głowy, zwłaszcza teraz - odparła energicznie Lizzie. - Weź mnie za szyję i spróbuj wstać. - Pomogła Kathleen oprzeć się o ścianę, po czym podniosła jej torebkę.

- To twój list? - spytała. Gdy Kathleen skinęła głową, Lizzie włożyła go do torebki. - Właśnie wysiadałam z trolejbusu, kiedy zobaczyłam, że padasz jak szmaciana lalka. Lizzie otrzepała z kurzu spódnicę Kathleen i poprawiła jej włosy.

- Nic sobie nie zrobiłaś?

- Nie, chyba nie - mruknęła Kathleen. Wciąż czuła zawroty głowy.

- Nic nie złamałaś?

- Nie - odrzekła Kathleen. Chyba, że serce, dodała w myślach.

- Hm. To szczęście.

- Musiałam - Kathleen uniosła rękę i potarła czoło. - Sama nie wiem, ale chyba - Chyba zemdlałaś.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Lizzie rozejrzała się dokoła. Ta okolica nie nadawała się do samotnych spacerów.

- Myślę, że twój drogi Patrick wolałby, żebyś się tu sama nie kręciła.

- Patrick nie jest już dla mnie drogi, Lizzie.

- Och, doprawdy? - zdziwiła się. - A co z waszą wspaniałą przyszłością we dwoje? Co z waszym małżeństwem?

- Nie ma żadnej przyszłości. Nie będzie żadnego małżeństwa.

- A czemuż to, jeśli wolno spytać? Przecież od dnia, kiedy cię poznałam, ani przez chwilę nie mówiłaś o niczym innym. Wymknęłaś się z domu Drummondów i trafiłaś do doków, potem ja znalazłam cię nieprzytomną przed bramą osławionych Leland Lines, gdzie miał pracować twój ukochany Patrick, a teraz mówisz mi, że to tylko taki żart?

- Żaden żart, tylko pomyłka. Koszmarne pomyłka. Lizzie przez chwilę przyglądała się jej badawczo.

- A dziecko? - spytała cicho. - Czy to też pomyłka? Kathleen zacisnęła powieki. Czuliła taki ból, że nie przypuszczała, że kiedykolwiek wróci do siebie. Nie zdawała sobie sprawy, że ktokolwiek wie o jej ciąży, nawet Lizzie. Co ze mnie za idiotka - westchnęła ciężko.

Lizzie objęła ją i serdecznie uściskała.

_ Nie bierz sobie tego do serca, kochanie. Nikt nic nie podejrzewa. Ja zorientowałam się tylko, dlatego, że mieszkamy razem, a moja mama rodziła osiem razy i dobrze znam objawy.

- Co ja mam zrobić, Lizzie? - Kathleen bezradnie załkała.

_ No cóż ... - Lizzie wbiła wzrok w horyzont, tak jakby oczekiwała stamtąd rady. - Czy możemy z całą pewnością powiedzieć, że już nigdy nie usłyszysz o Patricku?

Kathleen kiwnęła głową, przełknęła łzy i opowiedziała Lizzie, czego dowiedziała się w biurze. Ta westchnęła i pokręciła głową.

- A twoja rodzina w Irlandii? Masz przecież ojca.

- Właśnie się dowiedziałam, że zmarł. Nawet, gdybym zarobiła dość pieniędzy na powrót, macocha nie ucieszyłaby się na mój widok. - Kathleen przesunęła dłonią po brzuchu, który jeszcze był płaski. - Powiedziała mi to dostatecznie jasno przed moim wyjazdem.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknęła Lizzie.

- Nie wstydzę się, że będę miała dziecko - oznajmiła Kathleen, unosząc dumnie brodę. - Ono nie ponosi winy za sytuację, w jakiej się znalazłam. Nie wiem, co zrobię, Lizzie, ale nie mogę przecież stać tak na ulicy i czekać, aż ktoś podejdzie, machnie czarodziejską różdżką i rozwiąże moje wszystkie problemy.

- Bardzo słusznie, moja droga. - Lizzie spojrzała na nią z wyraźną aprobatą i znów ją uściskała.

Kathleen wyciągnęła list i podarła go na kawałki.

- Nie mam wyboru. Płacz i omdlenia nic mi nie pomogą. Teraz muszę wrócić do Drummondów i

porozmawiać z panią Parsons. Chciała przecież zatrudnić mnie zamiast Brigit, pod warunkiem, że okaże się pracowitą irlandzką emigrantką. Możemy się tylko modlić, żeby nie zgorszyła się za bardzo nieślubnym dzieckiem.

- Tylko to nam pozostaje.

- Zdam się na jej miłosierdzie.

Lizzie nie odpowiedziała. Obie dobrze wiedziały, jak mało jest miłosierdzia w sercu Amelii Parsons.

- Na razie nie muszę jej nic mówić - oświadczyła Kathleen. Szły obok siebie w stronę przystanku.

- W ten sposób oszczędzę jej dylematów moralnych.

ROZDZIAŁ 2

Kathleen szybko zmiotła okruchy z wielkiego stołu na małą, srebrną szufelkę. Wygładziła lniany obrus ozdobiony koronkami, uszyty z najdelikatniejszej tkaniny, jaką można znaleźć w Irlandii, po czym cofnęła się o krok i sprawdziła, czy skomplikowana kompozycja kwiatowa znajduje się dokładnie pośrodku stołu. Margaret Drummond była dumna ze stylowej elegancji swych przyjęć i dzisiejsze przyjęcie odznaczało się taką samą wystawnością jak pozostałe. Goście, należący do nowojorskiej elity, mogli wybierać spośród smakowitych dań, które z pewnością będą jeszcze długo wspominać. Po kolacji Kathleen i Lizzie posprzątały ze stołu kryształowe kieliszki, porcelanową zastawę i srebrne sztUćce. Teraz Kathleen zatrzymała się w progu, żeby raz jeszcze sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Nie miała ochoty wysłuchiwać cierpkich uwag Amelii Parsons.

Dotychczas udało się jej uniknąć konfliktów z gospodynią. Mogła polegać tylko na sobie, ale postanowiła udowodnić, że potrafi pracować równie dobrze jak inni. O swojej osobistej sytuacji powiedziała jej tylko tyle, ile musiała. Jeśli nawet pani Parsons zastanawiała się, co stało się z jej planami wyjścia za mąż lub gdzie jest jej narzeczony, to nie zadawała pytań i Kathleen była jej za to wdzięczna.

Westchnęła i ruszyła w kierunku przeszklonych drzwi, które łączyły jadalnię z salonem. Położyła rękę na starej mosiężnej klamce, na chwilę przystanąła i przyjrzała się gościom, którzy wyglądali równie elegancko jak pokój, w którym przebywali.

Kobieta w sukni ozdobionej czarnymi cekinami, sięgającej zaledwie przed kolana: pochyliła się ku mężczyźnie, który podawał jej ogień. Po chwili podeszła do nich jeszcze jedna, ubrana w jeszcze krótszą i bardziej prowokującą suknię z jedwabiu, na który naszyto mnóstwo fosforyzujących, białych koralików, migoczących przy każdym ruchu. Gdy się odwróciła, Kathleen otworzyła usta ze zdumienia. Suknia nie miała zupełnie

pleców! Kathleen przyglądała się, jak miękki jedwab podkreśla zgrabną figurę kobiety i zastanawiała się, w jakich okolicznościach zdobyłaby się na włożenie czegoś takiego. Nic nie przychodziło jej do głowy i uśmiechnęła się ironicznie. Nawet gdyby mogła pozwolić sobie na taką kreację, teraz z pewnością by jej nie włożyła. Właśnie mijał siódmy miesiąc ciąży. Dotychczas już dwukrotnie przerabiała służbową suknię, żeby jakoś ukryć powiększający brzuch, ale było tylko kwestią czasu, kiedy jej sekret wyjdzie na jaw. Wiedziała, że wtedy czeka ją kolejna trudna rozmowa z Amelią Parsons.

- Och, jesteś ... Masz na imię Katherine, tak? Zaskoczona Kathleen szybko się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z panią domu.

- Nie, proszę pani. Jestem Kathleen.

Margaret Drummond miała na sobie suknię skromniejszą niż większość zaproszonych pań. Uszyta z szarej krepy i ozdobiona aplikacjami, z pewnością była dziełem paryskiego krawca. Kathleen nie miała, co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziała, że pani Drummond tam kupuje swe wieczorowe toalety.

Margaret Drummond z roztargnieniem kiwnęła głową i spojrzała w kierunku kuchni.

- Coś musiało zatrzymać panią Parsons - stwierdziła z irytacją. - Posłałam ją, żeby przyniosła mężowi do gabinetu dzisiejszą gazetę.

- Do gabinetu? Kathleen nie powinna była niczemu się dziwić, pani Drummond jednak nie zwróciła jej uwagi.

- Nie rozumiem, dlaczego Edward musi zamykać się w tej ciasnej i śmierdzącej klitce podczas przyjęcia. To oczywiście sprawka Maxwella Rutledge'a. Kiedy mój mąż wda się w dyskusję z Maxem, zapomina - No, nieważne. Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów potrzebują porannej gazety. Pani Parsons najwyraźniej nie może jej znaleźć.

- Wiem, gdzie jest gazeta, proszę pani - odpowiedziała Kathleen. - Pójdę po nią.

- Dobrze. I zanieś ją prosto do gabinetu, bardzo cię proszę - Pani Drummond wskazała z roztargnieniem na drzwi po lewej stronie i skierowała się do gości w salonie. - Nie znoszę tego potwornego smrodu ich cygar - dodała jeszcze, mówiąc w równej mierze do Kathleen, co do siebie.

Kathleen zamknęła drzwi, po czym pospieszenie przecięła korytarz wiodący do kuchennych schodów i pobiegła do pokoju, który dzieliła z Lizzie. Z pewną ironią nazywały go swoim salonem. Zrzuciła poduszki z rozwalającej się kanapy, stojącej w rogu pokoju, i wydobyla spod nich cały plik gazet, które wprost pochłaniała.

Jedną z zalet pracy w domu państwa Drummond był dostęp do licznych lektur. Edward Drummond prenumerował wszystkie nowojorskie dzienniki oraz kilka tygodników i dzienników z innych wielkich miast. Ojciec Kathleen zawsze zachęcał ją, aby rozwijała inteligencję. Interesowało ją wszystko, co okazało się godne wzmianki w gazecie, zwłaszcza artykuły redakcyjne i publicy-

styka. Czasami zabawiała się, poprawiając je lub pisząc polemiki.

Chwyciła "Tribune", sprawdziła datę i szybko wybiegła z dusznego pokoiku. Gdy zatrzymała się przed drzwiami do gabinetu, czuła, jak mocno bije jej serce. Zapukała i drzwi nieco się uchylły. Usłyszała, jak siedzący przy biurku mężczyźni dyskutują na temat artykułu, który ukazał się tego dnia w gazecie. Jeśli dobrze pamiętała, była to, pogłębiona analiza przyszłości komunikacji lotniczej w Stanach i na świecie.

- Kiedy loty transatlantyckie staną się rzeczywistością, Ziemia nagle się zmniejszy - mówił właśnie Maxwell Rutledge.

- Nie staną się rzeczywistością - zaprotestował Edward Drummond, zaciągając się cygarem. - To chyba najbardziej zwariowane przedsięwzięcie, o jakim w życiu słyszałem.

Kathleen uważała, że rację ma Max Rutledge, właściciel i wydawca "Tribune". Choć nie był redaktorem, często widywała jego podpis pod tekstami, które wydawały się jej interesujące.

- Przepraszam, proszę pana - odezwała się, żeby zwrócić na siebie uwagę i szerzej otworzyła drzwi.

- O co chodzi, dziewczyno? - Edward Drummond odchylił się do tyłu i zmarszczył brwi.

Kathleen podeszła bliżej i podała mu gazetę.

- Przyniosłam dzisiejszą "Tribune". Pani mówiła, że pan jej potrzebuje.

Pan domu mruknął coś i sięgnął do kieszeni po okulary. Max Rutledge, który był znacznie młodszy i nie potrzebował szkieł, zerknął na Kathleen i uśmiechnął się do niej. Kathleen była tym nieco zaskoczona, bo choć Max Rutledge był zawsze uprzejmy, nie należał do ludzi rozdających uśmiechy. Zwróciła na niego uwagę już przedtem, bo zauważyła w rysach jego twarzy coś smutnego, co wyróżniało go spośród gości. Był on oczywiście człowiekiem bardzo zajęтым, ale coś w jego wyglądzie zdradzało, że nie zawsze był zamożny i szczęśliwy. Większość ze znajomych państwa Drummond popisywała się swym bogactwem i władzą z arogancją, która przesłaniała wszystkie bardziej subtelne cechy. Ten człowiek wydawał się inny.

- Przynieś nam trochę koniaku - polecił nagle Edward Drummond, nie unosząc głowy nad gazety. Po sekundzie odłożył ją jednak na bok. - Jak masz na imię, dziewczyno?

- Kathleen, proszę pana.

- Przynieś nam koniak, Kathleen. Całą butelkę. Wyszliśmy na wiór, prawda, Max? .

- Skoro tak mówisz, Edwardzie.

- Już podaję, proszę pana. - Kathleen zebrała z biurka brudne kieliszki i spokojnie wyszła z gabinetu. Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że jest służącą i nie zamierzała zachowywać

się jak szczeniak, który koniecznie chce przypodobać się swemu panu.

Zaniosła brudne kieliszki do kuchni i rozejrzała się w poszukiwaniu pani Parsons. Chciała poinformować ją, że już zaniosła gazetę. Ponieważ nigdzie nie było jej widać, wzruszyła ramionami, podeszła do kredensu, wyjęła butelkę koniaku oraz dwa pękate kieliszki, po czym skierowała się z powrotem do gabinetu.

Gdy weszła, mężczyźni od razu unieśli głowy i spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Kathleen przyzwyczała się już do tego, że nikt nie zwraca na nią uwagi, i czasami czuła się nawet niewidzialna. Pod wpływem ich spojrzeń stanęła jak wryta. Kieliszki na tacy stuknęły o siebie i rozległ się melodyjny dźwięk.

- Kathleen? - odezwał się Max Rutledge. Na jego ustach błąkał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Tak, proszę pana. - Zerknęła na swego chlebobawcę, który wciąż palił cygaro. Nie wydawał się zły ani zdenerwowany. Co zatem?

Max Rutledge pochylił się nad biurkiem i wziął do ręki gazetę. Otworzył ją z uśmiechem i Kathleen z przerażeniem rozpoznała jego artykuł.

- Zauważyłem twoje komentarze redakcyjne, Kathleen. Także twoją odpowiedź na artykuł o związkach zawodowych, który zamieściliśmy w środę, jeśli dobrze pamiętam.

Kathleen zupełnie zapomniała, że wczesnym popołudniem, gdy miała chwilę czasu, dla zabawy napisała artykuł o lotnictwie, a następnie, opierając się na opowieści Lizzie o niewolniczych warunkach pracy w fabryce butów, gdzie pracowała jej siostra, szybko skreśliła jadowitą krytykę chciwych zysku biznesmanów oraz urzędników państwowych, którzy przez palce patrzą na ich działalność.

- Nie denerwuj się, Kathleen. - Maxwell Rutledge uśmiechnął się do niej. - Twoje uwagi na temat związków zawodowych są całkiem interesujące.

- Nie pozwolę, żebyś buntowała mi służbę, dziewczyno - prychnął Edward Drummond. Dym cygara zasłaniał jego twarz.

- Nie mam zamiaru tego robić, proszę pana - odparła szybko. - To było tylko ćwiczenie stylistyczne, i zrobiłam to dla zabawy. To samo dotyczy uwag do pana artykułu, panie Rutledge. Bardzo przepraszam, jeśli to pana uraziło.

- W najmniejszym stopniu, Kathleen. Twoje uwagi wydały mi się świeże i interesujące.

- Kathleen, co ty tu robisz?

Tym razem Kathleen była zadowolona, słysząc głos pani Parsons. Szybko postawiła na biurku tacę z koniakiem oraz kieliszkami i ruszyła w stronę drzwi.

- Skończył nam się koniak - wyjaśnił Edward Drummond. - Posłałem Kathleen po nową butelkę.

Gospodyni obrzuciła wszystkich podejrzliwym wzrokiem, po czym kiwnęła głową. W tym momencie zauważyła leżącą na stoliku gazetę.

- Czy to "Tribune", proszę pana?

- Tak, właśnie się znalazła - odparł Max Rutledge.

- W takim razie zostawimy panów w spokoju. Chodź, Kathleen.

Kathleen była pewna, że teraz będzie musiała wyjaśnić pani Parsons, w jaki sposób gazeta znalazła się w gabinecie, ale na szczęście w korytarzu pojawiła się Margaret Drummond i wezwała gospodynię, aby zajęła się jakąś nagłą sprawą. Gdy obie zniknęły w salonie, Kathleen odetchnęła z ulgą. Edward Drummond i Maxwell RuHedge pewnie uznają jej dziennikarskie próby za zabawne, ale pani Drummond i Amelia Parsons mogłyby mieć na ten temat inne zdanie.

- No, no, masz chyba ciężki wieczór, prawda, słodka Kathleen?

Kathleen nerwowo drgnęła. Tuż za jej plecami stał Herbert Parsons. W jego towarzystwie nigdy nie czuła się swobodnie, zwłaszcza od czasu, gdy powiedziała mu, co myśli o jego poszukiwaniach Patricka w Leland Shipping. Herbert oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, ale czy teraz ma to jakieś znaczenie? Patrick zniknął i tyle.

- Połknęłaś język czy co? - Herbert oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i bezczelnie się jej przyglądał. - Ciekaw byłem, jak długo jeszcze będziesz sam na sam ze starym i tym Rutledge'em.

Kathleen zmierzyła go zimnym spojrzeniem. Dobrze знаła jego lisi uśmiezek. Nie wątpiła ani przez chwilę, że chciał ją obrazić.

- Nie wiem, co pan sobie wyobraża, panie Parsons - odpowiedziała spokojnie. - Ja wykonuję tylko swoje obowiązki.

- Panie Parsons - powtórzył, kręcąc głową. - Chyba już tuzin razy mówiłem ci, Kathleen, że dla ciebie nie chcę być panem Parsons.

Wybij to sobie z głowy, pomyślała. W tym momencie zauważyła leżący na podłodze ozdobny, srebrny guzik. Pochyliła się i szybko go podniosła.

- Muszę to odnieść pani, która go zgubiła - powiedziała i odwróciła się, żeby wyjść.

- Co się tam działo? - Herbert chwycił ją za ramię.

- Zaniósłam panu Drummondowi butelkę koniaku - odpowiedziała i zdecydowanym szarpnięciem uwolniła się od jego ręki. Herbert spojrzał na nią sceptycznie.

- Wiesz, jesteś najładniejszą dziewczyną, jaka się tu pojawiła. Od razu wpadłaś mi w oko.

Kathleen wiedziała o tym aż nadto dobrze. Stanowczo wołałaby, aby Herbert skupił swoją

uwagę na innej służącej.

- Nie chciałbym, żebyś miała tu kłopoty - powiedział.

- Czy są jakieś zastrzeżenia do mojej pracy?

- No mama na ciebie nie narzeka.

- Wobec tego doprawdy nie widzę żadnych problemów - stwierdziła, mierząc go lodowatym spojrzeniem. Był zbyt głupi, żeby zwrócić na to uwagę. O, to właśnie lubię. Ten ton, ta klasa.

"Doprawdy, nie widzę żadnych problemów" - przedrzeźniał ją - Wyniosła i nietykalna, prawda?

Lubię ten styl.

Przysunął się do niej i oparł ręką o ścianę nad jej ramieniem. Kathleen zacisnęła zęby, ale pomyślała, że nie ma powodu do obaw. Cóż się może stać, jeśli w salonie jest pełno gości?

_ Wiesz chyba, Kathleen, że nie jesteś byle kim, prawda?

- Panie Parsons ...

- Właśnie przyszło mi do głowy, że jesteś nieco za ładna i za bystra, żeby być służącą, nawet Drummondów. - Herbert przesunął palcem po jej policzku.

- Nie mam nic przeciwko tej pracy - skłamała Kathleen, odchylając głowę.

- Możesz z pewnością znaleźć coś lepszego. Jeden pocałunek i już ja się tym zajmę.

Kathleen miała przed oczami jego sterczące jabłko Adama i z trudem ukrywała obrzydzenie. Nie może stracić tej posady. Wystarczy jedno słowo tego drania, a znajdzie się na ulicy. Boże, co ja mam zrobić? - myślała nerwowo.

- Mam wrażenie, że słyszę, jak tyka twój mózg, moja droga. Myślisz o tym, prawda?

- Niezupełnie, panie Parsons - zaprzeczyła, zaciskając powieki.

- Panie Parsons - powtórzył, kręcąc z dezaprobatą głową. - Znowu to samo. Już ci powiedziałem, kochanie, że ty zawsze możesz mi mówić Herb, choć inni nie będą się ze mną spoufalać. Możesz być tego pewna.

Gdy wyraz twarzy Kathleen nie uległ zmianie, Herbert odsunął się nieco, oparł plecami o ścianę i zrobił dumną minę.

- Oczywiście, nie możesz wiedzieć, jak sprawy się mają - oznajmił wyniośle. - Przez cały czas siedzisz w domu. Wszyscy wiedzą, że stary ma co do mnie pewne plany. Kiedy przyjeżdżamy do klubu albo zakładów, wszyscy się koło mnie kręcą.

"Klub" był ekskluzywną instytucją, przeznaczoną wyłącznie dla mężczyzn. Edward Drummond wstępował tam każdego dnia przed powrotem do domu. Zakłady - to były trzy fabryki tekstylne, główne źródło dochodów Drummondów. Herbert był szoferem Edwarda Drummonda już od pięciu

lat. Kathleen pomyślała z ironią, że jeśli pan Drummond rzeczywiście ma jakieś plany związane z "Herbem", to jakoś nie spieszy się z ich realizacją.

Najwyraźniej mina Kathleen zdradziła, że nie dała się przekonać. Herbert zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Już niedługo przestanę być szoferem - zapewnił ją ze złością. - Sama się przekonasz.

- Życzę powodzenia - mruknęła.

- Żebyś wiedziała, że tak się stanie. W imperium Drummondów nie brakuje okazji, żeby inteligentny człowiek mógł zrobić karierę. Już z nim o tym rozmawiałem. To tylko kwestia czasu, kiedy mi coś zaproponuje.

- Powodzenia.

- No co? - spytał podejrzliwie. - Nie wierzysz mi?

Było absurdem przypuszczać, że Edward Drummond na serio chce umieścić Herberta gdziekolwiek poza garażem. Jej zdaniem, Herbert był niewykształconym prostakiem i z trudem powstrzymywała się, żeby mu tego nie powiedzieć. W tej chwili jednak powinna raczej uwolnić się od niego w taki sposób, żeby przy okazji nie stracić pracy.

- To bardzo interesujące Herb. Teraz muszę już iść, żeby oddać ten guzik. Pani, która go zgubiła, z pewnością się martwi.

- Chyba o czymś zapomniałaś, co? - Herbert chwycił ją za ramię. Poczła nieoczekiwanie silny uścisk jego palców.

- Proszę mnie puścić - powiedziała zimno.

- Wcale nie żartowałem, mówiąc, że jesteś za bystra na służącą - ciągnął, ignorując jej słowa. - Umiesz poprawnie mówić, jesteś bardzo ładna i na dodatek inteligentna. W moich planach jest miejsce dla kogoś takiego jak ty.

- Mam swoje plany - odparła oschle.

- Och, doprawdy? - Herbert znów pokazał wszystkie zęby w uśmiechu. - Jakoś nie zauważyłem długiej kolejki kandydatów do twojej ręki, a na co prócz małżeństwa możesz liczyć?

- Naprawdę muszę już iść - powiedziała spokojnie, choć z trudem panowała nad sobą. Co on chciał przez to powiedzieć? Była zdenerwowana, ale starała się to ukryć.

- Czyżbyś sądziła, że nikt nie wie o twoim małym sekrecie? - syknął, robiąc przebiegłą minę, i demonstracyjnie spojrzał na jej brzuch. - Przyznaję, że niewiele po tobie widać, ale niedługo będziesz pękać w szwach. Pewnie myślałaś, że ten facet, co pracował u Lelanda, ożeni się z tobą. Oszukał cię, nie?

Kathleen zaczerwieniła się z upokorzenia. Obrzydzenie do Herberta, żal do Patricka i bezsilna złość złączyły się w jedno.

- Początkowo byłem wściekły, kiedy się o tym dowiedziałem - dodał, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej stanu. - Nie lubię używanych rzeczy i tak dalej. No, ale trudno, mogę się z tym pogodzić. Jak powiedziałem, mam pewne plany.

Kathleen patrzyła na niego tak, jakby nie rozumiała, co mówi. W głowie miała kompletny chaos. Wiedziała, że prędzej czy później jej tajemnica wyjdzie na jaw, ale żeby dowiedzieli się o tym od tego ... tego pętaka! Nie mogła znieść myśli, że teraz pewnie cała służba, Drummondowie i Bóg wie kto jeszcze strzepi sobie na niej język. Odwróciła się i szybko pobiegła do swej klitki. W holu zapanowała nagle cisza, słychać było tylko dźwięk srebrnego guzika toczącego się po marmurowej posadzce.

- Wszyscy już wiedzą, Lizzie. - Kathleen gwałtownie szarpnęła prześcieradło, po czym uniosła róg materaca i dokładnie upchnęła pod spód brzegi. - Jeśli wie o tym Parsons, to wiedzą wszyscy. Musiał usłyszeć, jak ktoś o tym rozmawia.

- Masz rację. Jest zbyt nadęty własną ważnością, żeby sam mógł zauważyć twój brzuch. - Lizzie wprawnie rozchyliła powłóczkę i wcisnęła do środka poduszkę. - Poza tym interesuje go nie twój brzuch, a zupełnie, co innego.

- Jestem już w siódmym miesiącu, Lizzie. Pewnie i tak mam wielkie szczęście, że nie wywołałam jeszcze skandalu.

- Święte słowa. Boże, kiedy moja mama była w siódmym miesiącu, wyglądała jak wieloryb.

Kathleen przestała na chwilę ścielić łóżko i spojrzała na nią niespokojnie.

- Czy sądzisz, że coś może być nie w porządku? - Na samą myśl o tym, że coś może grozić jej dziecku, natychmiast zapomniała o Herbercie i wszystkich problemach.

- Nie, skądże. Każda kobieta inaczej przechodzi ciążę. Nie martw się. Możesz mi wierzyć; gdyby coś było źle, na pewno bym zauważyła.

Kathleen wygładziła ręką koldrę obleczoną w najpiękniejszą irlandzką pościel i zamyśliła się.

- Wiem, że to brzmi egoistycznie, bo on nie będzie miał ojca, ale tak bardzo go pragnę. Gdyby mu się coś stało, nie wiem, jak bym to zniosła.

- Nic mu nie będzie, moja droga. - Lizzie pochyliła się nad łóżkiem i poklepała ją po ramieniu. - Urodzi się silny jak doker i będzie wrzeszczał wniebogłoso. Sama zobaczysz.

- Mam nadzieję- westchnęła Kathleen, instynktownie osłaniając ręką brzuch.

- Dlaczego uważasz, że to chłopak?

- Po prostu tak myślę.

- Cicho, ktoś idzie. - Lizzie szybko pochyliła się i zebrała brudną pościel. Kathleen podbiegła do toaletki i zaczęła porządkować imponującą kolekcję kosmetyków pani Drummond. Właśnie odkurzała srebrny flakon, gdy w sypialni pojawiła się Amelia Parsons.

- Kathleen! - powiedziała ostrym tonem. - Chcę z tobą porozmawiać. Spotkamy się za pięć minut w moim pokoju.

- Tak, proszę pani.

- Lizzie! Skończ tutaj i posprzątaj zielony pokój w zachodnim skrzydle. Na weekend mają przyjechać goście. Wszystko ma być gotowe na ich przyjęcie. Czy to jasne?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Lizzie. - Zaraz tam pójde.

- A nie mówiłam? - mruknęła Kathleen, gdy Amelia wyszła z sypialni. - Ona już wie.

- Być może. - Lizzie wzruszyła ramionami. - Jeszcze za wcześnie, żeby się przejmować. Głowa do góry!

Nie możesz iść tam tak, jakbyś wstępowała na szafot. Kto wie, może ta stara wiedźma chce cię awansować na pomocnicę? Słyszałam, że nie ma już cierpliwości do tej swojej Betsy.

Kathleen zaśmiała się wbrew sobie, wzięła brudną pościel i zeszała na dół. Gdyby tego dnia ona, Kathleen Collins, ciężarna, niezamężna i bez grosza otrzymała awans, to byłby prawdziwy cud.

- Bardzo mnie rozczarowałaś, Kathleen.

Kathleen wbiła wzrok w swoje splecione dłonie i raz jeszcze powtórzyła w myślach, jak bardzo zależy jej na tej pracy - Żeby taka dziewczyna jak ty, mająca przed sobą całe życie, zapomniała o przyzwoitości i moralności i wszystko zmarnowała ... Jestem tym zaskoczona. Co masz mi do powiedzenia, Kathleen?

- Ja... mój narzeczony ... - Kathleen zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę. Nie potrafiła usprawiedliwić siebie i Patricka. Teraz ważne było tylko to, żeby nie stracić pracy i dachu nad głową. - Prawdopodobnie sądzi pani, że zachowałam się lekkomyślnie, ale zapewniam panią, że sytuacja, w jakiej się znalazłam, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na moją pracę.

- Powiedziałaś "lekkomyślnie"? To chyba nie jest właściwe słowo. Dotychczas sądziłam, że jesteś przyzwoitą dziewczyną. Możesz sobie wyobrazić, co czułam, kiedy dowiedziałam się ...

A zatem nie odgadła tego sama, pomyślała Kathleen.

Ktoś jej powiedział. Z pewnością Herbert. Mogła się tego spodziewać. Chciał się zemścić za to, że nie uległa jego wątpliwemu urokowi. Ze znużeniem potarła palcami czoło. Boże, co za męka!

- Nie wiem, co powiedzą na to państwo Drummond - ciągnęła Amelia. - Zaopiekowali się tobą, zapewnili ci pomoc lekarską, dali ci miejsce przeznaczone dla tej biednej dziewczyny, która utonęła ...

- Urwała i pokręciła głową. - Nie wiem, co zrobić.

- Zależy mi na tej pracy, pani Parsons. - Na myśl, że mogłaby się znaleźć na ulicy, Kathleen sztywniała z przerażenia. Co mogłaby wtedy zrobić, dokąd się zwrócić o pomoc?

- Oczywiście, jest pewne rozwiązanie. Kathleen wstrzymała oddech.

- Są takie agencje - powiedziała gospodyni, wpatrując się w jakiś świstek.

- Agencje? - powtórzyła Kathleen. Spróbowała przeczytać kartkę, którą Amelia trzymała w ręce, ale litery były zbyt drobne.

- Tak. Przyjmują zdrowe dzieci i znajdują dla nich.

- Nie! - Kathleen zerwała się z krzesła i cofnęła do drzwi. - Nie oddam dziecka. Kocham je. Może według innych popełniłam błąd, ale ono jest dla mnie ważniejsze niż moje dobre imię, a nawet życie. Nie oddam go na wychowanie obcym ludziom.

- Siadaj, dziewczyno - poleciła pani Parsons.

Kathleen chwilę się wahała. - Siadaj! powtórzyła ostro. - Nie powiedziałam, że musisz teraz podjąć decyzję. Oczywiście, to należy do ciebie. Tymczasem porozmawiam z panią Drummond. Muszę wiedzieć, czy ona zechce okazać ci miłosierdzie.

Miłosierdzie. Kathleen czuła, że jej policzki płoną. Miała ochotę natychmiast opuścić ten dom i ... I co? Nie miała pieniędzy ani innej pracy. Nie miała wyboru, musiała zdać się na miłosierdzie obecnej chlebodawczyni. Gdyby tylko ...

Bez słowa przyglądała się, jak Amelia przerzuca papiery na stole, aż wreszcie wydobyła jakieś kwity.

- Zauważyłam, że masz niezłe wykształcenie.

- Ojciec był wikarym we wsi, w której się urodziłam - odpowiedziała Kathleen. Nie wiedziała, co ma znaczyć ta nagła zmiana tematu. - Miał studia. Na szczęście udało mi się skorzystać z jego wiedzy.

- Pan Drummond powierzył mojemu synowi nowe obowiązki - oznajmiła Amelia, odsuwając na bok papiery.

- Wymagają one sporo papierkowej roboty. Rachunki za benzynę, naprawy. Czy pomagałaś ojcu prowadzić dom?

- No, tak.

- W jakiej mierze?

- Moja macocha zawsze wolała zajmować się czymś innym.

- Bardzo dobrze. - Amelia wstała z krzesła. Nie uśmiechnęła się, ale sprawiała wrażenie zadowolonej. Kathleen pomyślała, że to nie pasuje do kazania, które niedawno usłyszała, ale po

chwili wszystko stało się jasne.

- Herbert ma rację. Byłoby lekkomyślnością wyrzucać cię z domu, skoro możesz mu pomóc w pracy papierkowej. Rzecz jasna, w obecnym stanie nie powinnaś wchodzić ludziom w oczy. Czy dobrze się rozumiemy? Pomożesz Herbertowi z rachunkami?

- Tak, mogę mu pomóc - zgodziła się po chwili wahania. Nie mogła się zdobyć na to, żeby podziękować Amelii.

- Czy nie powiedziałem ci, że zrobię tu karierę? Kathleen odstawiła na półkę skoroszyt z rachunkami i zamknęła szafkę. Dopiero teraz odwróciła się do Herberta Parsonsa.

- Owszem, powiedział pan. Gratuluję.

- A czy nie powiedziałem, że moje plany obejmują ciebie? - Herbert pochylił się nad niewielkim biurkiem, które wstawił do pomieszczenia obok garażu specjalnie dla niej.

- Powiedział pan - odparła lakonicznie. Stanowczo wolałaby teraz podawać herbatę i ścielić łóżka.

- Co zatem z moją nagrodą?

- Jaką nagrodą? - Kathleen zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Jesteś mi winna całusa, moja droga.

- Nie jestem panu nic winna. - Pomagała mu w pracy już od trzech tygodni, co miało swoje dobre i złe strony. Z jednej strony nie musiała harować do utraty tchu pod rozkazami bezlitosnej Amelii, z drugiej natomiast musiała znosić bezwstydną aluzję Herberta i jego nieustanne próby zapędzenia jej w kąt. Chwilami wydawało się jej, że Herbert nie myśli o niczym innym. Nie zniechęciły go nawet coraz bardziej widoczne objawy ciąży.

Odsunął się od biurka i zwrócił do niej twarzą.

- Wciąż myślisz, że jesteś za dobra dla kogoś takiego jak ja, prawda? Lepiej to jeszcze przemyśl. Jesteś tu tylko dzięki temu, że ja wkroczyłem w tę sprawę. Margaret Drummond kazała mamie cię wyrzucić, więc lepiej nie patrz na mnie z góry i bądź trochę miłsza, bo ani się obejrzysz, jak wylądujesz na bruku. Ciekawe, co wtedy zrobisz ze swoim bachorem?

Kathleen zacisnęła zęby. Herbert najwyraźniej chciał ją zastraszyć, ale zabrał się do tego dość głupio. Pomyślała, że jeśli raz się podda, będzie już zawsze musiała znosić jego chamstwo.

- Naprawdę wolałabym, żeby zainteresował się pan kimś innym - oświadczyła spokojnie. - O tym możemy więc nie dyskutować. - Z zimną krwią wyjęła z szuflady skoroszyt i stuknęła w niego palcem. - To jest główna przyczyna, dla której pan "wkroczył" i zapobiegł mojemu zwolnieniu.

Jest pan jako takim kierowcą i pewnie potrafi pan wykonać proste naprawy, ale nie jest pan w stanie prowadzić spraw papierkowych, związanych z samochodami pana Drummonda.

Skrzywił się i zaklął. - Ty mała ...

- Halo! Jest tam kto?

Oboje natychmiast odwrócili się w stronę drzwi. Kathleen poznała Maxwella Rutledge'a i odetchnęła z ulgą.

- Dzień dobry - powiedziała zaskoczona. - W czym mogę panu pomóc?

Max Rutledge obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. Czy słyszał ich rozmowę? Kathleen zarumieniła się ze wstydu.

- Edward powiedział, że powinien być wolny samochód, z którego mógłbym skorzystać - wyjaśnił Max Rutledge, nie spuszczać z niej wzroku. Gdy zerknął na jej lewą dłoń, żeby sprawdzić, czy nosi obrączkę, Kathleen znów poczuła się upokorzona. - Muszę zaraz jechać na Long Island. Nie będę tam długo. Herbert nie mógł się zdecydować, który samochód wybrać.

- Być może chciałby pan, żeby Parsons tam pana zawiózł? - zasugerowała Kathleen. Postanowiła skorzystać z okazji, żeby się pozbyć syna Amelii.

- Tak rzeczywiście byłoby najlepiej - przyznał Max Rutledge, kręcąc głową z żalosną miną. - Obawiam się, że jeszcze nie przywykłem do wielkomiejskiego ruchu. Mam nadzieję, że to nie sprawi panu kłopotu?

- Hm.

- Pan Drummond będzie przez całe popołudnie pracował w bibliotece - dodał lekko Rutledge. - Może się pan nie obawiać, że będzie pana potrzebował.

Herbert nie miał wyjścia. Szybkim ruchem włożył służbową kurtkę.

- Powiedział pan, że chce pan zaraz jechać, tak - spytał bezczelnym tonem.

- Tak Parsons? Tak się pan nazywa? Jeśli to nie sprawi kłopotu.

- To żaden kłopot. - Herbert sięgnął po czapkę. Gdy obaj wychodzili z pokoju, Max Rutledge obejrzał się przez ramię. Kathleen uznała, że chyba się jej przywidziało, ale gotowa była przysiąc, że porozumiewawczo do niej mrugnął.

Bóle porodowe zaczęły się w nocy. Początkowo czuła tylko narastający ucisk w okolicach krzyża. Do końca ciąży były jeszcze cztery tygodnie, więc nie sądziła, że to już.

- Coś się stało? - spytała Lizzie, przecierając oczy. Kathleen zapaliła lampkę na nocnym stoliku.

- Nie, tylko coś mnie zabolalo. Pewnie źle leżałam. Śpij.

- Ostatnie tygodnie są najgorsze - mruknęła Lizzie. Mama często chciała, żeby tata masował jej

plecy. Zawsze to robił.

- Twoja mama miała męża - oschle odpowiedziała Kathleen.

- Święte słowa. - Lizzie odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. - No, ale masz szczęście, bo tata nauczył mnie, jak się to robi.

- Och, Lizzie, co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Niewątpliwie urodziła dziecko, i to bez żadnych kłopotów.

- Nie wyobrażam sobie, jakim cudem - Kathleen rzeczywiście tak myślała. Dotychczas w Ameryce spotkało ją niewiele dobrego, ale przyjaźń z Lizzie była czymś szczególnym.

- Najpierw pójde do łazienki - powiedziała. Jednym z przekleństw ciąży była nieustanna konieczność odwiedzania toalety.

Gdy wracała do pokoju, poczuła ostry, przenikliwy ból. Krzyknęła z zaskoczenia. Niewiele brakowało, a upadłaby na kolana. Lizzie była przy niej po kilku sekundach.

- Co ci jest, Kathleen?

Kathleen głośno oddychała. Usiłowała zebrać siły, żeby wrócić do pokoju.

- Wiesz ... to chyba już.

- Boże! Jesteś pewna?

- Tak. - Kathleen nie musiała nic mówić. Lizzie sama dostrzegła oczywiste objawy i szybko się przeżegnała. Na nocnej koszuli Kathleen widać było różowe plamy. Odeszły wody płodowe, co nie było dobrą oznaką. Suchy poród jest często długi i trudny.

Kathleen zaczęła się modlić za swoje jeszcze nie narodzone dziecko. Przedwczesny poród powinien ją zaniepokoić, ale, o dziwo, czuła tylko radość, że to już. Nie miała wątpliwości, że wszystko będzie w porządku.

Patrick powinien być przy niej. Ta myśl przemknęła jej przez głowę, ale Kathleen natychmiast się skarciła. Jak może myśleć o nim w godzinie próby? Patrick ją zdradził i stracił wszelkie prawa, nawet do tego, aby wiedzieć o ich dziecku. Pomyślała, że musi powiedzieć Lizzie, że jeśli w trakcie porodu będzie krzyczeć jego imię, ma nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

ROZDZIAŁ 3

Savannah, Georgia - 1927 r.

- Czy ty, Patricku Ryanie O'Connor, bierzesz tę kobietę, Caroline Taylor Ferguson, za żonę i przysięgasz, że jej nie opuścisz w zdrowiu i chorobie, póki śmierć was nie rozłączy?

- Przysięgam.

- Czy ty, Caroline Taylor Ferguson..Patrick przestał słuchać słów księdza i spojrzął na ogromny diament zdobiący dłoń kobiety, z którą właśnie brał ślub. Promienie słońca, przefiltrowane przez cudowne witraże

katedry Św. Jana, trafiły w klejnot i oświetliły młodą parę. Czy to dobry znak? Nie wiedział. Myślał o tym, że oto bierze ślub z kobietą, której nie kocha. To nie będzie łatwe. Czy Bóg przeklnie jego i to małżeństwo? Słuchał z roztargnieniem słów księdza i zastanawiał się, jaka kara go czeka.

Nagle w kościele zapadła cisza. Patrick zdał sobie sprawę, że wszystkie oczy skierowane są w jego stronę. Najwyraźniej powinien coś zrobić. Ksiądz odkaslnął.

- Obrączka, proszę pana -szepnął.

- Och, tak - Niewiele brakowało, a Patrick głośno powiedziałby "przepraszam". To chyba nie najlepsza odpowiedź podczas zaślubin. Co sobie pomyśli ksiądz? A wszyscy goście? Caroline? Szybkim ruchem wyciągnął z kieszonki wspaniałą obrączkę, równie kosztowną, jak zaręczynowy pierścionek z diamentem. Takiej sobie zażyczyła Caroline. Nie patrząc jej w oczy, Patrick skoncentrował się na słowach księdza.

- Wkładając ci tę obrączkę ..

- Wkładając ci tę obrączkę ..

- Biorę cię za żonę.

- Biorę cię za żonę.

Patrick już miał wsunąć obrączkę na palec Caroline, gdy nagle się zawahał. Odniósł wrażenie, że widzi przed sobą inną dłoń, szczupłą, młodą, z długimi palcami i dosyć krótko obciętych paznokciami o naturalnym, pięknym kolorze. Pamiętał, jak drżały, gdy składali sobie przysięgę. To było w Irlandii, nie w Savannah. I tą kobietą nie była Caroline.

Kathleen, moja jedyna miłość.

Kathleen już dawno zginęła. Drżącymi palcami włożył wreszcie obrączkę na palec Caroline i przymknął oczy. Czuł w piersiach przejmujący ból. Nie chciał wspominać przeszłości, ale już było za późno. Wystarczyła chwila nieuwagi, by znów wszystko wróciło, by znów zaczął dręczyć go ból i tęsknota. Nie mógł myśleć o niczym oprócz tamtej przeklętej nocy.

Boże, jakie to było straszne! Był w porcie, gdy na ląd dotarła wiadomość o zderzeniu "Irish Queen" z wielkim transatlantykiem. Kiedy rozpoczęła się akcja ratunkowa, udało mu się dostać na pokład jednego z holowników wypływających na miejsce katastrofy, tuż obok wejścia do portu. Sztorm i deszcz utrudniały akcję, ale szybko stało się oczywiste, że zderzenie było tragiczne w skutkach. Transatlantyk został lekko uszkodzony, natomiast "Irish Queen" szybko poszła na dno. Na wzburzonych falach unosiły się szczątki statku. Nieliczne szalupy z trudem utrzymywały się na powierzchni morza, walcząc z kilkumetrowymi falami.

Sztorm trwał jeszcze dwanaście godzin, a akcję ratunkową zakończono dwie doby później. Ilekroć

wyławiano kolejne ciało, Patrick miał wrażenie, że również umiera. Najgorsze było to, że nie udało się znaleźć ciał wszystkich pasażerów. Gdy podsumowano skutki katastrofy, Kathleen znalazła się na liście zaginionych. To był najgorszy dzień w życiu Patricka. Zbyt późno dowiedział się, jak bardzo przeładowany był ten statek i w jakim był stanie technicznym. Gdy odkrył, w jakich warunkach płynęli pasażerowie trzeciej klasy, ogarnęła go wściekłość. Przeklinał los i Leland Shipping, armatora "Irish Queen". Teraz zapomniał o swych marzeniach i w życiu pozostał mu tylko jeden cel: zemsta. Leland musi zapłacić za śmierć Kathleen.

Kilka następnych dni spędził w otępieniu, czytając w kółko jej listy. Czuł, że bez Kathleen i ich wspólnych planów dryfuje zupełnie bez celu, jak szczątki "Irish Queen" podskakujące na falach. Co mu w życiu pozostało? Nic.

Jedynie zemsta.

Szybko zdał sobie jednak sprawę, że co innego myśleć o zemście, a co innego znaleźć skuteczny sposób jej realizacji. Dotychczas nie mógł zrobić nic, żeby rzeczywiście zaszkodzić firmie.

Uznał w końcu, że najpierw musi zgromadzić jak najwięcej informacji. O to nie było trudno. Marynarze ze statków i dokerzy chętnie opowiadali o tym, jak działa ten armator, aby zwiększyć zyski. Statki do przewozu imigrantów były z reguły przeładowane, oszczędzano na jedzeniu i innych rzeczach, takich jak szalupy i kamizelki ratunkowe. W razie katastrofy pasażerowie trzeciej klasy z zatłoczonych niższych pokładów nie mieli szans na dostanie się do łodzi ratunkowych. Zresztą, nawet gdyby "Irish Queen" nie była przeładowana, i tak nie przetrwałaby sztormu. Zbyt długo odkładano konieczne remonty. Kapitan informował, że wodoszczelne grodzie są zardzewiałe, lecz kierownictwo linii ignorowało jego raporty.

Im więcej Patrick dowiadywał się o warunkach podróży na pokładzie "Irish Queen", tym bardziej czuł się winny. Dlaczego nie sprawdził dokładniej, jakim statkiem Kathleen będzie płynąć? Opinia, jaką miała firma Lelanda, nie była żadną tajemnicą. Wystarczyło zadać parę pytań, i nie ryzykowałby życia Kathleen. Dlaczego o tym nie pomyślał? Teraz wiedział, że właściwie żaden ze statków Lelanda przewożących imigrantów z Irlandii nie był bezpieczny. Dlaczego nie poczekał na następną możliwość? Wiedział, jak brzmi odpowiedź na to pytanie. Był zbyt niecierpliwy, zbyt szybko chciał mieć przy sobie Kathleen. Nie mógł zapomnieć tej nocy, kiedy spełniła się ich miłość, ale od tej pory coraz bardziej dręczyło go poczucie winy, że Kathleen i ich jeszcze nienarodzone dziecko zginęły przez niego, ponieważ on doskonale zdawał sobie sprawę z karygodnych praktyk Leland Shipping.

Leland musi za to zapłacić.

Przypomniał sobie inny moment, kiedy to skończył jeść jabłko i wstał, żeby wrócić do pracy, gdy tymczasem usłyszał głośny krzyk. Między skrzyniami przygotowanymi do załadunku przechodził

mężczyzna w eleganckim garniturze, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje. Ponad jego głową wisiała na haku dźwigu wielka drewniana platforma załadowana pakami. Patrick zauważył, że jedna z lin wyraźnie się obluźowała i platforma zaczyna się przechylać. Jeszcze chwila, i cały ładunek może wylądować na ziemi.

Tym razem ofiarą może paść niewinny przechodzień. Patrick krzyknął i tamten spojrzał w jego stronę. W tym momencie rozległ się trzask i lina pękła.

Patrick instynktownie rzucił się do przodu i z całych sił popchnął mężczyznę. Obaj potoczyli się po nabrzeżu i wylądowali wśród skrzyń z pomarańczami. Równocześnie rozległ się potworny huk. To skrzynie z platformy uderzyły o beton.

Patrick wstał i potrząsnął głową, żeby nieco oprzytomnieć. U jego stóp leżał mężczyzna w średnim wieku. Podał mu rękę i pomógł wstać. Tamten oparł się o skrzynie i chwilę stał nieruchomo, usiłując się uspokoić. Był dobrze ubrany; Patrick zauważył szpilkę do krawata ozdobioną diamentem i złotą dewizkę od zegarka.

- Zawdzięczam panu życie - odezwał się mężczyzna - Wade Ferguson - przedstawił się i podał Patrickowi rękę.

- Patrick O'Connor. - Uścisnęli sobie dłonie. - Nic się panu nie stało?

- Nie, dzięki panu.

- Jest pan pewny? Zdrowo pana walnąłem.

- Nic mi nie jest - uśmiechnął się Wade Ferguson.

- Jeszcze raz dziękuję. Sam pan ryzykował życie - dodał, spoglądając na stertę rozbitych skrzyń, od której dzieliło ich tylko parę metrów.- Ten ładunek ważył chyba z pół tony.

- Też mi się tak wydaje.

- Tak ... Nie musiał pan przecież tego robić, a jednak ... Jestem bardzo wdzięczny i z pewnością o tym nie zapomnę.

- To nic takiego.

- Hm, może pana zdaniem. - Mężczyzna rozejrzał się wokół. Patrick zauważył, że nie wydawał się niczym zdziwiony ani zaskoczony. Najwyraźniej doki były mu

znane. - Pracuje pan u Lelanda, tak?

Kiwnął głową. Nie mógł się zmusić, żeby to głośno potwierdzić.

- Jest pan dokerem?

- Tak, proszę pana.

- Nazywa się pan O'Connor?

- Tak.

Wade Ferguson rozejrzał się wokół ponownie, znalazł swój kapelusz i podszedł, żeby go podnieść. Potem oczyścił go rękawem i włożył na głowę, a w końcu obrzucił Patricka uważnym spojrzeniem.

- Raz jeszcze dziękuję. Do widzenia.

Patrick odprowadził go wzrokiem. Teraz mężczyzna wykazywał nieco większą ostrożność, torując sobie drogę wśród skrzyń. Gdy zniknął, Patrick podniósł czapkę i wrócił do pracy.

Następnego dnia właśnie ładował belę bawełny, gdy usłyszał, że woła go Judson. Odwrócił się i dostrzegł, że nieco dalej stoi Wade Ferguson. Towarzyszyła mu młoda kobieta o krótko obciętych, ciemnych włosach. Krótka spódniczka powyżej kolan nie kryła jej zgrabnych nóg. Patrick powoli się wyprostował. Dobrze wiedział, że wszyscy dokerzy gapią się na tę dziewczynę. Nawet z odległości piętnastu metrów widział, że jest bardzo ładna, ale nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Znacznie bardziej interesował go sam Wade Ferguson. Zaczepił hak dźwigu o belę i podszedł do niego.

- Dzień dobry.

_ O' Connor! Cieszę się, że znów pana widzę - Wade Ferguson podał mu rękę. - To moja córka, Caroline.

Patrick spojrział na nią z bliska i zdał sobie sprawę, że jest młodsza, niż myślał.

- Cieszę się, że pana poznałam - odezwała się Caroline. Mówiła z wyraźnym południowym akcentem.

- Dzień dobry pani. - Patrick uklonił się jej, uchylając czapkę. Caroline była ubrana wedle kanonów najnowszej nowojorskiej mody. Miała lekko odęte, czerwone wargi i rzucała mu zalotne spojrzenia. Nie rozumiał, co ta dziewczyna tu robi. Dlaczego ojciec przyprowadził ją do doku? To nie jest stosowne miejsce dla młodej kobiety. Czyżby ten człowiek nie wiedział, że dokerzy to nie dżentelmeni? W każdej chwili mogła usłyszeć jakąś nieprzyzwoitą zaczepkę. Jedziemy do domu, do Georgii - powiedział Wade Ferguson. - Załatwiłem już sprawy w Nowym Jorku i przed wyjazdem chciałem z panem porozmawiać. Oczywiście, jeśli ma pan chwilę czasu.

Patrick spojrział na Judsona, który nie odrywał wzroku od nóg Caroline.

- Zwykle o tej porze mam przerwę na lunch.

- Właśnie na to liczyłem. - Ferguson wskazał ręką samochód z kierowcą, zaparkowany tuż koło bramy. Najwyraźniej zwykł podróżować w luksusowych warunkach. Wziął córkę pod ramię i skierował się w stronę pojazdu. Patrick szedł obok niego. Tu, w Ameryce, nie miał zamiaru trzymać się z tyłu.

- Nie zajmę panu dużo czasu - powiedział Wade Ferguson, od razu przystępując do rzeczy -

Wiem, że jeśli ktoś pracuje tak ciężko jak pan, koło południa jest głodny jak wilk, więc załatwimy to szybko. Czy coś pana trzyma w Nowym Jorku?

Patrick oparł się o samochód i obrzucił wzrokiem szare wody basenu portowego. Z jakiegoś powodu znów pomyślał o Kathleen. Przed oczami widział jej uśmiechniętą twarz. Tak wyglądała zawsze, gdy rozmawiali o przyszłości w Stanach. O ich marzeniach. O rodzinie, jaką mieli założyć.

- Panie O'Connor?

Patrick otrząsnął się z zadumy i spojrzał na Fergusona. Czy coś trzyma go w Nowym Jorku?

- Nowy Jork to takie samo dobre miejsce jak każde inne - odpowiedział. Tu trzymało go tylko pragnienie zemsty.

- Pozwoliłem sobie sprawdzić kilka faktów - powiedział Wade Ferguson. - Wiem, że nie zatrzymują tu pana żadne względy osobiste. Pana rodzina mieszka w Irlandii, prawda?

Patrick pokiwał głową.

- Słyszałem, że pana narzeczoną była wśród ofiar katastrofy "Irish Queen". To prawdziwa tragedia. - Wade Ferguson w zadumie pokiwał głową.

- Kathleen - szepnął Patrick.

- Słucham?

_ - Kathleen. Miała na imię Kathleen - powtórzył cicho, patrząc gdzieś w dal.

Wade Ferguson przez chwilę milczał, uważnie mu się przypatrując.

_ Bardzo panu współczuję - powiedział lekko ochryplym głosem. - Wiem, jak to jest. Moja żona, Pamela, zmarła ponad piętnaście lat temu, a wciąż ...

Myślisz o niej? Kochasz ją? Brakuje ci jej? Czujesz w sercu czarną dziurę? Patrick zerknął na mężczyznę. Sam nie mógł ani na chwilę uwolnić się od żalu i poczucia winy. Świadomość, że Ferguson też pewnie cierpi, nie może mu pomóc. Następne słowa mężczyzny zmusiły go do powrotu na ziemię.

- Dziwi mnie, że w takich okolicznościach wciąż pracuje pan u Lelanda - mówił tamten z wyraźnym zaciekawieniem.

- Mam swoje powody.

- Aha. - Wade Ferguson pokiwał głową. - Czy te powody nie pozwoliłyby panu rozważyć propozycji podjęcia pracy w mojej firmie?

Patrick przez chwilę patrzył na starszego mężczyznę w milczeniu.

- Nie wiem. Dlaczego nie? Co pan mi proponuje?

- Tatusiu! Pospiesz się, proszę - przerwała im Caroline.- Strasznie wieje.

- Jeszcze chwilę, maleńka - odparł ojciec, nie zwracając na nią uwagi. - Nie zapominam o

swoich długach, O'Connor. Ocalił mi pan życie i chciałbym się jakoś odwdziżyć. Jestem właścicielem stoczni. Słyszał pan o niej?

- Nazwa obita mi się o uszy - przyznał Patrick. W tej chwili nie mógł przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Sądząc po wyglądzie Fergusona, jego samochodzie i wytwornej córce, musiało mu się dobrze powodzić.

- Budujemy jachty, niewielkie żaglowce, łodzie rybackie - wyjaśnił Ferguson. W jego głosie pobrzmiwała duma. - Może pan sprawdzić, nikt nie buduje lepszych. Teraz chcemy rozszerzyć produkcję. Będziemy robić łodzie patrolowe dla marynarki wojennej.

Patrick pokiwał głową. To może być ciekawe.

- Gdzie jest ta stocznia, panie Ferguson?

- W Savannah, w Georgii. Czy chciałby pan tam pojechać i pracować u mnie?

- Co miałbym robić?

- To, co potrafi pan najlepiej. Przekonamy się w praktyce.

Patrick odwrócił się i spojrzał w kierunku wejścia do portu. W domu, w Kilkenny, był czeladnikiem u stolarza. Podjął pracę w Leland Shipping tylko po to, żeby dostać zniżkę na bilet dla Kathleen. Po jej przyjeździe zamierzał znaleźć lepszą pracę. Później został, żeby lepiej poznać zasady działania firmy. Teraz wiedział już dość, żeby obmyśleć sposób zemsty, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że realizacja planu może potrwać wiele lat. Podjęcie pracy u konkurenta, takiego jak Ferguson, mogło okazać się właściwym krokiem na drodze do celu.

- Co pan na to, O'Connor? Moja firma jest bardzo solidna, a w Savannah żyje się znacznie przyjemniej niż w Nowym Jorku. Mogę pana zapewnić, że nie będzie pan u mnie dokerem. Wiem, że stać pana na więcej. Człowiek o pana zdolnościach potrzebuje tylko odpowiedniej okazji. Właśnie ją panu stwarzam.

Savannah leży dwadzieścia pięć kilometrów od ujścia rzeki o tej samej nazwie. Patrick od razu polubił to pełne zieleni miasto. Znalazł mieszkanie w jednym ze starych domów w centrum i wkrótce czuł się jak u siebie. W przeciwieństwie do wielu „Jankesów”, jak określano tu wszystkich, którzy nie urodzili się na Południu, nie miał żadnych kłopotów z aklimatyzacją. Po sześciu miesiącach nie zwracał już uwagi na upał i duszną wilgoć.

Z okien jego mieszkania widać było jeden z charakterystycznych placów Savannah. Gdy w 1733 roku zakładano miasto, wytyczono uporządkowaną sieć prostopadłych do siebie ulic. W połowie dziewiętnastego wieku w centrum miasta znajdowały się dwadzieścia cztery place. W czerwcu, gdy Patrick pojawił się w Savannah, plac Chatham wyglądał jak z obrazka. Wszędzie widać było różowe

oleandry, pokrzywione stare magnolie, uginające się pod ciężarem wielkich kwiatów i stare dęby, obrośnięte gęstym mchem. Patrick często siadywał tam wieczorami na ławce, żeby odprężyć się po pracy, gdzie na ogół miał prawdziwe urwanie głowy. Często myślał, że Kathleen polubiłaby Savannah.

W stał z ławki, rzucił niedopałek cygaretki na ziemię i poszedł do domu. Akurat tego wieczoru nie chciał myśleć o Kathleen. To z reguły wpędzało go w przygnębienie, na które nie pomagała nawet irlandzka whisky.

Otworzył szafę i wyjął garnitur. Po sześciu miesiącach pracy w Savannah Wade Ferguson po raz pierwszy zaprosił go na przyjęcie. Patrick nie chciał się spóźnić. To zaproszenie bardzo go zdziwiło, bo choć w pracy Ferguson odnosił się do niego serdecznie i z szacunkiem, dotychczas ściśle przestrzegał granicy oddzielającej stosunki zawodowe od towarzyskich. Patrick zachodził w głowę, co kryje się za tym zaproszeniem.

Dotarł do willi Fergusona, gdy w ogrodzie paliły się już lampy. Rezydencja wyglądała rzeczywiście imponująco. Był to jeden z najnowszych domów zbudowanych tuż za granicami miasta. Ferguson mógł być z niego dumny, podobnie jak ze swych innych osiągnięć. Przyjechał do Savannah w 1901 roku bez grosza przy duszy. Zaczął pracować w firmie handlującej bawełną i szybko awansował na kierownika magazynu. Wtedy poznał córkę bogatego handlarza bawełną i postanowił się z nią ożenić. Po ślubie namówił teścia, aby zainwestował w podupadłą szkulnię i szybko uczynił z niej jedną z najszybciej rozwijających się firm w Savannah.

Tak, Wade Ferguson z pewnością nieźle sobie radzi, pomyślał Patrick, zatrzymując się przed eleganckimi drzwiami. Nim zdążył nacisnąć klamkę, czarnoskóry służący w liberii otworzył przed nim drzwi.

Patrick wszedł, zdjął kapelusz i rozejrzał się. Był w czarnym garniturze i nowej, śnieżnobiałej koszuli, ale jego strój wciąż różnił się klasą od ubiorów innych gości.

- Patrick! Cieszę się, że jesteś, mój drogi. Jaki jesteś punktualny!

- Dobry wieczór, panno Ferguson.

- Och! - Caroline zmarszczyła nos, uniosła kieliszek i wypita łyk szampana. - Zawsze jesteś taki uprzejmy i oficjalny! - Wsunęła mu rękę pod ramię i otarła się o niego niczym kotka. - Jesteś na przyjęciu. Odpręż się trochę.

- Jestem odprężony - powiedział. Jego zdaniem, Caroline była już na lekkim rauszu.

- Kłamca - oświadczyła, odsuwając się nieco i lustrując go wzrokiem.

- No, może jestem nieco spięty - przyznał z lekkim uśmiechem. - Po raz pierwszy zostałem zaproszony do domu szefa.

_- Na pewno chciałbyś wiedzieć dlaczego - Na ustach Caroline pojawił się cyniczny uśmiech. Znow wypiła nieco szampana.

- Przyznaję, że tak.

- Tatuś przygotował dla ciebie małą niespodziankę.

- Jaką? - Patrick zmarszczył czoło.

- Gdybym ci powiedziała, zachowałabym się jak niegrzeczna córeczka, czyż nie?

Spojrzał na nią uważnie. Nie był w stanie rozszyfrować jej intencji. Caroline była dla niego tajemnicą. Gdy przyjechał do Savannah, dała mu wyraźnie do zrozumienia, że należą do różnych światów. Ona była córką właściciela, on najemnym pracownikiem. Starannie podkreślała tę różnicę, ale jemu to nie przeszkadzało. W jego myślach nieustannie gościła Kathleen i nie zwracał uwagi na kobiety. Poza tym Caroline była samowolna, uparta i potwornie rozpuszczona. Jeśli Wade Ferguson miał jakąś słabość, to niewątpliwie była nią jego córka.

- Chyba zawsze tak się zachowujesz, prawda? - Patrick miał nadzieję, że zdoła ją skłonić do wyjawienia planów ojca.

- Nie jestem pewna, czy cię lubię - odpowiedziała. Jej uśmiech wydawał się teraz znacznie mniej serdeczny.

Patrick również nie był pewien, czy ją lubi, ale nie zamierzał tego mówić na głos. Caroline była tematem licznych plotek i miała opinię szybkiej dziewczyny. Zapewne Wade Ferguson był jedyną osobą w mieście, która o tym nie wiedziała.

- O czym myślisz? - spytała nagle.

- O tym, że jestem tu jedyną osobą bez kieliszka.

- Z tym możemy sobie szybko poradzić, skarbie. Wsunęła mu rękę pod ramię i poprowadziła do baru.

- Irlandczyk nie może być trzeźwy na przyjęciu. Na co masz ochotę?

- Proszę whisky.

Caroline przekazała jego życzenie czarnoskóremu barmanowi. Najwyraźniej Ferguson i jego znajomi nie uważali, by ich także dotyczyła prohibicja. Po sześciu miesiącach pracy w firmie Patrick wiedział, że Ferguson ma rozległe wpływy i stosunki.

- Przypuszczam, że to irlandzkie pochodzenie tłumaczy niektóre twoje cechy - zauważyła Caroline. Przyglądała mu się zupełnie otwarcie.

- Na przykład?

- Czy to nie oczywiste, kochanie? Lubisz whisky, tyrasz jak wół, no i jesteś takim wspaniałym brunetem.

Patrick nie mógł zaprzeczyć niczemu, ale w ustach Caroline zabrzmiało to jak obelga. W tym momencie" barman podał mu szklanke.

- Chyba jeszcze nigdy nie widziałam takiej fascynującej kombinacji - westchnęła Caroline. - Oczy niebieskie jak niebo nad Savannah i włosy czarne jak noc. Mam tylko jedno pytanie.

- Tak? - Patrick zauważył Wade'a Fergusona w towarzystwie kilku mężczyzn. Gdy usłyszał odpowiedź Caroline, spojrzał na nią zaskoczony.

- Co takiego?

- Pytałam, kochanie, czy wszędzie jesteś taki wspaniały?

- Ile pani wypła, panno Ferguson?

- Za mało - zachichotała i podała kieliszek barmanowi. - Poproszę j jeszcze jeden, Ezra.

- Tak, proszę pani.

- Mm ... Cudowny. Uwielbiam szampana. O czym to mówiliśmy? Aha. Mam nadzieję, że powstrzymasz się od uwag na temat mojego picia. Mam ich dość.

- O'Connor, witam.

- Dobry wieczór. - Patrick przywitał się z Wade'em Fergusonem i Joe Powellem, głównym księgowym stoczni. Pozostałych nie znał.

Ferguson dokonał prezentacji. Inżynier okrętowy, ekonomista. Jeden z mężczyzn wydał się Patrickowi znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział.

- Whitley, inżynier - przedstawił go Ferguson. Pracował u Lelanda. Mogliście się tam poznać.

- Nie przypominam sobie, że bym miał tę przyjemność - uśmiechnął się Whitley.

Nagle Patrick przypomniał sobie, w jakich okolicznościach zobaczył go po raz pierwszy. Whitley nieoczekiwanie pojawił się w doku i urządził Judsonowi awanturę o to, iż przekroczyli ładowność frachtowca, który miał wypłynąć do Londynu. Wydawał się człowiekiem spokojnym, a jednak nie pozwolił Judsonowi na żadną dyskusję, czym bardzo zaimponował Patrickowi.

- Zna pan, oczywiście, Bena Sculleya. Jest moją prawą ręką. - Ferguson wskazał głową wysokiego, smagłego mężczyznę, dobiegającego już pięćdziesiątki. Patrick słyszał już o nim. Sculley nie był łatwym człowiekiem. Miał swoich faworytów i mało kto go lubił. Powitał go skinieniem głowy.

- Mówiliśmy o panu, O'Connor - oznajmił Wade Ferguson, jednocześnie dając sygnał barmanowi, aby napełnił ich kieliszki. - Przejdźmy do gabinetu, panowie. Najpierw interesy, później

przyjemność, to moje motto. Caroline, dziewczyno, wypiałś już dość szampana. Zajmij się naszymi gośćmi. Nie zapominaj, że jesteś tu gospodynią.

- Tak, tatusiu.

Caroline odpowiedziała niczym posłuszna córeczka, ale w jej oczach pojawiły się groźne błyski. Ciekawe, czy tylko ja to zauważyłem? - zastanowił się Patrick. Ukochana córeczka tatusia najwyraźniej nie lubiła pouczeń. Zapewne również nie cieszyła się z faktu, że kazał jej zmiatać, gdy mężczyźni rozmawiają o interesach. Patrick nie miał jednak czasu rozmyślać o Caroline, bo jej ojciec poprowadził ich już do gabinetu.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, przystąpił do rzeczy.

- Chcemy, żeby objął pan stanowisko kierownika produkcji.

Po sześciu miesiącach Patrick wiedział, że nie zawiódł oczekiwań szefa, takiego awansu jednak się nie spodziewał.

- Znam przynajmniej trzy osoby z dłuższym stażem, które nie byłyby zadowolone z takiego obrotu rzeczy - odpowiedział, starając się, by jego ton zdradzał szacunek.

- Stokes, Johnson i Lunigan, tak? - Wade Ferguson zapalił cygaro.

- Tak - potwierdził Patrick. Nie mówiąc już o Benie Sculleju, dodał w myślach. Ten też nie wygląda na zachwyconego.

- Ja tu decyduję! - prychnął Ferguson. - Stokesowi brakuje energii, Johnson nie potrafi kierować ludźmi, a Lunigan jest strasznie narwany. - Wypuścił z ust obłoczek błękitnego dymu. - Niech się pan nie obrazi, wiem, że to pana rodak, ale przyzna pan chyba, że jest przesadnie wybuchowy. Gdyby on miał kierować stoczną, zapanowałby zupełny chaos.

Prywatnie Patrick przyznawał mu rację. Gorączkowo rozważał tę ofertę, ale w istocie wiedział już, że się zgodzi. Dotychczas przypuszczał, że będzie musiał pracować wiele lat, nim dostanie jakikolwiek awans.

- No to co?

Patrick podał mu rękę na znak zgody.

W ciągu sześciu tygodni w pełni przejął kierownictwo produkcji w stoczni. Początkowo spotykał się z objawami niechęci, lecz nie trwało to długo. Nawet Ben Sculley pogodził się z jego awansem. Jak zauważył Wade Ferguson, Patrick miał świetne stosunki z robotnikami, ponieważ ich szanował. Nigdy nie zapominał, że w ostatecznym rachunku to od nich zależą wyniki stoczni. Nie szczędził im pochwał, a jednocześnie starał się być obiektywny i sprawiedliwy. Wade Ferguson był dla niego dobrym przykładem. Im lepiej się poznawali, tym bardziej Patrick szanował szefa.

Pewnego dnia, jakieś dziewięć miesięcy po jego przyjeździe do Savannah, Wade z samego rana wezwał go do biura. Poprzedniego dnia skończyli układać kil pierwszego okrętu patrolowego. Walcząc o ten kontrakt, Ferguson był zmuszony zgodzić się na krótki termin. Pierwszy etap budowy poszedł nieoczekiwanie gładko, co szef winien docenić. Patrick oczekiwał przyjaznego klepięcia po ramieniu, a nie przykrej niespodzianki.

Gdy wszedł do gabinetu, szef natychmiast uniósł głowę.

- Patrick? Wejdz, synu. Cieszę się, że już jesteś.

- Dostałem wezwanie kilka minut temu, Byłem w stoczni, trzeba znaleźć dobre miejsce na magazyn farb.

- Tak, tak. Oczywiście. Siadaj, proszę.

Patrick podszedł do stolika, na którym stał dzbanek i filiżanki i nalał sobie herbaty. Wade Ferguson zawsze miał w gabinecie świeżo parzoną, gorącą herbatę. To była jeszcze jedna łącząca ich cecha: obaj woleli herbatę od kawy. Patrick usiadł w fotelu.

- Chłodny dzień - zauważył, obejmując palcami gorącą filiżankę.

- Tak, w lutym bywa tu całkiem rześko. Oczywiście to nic w porównaniu z Nowym Jorkiem.

- Oczywiście - uśmiechnął się Patrick.

- Świetnie dałeś sobie radę z tym kilem. Gratuluję.

- Dziękuję.

- Dostaniesz premię.

Tego Patrick się nie spodziewał. Jak zwykle, gdy spotykało go coś przyjemnego, pomyślał o Kathleen. Czy byłaby z niego dumna? Odchrząknął i postawił pustą filiżankę na stoliku.

- Jednak to nie z tego powodu prosiłem, żebyś tu przyszedł.

Patrick przyjrzał się uważnie swemu szefowi. Wade Ferguson sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Miał czerwone oczy, tak jakby całą noc nie spał. Zazwyczaj był bardzo opanowany, ale tego dnia bez przerwy przekładał jakieś papiery z miejsca na miejsce.

- Czy coś się stało?

- Nie, ależ nie ... No, może jestem trochę rozstrojony.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Nigdy przedtem tego nie robił.

- Znasz moją córkę, Caroline.

- Oczywiście.

- Jest bardzo ładna. - Wyraz twarzy Fergusona wyraźnie złagodniał. Patrick przytaknął, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Ferguson zwrócił się do okna. Wydawało się, że zbiera siły,

żeby powiedzieć coś ważnego.

- Jej matka zmarła, gdy Caroline miała zaledwie cztery lata. Do dziś nie mogę się z tym pogodzić. Pamela też była piękna. Każdy chłopak w Savannah marzył, żeby się z nią ożenić, ale wybrała mnie. Często zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, do czego doszedłem. Jej rodzina była zdania, że Pamela popełniła megalians.

Patrick był zdumiony. Szef dotychczas nie rozmawiał z nim o sprawach osobistych.

- W każdym razie, gdyby Pamela żyła, pewnie potrafiłaby - jak to mam określić? Potrafiłaby jakoś wpłynąć na Caroline. Jak pewnie zauważyłeś, moja córka jest uparta i rozpuszczona. Och, wiem, jakie krążą o niej plotki, ale zapewniam cię, że to tylko plotki. Chcę być z tobą szczery. Martwi mnie jedna sprawa. Caroline powinna już wyjść za mąż.

- W dzisiejszych czasach kobiety są bardziej niezależne - zauważył Patrick.

- Tak, głosują, pracują, zajmują się polityką - prychnął Ferguson, na chwilę zapominając, o czym chce mówić. - Nie mamy na to najmniejszego wpływu prawda? Wróćmy jednak do Caroline, mój chłopcze. Jak już powiedziałem, powinna wyjść za mąż. Niektórzy pewnie uznaliby, że to nie moja sprawa, ale ja jestem innego zdania. Z całą pewnością powinienem dopilnować, żeby moja córka była szczęśliwa.

Patrick czuł coraz większe napięcie. Niepokoił go kierunek, jaki przybrała ta rozmowa. Wstał i podszedł do stolika z herbatą. Wade Ferguson trzymał w biurze alkohol. Patrick zerknął tęsknie na butelkę doskonałej irlandzkiej whisky, lecz zdecydował się na herbatę.

- Czy lubisz Caroline, Patricku?

- Nie znam jej na tyle, żeby powiedzieć tak lub nie - odrzekł, kryjąc twarz za uniesioną filiżanką.

- Ona z pewnością zwróciła na ciebie uwagę. Sam widziałem.

Od czasu owego przyjęcia Caroline flirtowała z nim przy każdej okazji, on jednak uważał, że to nie ma znaczenia, bo Caroline flirtowała z każdym w miarę przystojnym mężczyzną. O co może chodzić Fergusonowi?

- Czy twoim zdaniem ona jest niezbyt atrakcyjna?

- Ależ skąd!

- Dobrze, dobrze ... - Ferguson znów odkaslnął.

- Myślałem - Jesteś jeszcze młody, Patricku. Tu, w stoczni, masz przed sobą piękną przyszłość. Każdy potrzebuje rodziny. Ja mam ten wielki dom przy Orchard Road, osiemnaście pokoi, a mieszkam tam tylko ja i Caroline, nie licząc służby.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Patricku, od dawna nie uważam ciebie za mojego pracownika. Poznałem się na tobie już pierwszego dnia, gdy wyciągnąłeś mnie spod tej platformy. Jestem szczęśliwy, że się nie omyliłem. Od tego dnia miałem wiele okazji, żeby ocenić twój charakter i zdolności.

Patrick poruszył się niespokojnie. Miał wrażenie, że Ferguson czeka, żeby rzucić jakąś bombę.

- Nie znam żadnego młodego człowieka, którego darzyłbym większym szacunkiem niż ciebie.

- Dziękuję, proszę pana.

- Nie ma też w całym mieście, ba, w całym stanie, mężczyzny, któremu chciałbym złożyć tę ofertę bardziej niż tobie, synu.

Synu?!

- Proponuję ci rękę mojej córki. Nie żartuję. - Ferguson wyjął chusteczkę i wytarł pot z czoła.

Patrick milczał przez dobre pół minuty, gorączkowo myśląc, co odpowiedzieć.

- Panie Ferguson, to wielki zaszczyt-powiedział wreszcie i z trudem przełknął ślinę - To również wielka niespodzianka. Jestem jednak najzupełniej zadowolony jako pana pracownik. Może lepiej poprzestańmy na tym.

- Nie odmawiaj od razu. Pomyśl o tym.

- Nie mogę się ożenić z pana córką. Pan też nie powinien zajmować się jej małżeństwem. Żyjemy w dwudziestym wieku, proszę pana. Swaty i umowy małżeńskie należą już do przeszłości. Tylko Caroline ma prawo wybrać mężczyznę, za którego zechce wyjść za mąż.

- _ Zaproponowałem ci to w porozumieniu i za zgodą córki.

- Chyba pan żartuje! - Patrick otworzył usta ze zdziwienia.

- Caroline chętnie wyjdzie za ciebie, Patricku - oznajmił Wade Ferguson. - Moim zdaniem, wychodząc za ciebie będzie jedną z najszczęśliwszych młodych kobiet. Sam jej to powiedziałem.

- Jednak, proszę pana - Pozostając z całym szacunkiem ...

- Oczywiście, ty też na tym skorzystasz. - Podszedł do biurka i wziął do ręki plik dokumentów. - Oto umowa, przygotowana do podpisu. Zostałbyś równoprawnym partnerem Ferguson Shipyard i członkiem zarządu. Po ślubie zostałbyś wiceprezesem do spraw technicznych.

Patrick oparł się wygodnie w fotelu i uważnie spojrzął na szefa. Miał wrażenie, że ten nie mówi wszystkiego, nie potrafił jednak dociec, co ukrywa. Rzecz jasna, był ambitny, ale dlaczego Ferguson wystąpił z tą propozycją właśnie teraz? Dlaczego chce wydać córkę i dziedziczkę za mąż za kogoś takiego jak on, bez żadnego majątku? Dlaczego Caroline chce wyjść za niego?

Propozycja ta budziła w nim coraz więcej zastrzeżeń, ale gdy jeszcze raz zerknął na Ferguson, odgadł, że dziś już nie otrzyma żadnych wyjaśnień. Może kiedyś dowie się prawdy, ale teraz musi

odpowiedzieć tak lub nie, opierając się jedynie na zaufaniu.

Instynkt podpowiadał mu, że powinien wstać i wyjść.

- Już wkrótce przestaniemy być prowincjonalną firmą, Patricku. - Ferguson nie krył podniecenia.
- Mamy znakomite perspektywy. Nowojorskie stosunki Whitleya okazały się niezwykle owocne.

- Co mam przez to rozumieć? - Russ Whitley dawniej pracował w Leland Shipping. Jak zwykle, na samą myśl o wielkim koncernie przewozowym Patrick poczuł, że odruchowo zaciska zęby. Z trudem skupił się na tym, co mówił Ferguson.

- Mamy przed sobą wspaniałą przyszłość. Wejdziemy w spółkę z Leland Shipping!

Ferguson zagrał swoją najwyższą kartą. W gabinecie zapadła cisza. Drżącymi rękami Patrick otworzył butelkę whisky i napełnił szklankę niemal do połowy. To niemal za piękne, żeby było prawdziwe! Teraz mógłby rozłożyć Lelanda od środka! Okazja sama pcha mu się w ręce. Ślub z Caroline, zawarty z wyrachowania, wydawał mu się zdradą miłości, jaka łączyła go z Kathleen, ale ona przecież nie żyje. Przez Lelanda stracili szansę na szczęście. Czemu nie miałby skorzystać z okazji, by pomścić jej śmierć?

Wade Ferguson podszedł do niego i napełnił whisky drugą szklankę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, napiję się z tobą - powiedział. - Myślę, że dobrze to nam zrobi.

Gdzieś w głębi domu rozległo się bicie zegara. Była już północ. Wypił niemal pół butelki najlepszej whisky, jaką można kupić. Oczywiście za pieniądze Fergusona. Wsparł głowę na rękę i wbił wzrok w ciemność.

Klamka zapadła. Sam nie wiedział, czy to okazja, łut szczęścia, czy zrządzenie losu. Już po trzech tygodniach od rozmowy z Wadem Fergusonem stanął przed ołtarzem i związał się z kobietą, której nie kochał, ba, której nawet nie lubił. A wszystko, dlatego, że to mogło otworzyć przed nim wiele drzwi. Małżeństwo to dawało mu dostęp do wewnętrznych tajemnic armatora. Informacja to władza. Tylko ktoś wyjątkowo potężny mógł złamać takie przedsięwzięcie jak Leland Shipping.

Podniósł głowę, spojrzął na drzwi gabinetu Fergusona i pomyślał, że powinien iść do swej małżonki. Ożenił się z Caroline Ferguson. Obecnie Caroline O'Connor. Pomyślał, że będzie się musiał przyzwyczaić do dźwięku tych słów. Wstał i odstawił szklankę. Nie czuł się wcale jak pan młody. Był przede wszystkim znużony. Miał ochotę pójść spać i zapomnieć o tym wszystkim. Jak dobrze by było, gdyby mógł zasnąć i po przebudzeniu odkryć, że zegar cofnął się o dwa lata. Niestety, to było niemożliwe.

Przetarł palcami twarz. Panna młoda czeka, by spełnił swój obowiązek. Potem będzie mógł spać. Gdy szedł do sypialni, przysłała mu do głowy dziwna myśl. Czy można spać, wiedząc, że właśnie zaprzedało się duszę diabłu?

ROZDZIAŁ 4

Nowy Jork, styczeń 1927 r.

Poród już zawsze będę wspominać jak przez mgłę, choć niektóre fragmenty widzę wyraźniej. Pamiętam zdenerwowanie Lizzie, gdy okazało się, że dziecko jest ułożone w pozycji pośladkowej. Pamiętam również nieustanne wyrzekania Amelii Parsons i ostrą kłótnię między nią a Lizzie, gdy nie pozwoliła jej być przy mnie w trakcie porodu. Mimo straszego bólu, zwróciłam uwagę na stanowczy ton Lizzie. W pewnym momencie położna wlała mi do gardła jakiś paskudny płyn. Od tej chwili byłam zupełnie oszołomiona i nie wiedziałam, co się dzieje. Mimo wysilków, nie mogę sobie przypomnieć samej chwili rodzenia. Nic jednak nie może zmienić gorzkiej prawdy. Straciłam dziecko na zawsze. Zdrada Patricka sprawiła mi ból, ale zawsze pocieszałam się myślą, że będę miała dziecko, które będę kochać i wychowywać. To nadawało mojemu życiu sens. Gdy obudziłam się i usłyszałam, że dziecka nie ma, byłam zdruzgotana. Już zawsze będę czuć ból w sercu.

No i jeszcze sny. Boję się nocy, gdy mój umysł jest wyłączony i władzę przejmuje podświadomość. Najbardziej niepokoi mnie sen, w którym widzę dziecko i słyszę jakieś szepty. Jest zimna, bezksiężycowa noc, pada deszcz. Światła reflektorów długiego samochodu odbijają się od mokrej jezdnii, słychać pisk opon na zakrętach. Po długiej podróży ukazuje się wysoka brama z kutego żelaza, strzegąca dostępu do jakiejś wspaniałej posiadłości. Kierowca naciska klakson, brama otwiera się i samochód wjeżdża na dziedziniec. Brama zamyka się, słychać ostry, metaliczny dźwięk, i w tym momencie zawsze się budzę.

Dlaczego ten sen ciągle powraca? Czy to z powodu niedawnej straty? Czy może coś grozi innemu dziecku? Jakiemu? Nie znam żadnych innych dzieci.

Inny sen uważam za czystą fantazję. Śni mi się, że Patrick do mnie wrócił, pobraliśmy się i jesteśmy szczęśliwi.

Dość już tego. Choć w głębi serca nigdy nie pogodzę się ze śmiercią dziecka, muszę pogodzić się z sytuacją i wykonywać swoje obowiązki.

Zima uparcie nie chciała się poddać i wydawało się, że już nigdy nie nadejdzie wiosna. Mrozy i śniegi nie wystarczały jednak, by zniechęcić Margaret Drummond do życia towarzyskiego. Jak zwykle, często przyjmowała w domu gości. Właśnie podczas jednego z takich przyjęć w życiu Kathleen nastąpiła radykalna zmiana. Tego dnia Lizzie była chora i Kathleen musiała opuścić pokój obok garażu, żeby ją zastąpić.

Po kolacji Amelia kazała jej zanieść kawę do gabinetu pana Drummonda, gdzie toczyła się zażarta dyskusja. Panowie pili przy tym kawę, francuski koniak i palili importowane, hawańskie cygara. Z trudem utrzymując ciężką, srebrną tacę, na której stał duży dzbanek kawy, porcelanowe filiżanki, cukiernica i dzbanuszek z mlekiem, Kathleen zapukała i popchnęła kolanem drzwi gabinetu.

Z wyjątkiem Maxwella Rutledge'a, ani Drummond, ani pozostali goście nie zwrócili na nią uwagi, nawet wtedy, gdy podawała im kawę. Jedyne Max Rutledge podniósł głowę i wziął od niej filiżankę.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem.

Choć zawsze dziękował za wszelkie usługi, jego uprzejmość zaskakiwała Kathleen. Nie była do tego przyzwyczajona, toteż odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

- Byłem zdziwiony, kiedy zobaczyłem cię dziś w jadalni - zauważył cicho, tak, aby pozostali nie słyszeli. - Myślałem; że zostałeś sekretarką tego Parsonsa.

Kathleen zarumieniła się. Nie była pewna, czy Max Rutledge nie podejrzewa jej o coś więcej.

- Czy obraziłem cię, Kathleen? Jeśli tak, to proszę o wybaczenie.

- Nie, ależ skąd, proszę pana. - Nie wiedziała, jak ma traktować Maxa Rutledge'a. Nie miała wątpliwości, że owego dnia w garażu słyszał niesmaczne aluzje Herberta, ale nigdy o tym nie wspominał. Co za pech, że akurat on wszedł wtedy do garażu! Kathleen czuła się potwornie zakłopotana i to ją irytowało. Pospiesznie zaczęła zbierać na tacę brudne kieliszki i popielniczki z niedopałkami.

- Przestałaś już pomagać mu z papierkami?

- Tak ... To znaczy nie, proszę pana. - Dlaczego on zadaje jej te pytania? - Dziś tylko zastępuję chorą Lizzie.

W rzeczywistości Lizzie zachorowała, ponieważ nawdychała się jakiegoś żrącego środka do czyszczenia podłogi. Amelia Parsons zmusiła ją do korzystania z niego, choć Lizzie mówiła, że jest na ten płyn uczulona. Kathleen była wściekła i oburzona. Taki stosunek do służących nie należał w domu Drummondów do rzadkości. Niestety, służące na ogół nie mają wyboru. Och, gdyby tak mogła sama decydować o swoim losie!

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - mruknął Max Rutledge.

- Dziękuję panu. Rano będzie zdrowa. - A jeśli nie, to i tak będzie musiała wstać i pracować.

- Kathleen!

- Słucham, proszę pana. - Odwróciła się do swego pracodawcy, który nerwowo przerzucał leżące na biurku papiery.

- Szukam porannych gazet. Był tam artykuł.

- Poranne gazety są w pojemniku obok biurka, proszę pana. - Kathleen brała teraz prasę do

swojego pokoju dopiero po kilku dniach.

- Tak, tak ... Widzisz, Frank, takie artykuły jak ten w "Timesie" tylko zachęcają do buntów, czy tego nie rozumiesz? Gdyby robotnicy w moich zakładach założyli związki zawodowe, byłaby to dla mnie prawdziwa klęska. - Pan Drummond wyjął z ust cygaro i podniósł głowę. - Gdzie to jest, dziewczyno? - warknął na Kathleen. - Nie mogę znaleźć tego piekielnego artykułu.

- Jeśli ma pan na myśli artykuł o awanturach ze związkami zawodowymi - powiedziała Kathleen, odstawiając tacę i podchodząc do biurka - to ukazał się on wczoraj, nie dzisiaj. I nie w "Timesie", lecz w "Mirror".

- No tak, ale gdzie on jest? - złościł się Drummond, zrzucając pisma na podłogę. - Moje gazety mają tu leżeć, dopóki ich nie przeczytam! Chyba ich nie wyrzuciłaś - co?

- Zaraz poszukam, proszę pana. Wydaje mi się, że go widzę. - Kathleen pochyliła się i podniosła z dywanu poszukiwaną stronę. - Proszę. Jak pan widzi, to "Mirror", nie "Times".

- Dzięki Bogu. - Drummond obrzucił Rutledge'a gniewnym spojrzeniem. - Ostrzegam cię, Max, że jeśli będziesz publikował takie bzdury, to przestanę prenumerować twoją gazetę.

- "Tribune" jest na to zbyt odpowiedzialna - powiedziała bez zastanowienia Kathleen. - Nigdy nie znajdzie pan tam artykułu zachęcającego do zakładania związków zawodowych. "Tribune" relacjonuje fakty, nie zaś je tworzy.

Gdy podniosła srebrną tacę, żeby wyjść, zauważyła, że wszyscy na nią patrzą. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Zawahała się, czy nie powinna przeprosić, ale w końcu uznała, że w jej słowach nie było nic wymagającego przeprosin. Pomyślała, że najlepiej będzie szybko opuścić gabinet, i tak też zrobiła.

Gdy zamknęła drzwi i odwróciła się, niewiele brakowało, a wpadłaby na Herberta.

- Och, przepraszam.

- Byłaś zajęta podlizywaniem się szefowi, co?

Herbert uśmiechnął się dwuznacznie. Kathleen nienawidziła tego uśmiechu.

- Nikomu się nie podlizywałam.

- Co tu robisz z tą tacą? Nie jesteś już przecież pokojówką.

- Lizzie jest chora. Zastępuję ją.

- Ta leniwa dziwka? - skrzywił się szyderczo - Pewnie włóczy się gdzieś po mieście, a na ciebie zwała robotę.

- To nieprawda. - Kathleen z trudem panowała nad sobą. - Leży w naszym pokoju na górze i jest bardzo chora. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać matkę. - Odwróciła się, żeby odejść, ale on

chwycił ją za ramię. Musiała odstawić tacę na najbliższy stolik, żeby jej nie upuścić.

- Poczekaj. Wydaje mi się, że nieco zadzierasz nosa, co? Pewnie myślisz, że jak pozbyłaś się tego bachora. Trzask!

Kłaśnięcie ręki o policzek zabrzmiało głośno niczym wystrzał. Kathleen patrzyła na Herberta, niemal równie zaskoczona jak on. Zareagowała odruchowo, nie podejmując świadomej decyzji. Wprawdzie straciła dziecko, ale ciągle było ono dla niej tak realne, jakby nadal nosiła je pod sercem.

- Zapłacisz mi za to, ty zarozumiała suko - syknął Herbert. Jego oczy błyszczały z wściekłości. Chwycił ją za ramię, a gdy spróbowała się odsunąć, oderwał rękaw jej sukni. Kathleen miała wrażenie, że wszędzie czuje jego ręce. Nie był wprawdzie wysoki ani barczysty, ale zaskakująco silny. Chwycił ją za włosy, unieruchomił i przycisnął do ściany.

- Nie masz co się opierać - warknął, usiłując dobrać się do jej piersi. - Nie zrobię ci nic więcej niż to, co już robiłaś z jakimś gachem. Spodoba ci się, laleczko. Sama zobaczysz.

- Puść mnie! - Kathleen rozpaczliwie próbowała odepchnąć go od siebie, ale Herbert przestał już nad sobą panować. Słyszała jego głośny oddech i czuła odór smaru i cebuli. Odchyliła głowę, usiłując uniknąć jego mokrych warg. Nagle zaklął i uderzył ją w twarz. Poczwała w ustach smak krwi.

- Przestań! Ratunku, proszę, niech mi ktoś pomoże!

Nagle odskoczył do tyłu. Stała oszołomiona pod ścianą, z trudem utrzymując się na nogach. Szybko poprawiła suknię, na ile mogła to zrobić. Gdy podniosła głowę, stwierdziła, że Max Rutledge trzyma Herberta za kołnierz i potrząsa nim niczym niegrzecznym szczeniakiem.

- Do diabła, co ty sobie myślisz! - zawołał Max, kipiąc ze złości. Kathleen dotychczas nie zwróciła uwagi na jego wzrost i siłę. Gdy Max popchnął Herberta w kierunku przeciwległej ściany, przycisnęła palce do ust. Tamten zwałił się na jedno z antycznych krzeseł Margaret Drummond i wyrócił je. Rozległ się trzask łamanego drewna. Gdy uderzył głową o twardą posadzkę, Max Rutledge wydawał się usatysfakcjonowany.

- Co się tu dzieje? - W otwartych drzwiach gabinetu stał Edward Drummond.

- Twój szofer obraził pannę ... Kathleen. Jego zachowanie jest skandaliczne. Wolę nie myśleć, do czego by doszło, gdybym nie pojawił się w porę.

- Co to ma znaczyć, Parsons? - spytał Edward Drummond i zmierzył gniewnym wzrokiem swego szofera. Herbert właśnie podnosił się z podłogi. - Co ty wyprawiasz?

- Tylko to, do czego ona mnie zachęcała, proszę pana - odpowiedział, rzucając Kathleen pełne nienawiści spojrzenie. - Sama tego chciała.

Oczy zebranych skierowały się na Kathleen.

- Czy to prawda? - spytał Drummond.

- Nie bądź głupcem, Edwardzie - ostro prychnął Rutledge. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, do czego by doszło, gdybym nie interweniował. Spójrz tylko na nią!

Kathleen nadal usiłowała poprawić suknię, ale na próżno. Oprócz rękawa, rozdarty był też cały przód. Jej wspaniałe włosy wysunęły się spod czepka i opadły na plecy, otaczając lokami jej zaczerwienioną twarz. Stała skulona pod ścianą i widziała, że wszyscy przyglądają się jej twarzy. Gdy dotknęła ostrożnie warg, na palcach ujrzała ślady krwi.

- On ją uderzył! - powiedział Max Rutledge, z trudem opanowując złość.

- Proszę pana, to nie było tak, jak się teraz zdaje :... zaprzeczył Herbert. - Mówię panu, Kathleen Collins nie jest żadną damą. Wie pan, że nigdy nie była mężatką, a miała tego bachora.

- Edwardzie! - krzyknął Max i zmierzył pana domu ostrym spojrzeniem. - Czy zamierzasz spokojnie słuchać, jak ten smarkacz obraża tę kobietę?

- Hm... - Edward Drummond przygryzł cygaro.

Wyglądał, jakby zdecydowanie wolał być gdzie indziej.

- Widzę, że tak - oznajmił spokojnie Max, po czym westchnął i zwrócił się do Kathleen. - Wobec tego wydaje mi się, że ja muszę przejąć inicjatywę. - Wziął ją pod ramię. - Chodź, moja droga. Mam dla ciebie pewną propozycję.

Nowy Jork, marzec 1928 r.

Stało się coś cudownego! Nie jestem już służącą u Drummondów. Pan Maxwell Rutledge zatrudnił mnie jako sekretarkę i kobietę do towarzystwa dla swej żony, Lily, która porusza się na wózku. Co więcej, spłacił Lizzie i mnie. Trudno mi w to uwierzyć! Nie tylko mieszkam u właściciela i wydawcy jednej z najlepszych gazet nowojorskich, ale na dodatek Lily Rutledge jest zaangażowana w walkę o prawa kobiet, a ja, jako jej sekretarka, załatwiam całą korespondencję i biorę udział w spotkaniach z jej fascynującymi przyjaciółkami!

Ojciec często mawiał, że gdy zamykają się jedne drzwi, Bóg pilnuje, aby otworzyły się inne. Wiem, że te drzwi prowadzą do nowego, szczęśliwego życia dla mnie i dla Lizzie.

- Chciałabym, żebyś więcej wychodziła - oświadczyła pewnego dnia Lily. - Możesz korzystać z samochodu.

- Dziękuję, ale naprawdę nie potrzebuję - odpowiedziała Kathleen. - Wczoraj zrobiłam zakupy.

- Widzę, że. nie wyraziłam się dostatecznie jasno - mruknęła Lily, zdejmując okulary. - Nie mówię, żebyś szła na zakupy. Myślałam, że powinnaś poznać Nowy Jork. To wspaniałe, interesujące miasto.
- Pewnie wybiorę się gdzieś w niedzielę, ale nie będę zabierać czasu kierowcy. Pojadę tramwajem.
- Nie musisz czekać do niedzieli. Zamierzam skrócić twoje godziny pracy. Przecież Lizzie może mi pomóc w razie potrzeby. Jesteś zbyt młoda i ładna, żebyś miała spędzać całe dni w domu z gromadą radykalistek.
- Te radykalistki to twoje przyjaciółki, Lily - zaśmiała się Kathleen.
- To prawda, i wszystkie bardzo lubię. Mimo to wolałabym, żebyś codziennie wychodziła do miasta.
- Codziennie? Wykluczone! To moja praca i bardzo mi się ona podoba. Lubię twoje przyjaciółki. Nie mam zamiaru tracić czasu i pętać się gdzieś bez celu.
- Nawet jako reporter? - Lily splótła dłonie.
- Reporter? Lily, o czym ty mówisz?
- Umiesz pisać, Kathleen. Przyszło mi do głowy, że mogłabyś jednocześnie zwiedzać Nowy Jork i zbierać materiały. Tyle interesujących rzeczy dzieje się w mieście. Być może zobaczysz coś, o czym warto byłoby napisać? Kto wie, może pewnego dnia sprzedasz artykuł Maxowi.
- Do "Tribune"? - Kathleen spojrzała na nią zdumiona. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że kiedyś może ujrzeć swoje słowa w druku. - Wydaje mi się, że mój pomysł cię zainteresował - rzekła Lily z przebiegłym uśmiechem.
- Och, Lily, jesteś niezwykła! - Kathleen mocno ją uściskała.
- To raczej ty jesteś kimś niezwykłym, moja droga - odpowiedziała Lily, odchylając się na oparcie fotela.
- Jesteś śliczna, utalentowana i inteligentna. Zaslługujesz na to, żeby rozwijać swoje zdolności i zrobić karierę. Jeśli to oznacza, że przez kilka godzin tygodniowo będę musiała obyć się bez twojego towarzystwa, to z przyjemnością się na to zdecyduję.

Nowy Jork, sierpień 1928 r.

Jestem dziennikarką! To zbyt cudowne, żeby mogło być prawdziwe. Lily ma rację. Ulice Nowego Jorku nie są już dla mnie wypełnione anonimowym tłumem obcych sobie ludzi, załatwiających swoje sprawy, lecz wечно zielonym lasem, w którym czekają na mnie historie warte opowiedzenia. Nie zgodziłam się korzystać z usług szofera. Choć Lily w tajemnicy załamuje z tego powodu ręce, głośno

przyznaje, że żaden rasowy dziennikarz nie pozwoliłby, aby woził go szofer. Och, jakież widoki można zobaczyć z okien nowojorskich tramwajów i autobusów!

Nikommu jeszcze nie powiedziałam, nawet Lily i Maxowi, że w jego własnej gazecie ukazało się już sześć moich artykułów. Sześć artykułów - sama nie mogę w to uwierzyć. Wszystkie podpisałam pseudonimem William Collins. To oczywiście imię ojca. Myślę, że byłby ze mnie dumny.

Pewnej nocy Kathleen obudziła się, czując zapach spalenizny. Zerwała się z łóżka i wybiegła z pokoju, żeby ostrzec Maxa i Lily. Na korytarzu jednak nie czuła już dymu. Zmarszczyła czoło i wróciła do sypialni. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zapach ten był złudzeniem, wywołanym następną senną wizją.

Starła się odtworzyć treść snu. Pamiętała pożar jakiegoś budynku i krzyki przerażonych ludzi. Płomienie unosiły się wysoko pod niebo. Zachodzące słońce wydawało się równie ogniste, jak płomienie trawiące budynek. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy to się miało stać. Do rana przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć.

Następnego dnia, gdy stała na Siódmej Alei, w miejscu, gdzie było mnóstwo sklepów z odzieżą, poczuła swąd i natychmiast zrozumiała, że właśnie jej sen zmienia się w rzeczywistość. Rozejrzała się wokół, nie zwracając uwagi na tłum przechodniów. Zupełnie zapomniała o artykule, jaki miała napisać o słynnych domach mody. Szybko sprawdziła, czy w bocznej kieszeni torby ma notes i ołówek, po czym zaczęła biec w stronę płonącego budynku.

Była już dziesiąta wieczór, gdy w końcu wsiała do tramwaju jadącego w stronę Marlboro House. Po drodze szybko napisała notatkę o pożarze. Nieco więcej czasu zajął jej jadowity artykuł, będący w istocie aktem oskarżenia Wagnera, właściciela luksusowego domu mody. Kathleen miała przed oczami twarze rodzin ofiar pożaru. Błyskawicznie spisywała wszystko, czego udało się jej dowiedzieć.

W Marlboro House czekał na nią Max. Kiedy otworzył drzwi, wyglądał raczej jak zaniepokojony ojciec niż pracodawca.

- Kathleen, martwiliśmy się o ciebie!

- Bardzo przepraszam, Max - odpowiedziała, po czym zwróciła się do Lily, która sprawiała wrażenie zmęczonej i bledszej niż zwykle. - Och, Lily, nie powinnaś na mnie czekać. Wiesz przecież, że zawsze dam sobie radę.

- Jest już po dziesiątej, moje dziecko - powiedziała Lily. - Nic na to nie poradzimy, że martwimy się o ciebie.

- Wiem. Bardzo przepraszam. - Kathleen zdjęła torbę z ramienia i położyła ją na krześle w

przedpokoju.

- Wydaje mi się, że czuję zapach dymu - powiedział Max, pomagając jej zdjąć płaszcz. - Czy mogłabyś mi wyjaśnić, co robiłaś, młoda damo?

- Och, Max, na Siódmej Alei był pożar. Właśnie wysiadałam z tramwaju, gdy usłyszałam syreny. To było okropne. Ludzie znaleźli się w pułapce. Masz, wszystko to spisałam. - Kathleen chwyciła torbę i wyciągnęła z niej duży notatnik. - Jeśli zaraz pošlesz to do "Tribune", relacja ukaże się w porannym wydaniu. Są tu wszystkie szczegóły, przynajmniej tak sędzę.

Kathleen raz jeszcze szybko przejrzała swój tekst, nie zwracając uwagi na wymowne spojrzenia, jakie wymienili Lily i Max.

- Chwileczkę, Kathleen. - Max wziął od niej blok, ale nie zaczął czytać. - Jaki pożar? Siódma Aleja to dzielnica domów mody. Co robiłaś akurat w tym miejscu? - Max zerknął na żonę. - Wydawało mi się, Lily, że ona miała zwiedzać muzea i parki.

Lily uniosła rękę, tak jakby się poddawała. Max zmarszczył brwi i szybko przeczytał relację Kathleen.

- Zupełnie nieźle - mruknął. - Naprawdę dobry tekst. Właściwie ...

- Tak, Max?

- Sama to napisałaś? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Oczywiście!

- To doskonały reportaż, Kathleen. Zwięzły, dramatyczny opis poważnego wypadku. Nie mam wątpliwości, że to twoje dzieło. Jak mogłem zapomnieć, że już przy pierwszym spotkaniu poprawiałaś moje błędy stylistyczne i polemizowałaś z moim artykułem! Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, byłaś bardzo przekonująca. - Urwał i sięgnął po kapelusz. - Nie mam teraz czasu rozwodzić się nad twoim talentem. Jeśli chcę zdążyć przed zamknięciem numeru, to muszę się spieszyć.

Odruchowo przerzucił kolejną stronę w bloku i znalazł artykuł o Wagnerze.

- A co to takiego?

Błyskawicznie przebiegł wzrokiem tekst. Kathleen z niepokojem czekała na reakcję. Lily podjechała do niej bliżej i ujęła jej rękę. Wymieniły uśmiechy, po czym Lily zwróciła się do męża:

- Czy to kolejny tekst Williama Collinsa?

- Lily! - Kathleen otworzyła usta ze zdumienia. - Skąd wiesz?

Max opuścił blok i obrzucił obie kobiety ostrym spojrzeniem.

- Nie będę już pytał, czy ty to napisałaś, Kathleen. Czy mogłabyś natomiast odpowiedzieć mi na inne pytanie? Jak długo przechowuję w domu murzyna?

- Nie jestem murzynem! - zaprotestowała. - Podpisuję wszystkie artykuły. William Collins to pseudonim. - Wszystkie artykuły? - powtórzył Max. - Wiem, ile tekstów Collinsa ukazało się w "Tribune", ale ciekaw jestem, ile umieściłaś w innych pismach?

- Żadnego, Max! - oburzyła się Kathleen. - Jak mogłeś coś takiego pomyśleć? Pracuję dla "Tribune" .

Max stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uważnie się jej przyglądał. Wreszcie uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Brak mi słów, Kathleen, ale jestem z ciebie dumny jak paw. Na szczęście starczyło mi zdrowego rozsądku, żeby cię wyrwać od Drummondów. Faktycznie, pracujesz dla "Tribune", dokładnie od tej chwili. Nie, od piątej po południu, bo według twojego artykułu wtedy właśnie wybuchł pożar.

- Max, czy proponujesz mi pracę w redakcji? A Lily? Nie mogę jej przecież zostawić.

- Wcale nie będziesz musiała mnie zostawić, kochanie. - Lily przytuliła jej dłoń do policzka i uśmiechnęła się łagodnie. - Dziękuję, że pomyślałaś o mnie w chwili, gdy otrzymałaś ofertę, o której od dawna marzyłaś.

Spojrzała na męża.

- Max, musimy pójść na kompromis i podzielić się Kathleen. Proponuję, żeby przed południem pracowała dla ciebie, a po południu była ze mną. No i oczywiście będzie w dalszym ciągu u nas mieszkać.

Kathleen zerknęła na Maxa, który najwyraźniej wciąż myślał o tym, że już od dawna nieświadomie publikował jej artykuły.

- Nie mogę uwierzyć, że nic podobnego nie przyszło mi nawet do głowy. Zastanawialiśmy się, kim jest ten William Collins. Jego teksty był zawsze na czasie, interesujące i często zjadliwe. Chcieliśmy, żeby dla nas więcej pisał, ale nikt nie wiedział, jak się z nim skontaktować. Mieliśmy tylko adres pocztowy. Czy przynajmniej w redakcji dobrze ci płacili?

- Tak, Max - odparła z uśmiechem.

- Hmm - Zapewne nie powinienem ci tego mówić, ale za te artykuły mogłaś dostać o wiele więcej. Wiedziałaś o tym?

- Tak.

- No to dlaczego tego nie zażądałaś?

- Byłam zadowolona, że widzę swoje teksty w gazecie.

- Teraz będziesz widywać je regularnie i więcej ci będą płacić - powiedział Max, pokręcił głową i spojrzał na żonę. - Zamiast krwi płynie w niej farba drukarska. Czy nie powiedziałem ci wtedy, kiedy ją tu sprowadziłem, że pewnego dnia będzie pisać dla "Tribune"?

- Powiedziałeś, Max.

- No i oczywiście będzie dalej mieszkać w Marlboro House. To jej dom.

- Dziękuję wam - szepnęła Kathleen wzruszona. Nie powiedziała nikomu o swoim śnie.

Nowy Jork, wrzesień 1933 r

Czas płynie niepostrzeżenie, przemyka się niczym w nocy kot. Tylko urodziny i śmierć sprawiają, że zwracamy nań uwagę. Przez pięć lat mieszkałam z Maxem i Lily, którzy traktowali mnie jak córkę. Teraz będziemy tylko we dwoje, Max i ja. Lily zmarła spokojnie we śnie, tak jak zawsze tego pragnęła. Wiedziałam tydzień wcześniej, że to nastąpi; powiedział mi o tym mój sen. Prawdę wyznałam tylko Lizzie, która przeżegnała się i przez kilka dni była bardzo cicha. Max cierpi w milczeniu. Współczuję mu z całego serca.

Wciąż prześladowają mnie dwa powtarzające się sny - ten nieszczęsny o dziecku i ten przekłety o szczęśliwym życiu z Patrickiem. Tymczasem prawdziwe życie toczy się dalej. Jestem Williamem Collinsem, dziennikarzem i niespokojnym duchem. Ciekawe, jaka podniosłaby się wrzawa, gdyby moi czytelnicy dowiedzieli się, że jestem kobietą!

- Hej, Danny, możesz to zanieść Joe'emu? - Kathleen odsunęła się od biurka i podała gońcowi artykuł. - Zostało już tylko kilka minut do zamknięcia numeru, więc lepiej się pospiesz.

- Oczywiście, proszę pani. - Daniel włożył plik kartek do torby, którą nosił na ramieniu; i pobiegł do redaktora prowadzącego numer.

- Dzięki, Danny.

- Nie ma za co - odkrzyknął chłopak. Jego głos z trudem przebił się przez panujący w sali zgiełk. Głośne rozmowy dziennikarzy zlewały się ze stukotem maszyn do pisania. Kathleen pomyślała, że kiedyś znajdzie sobie spokojną i cichą pracę. To niestety oznaczało, że należało jej szukać poza redakcją dziennika. Wątpliwe, by rzeczywiście kiedyś się na to zdecydowała.

- Z czego się śmiejesz?

- Max! Co ty tu robisz? Miałeś przecież żeglować na jachcie Tommy'ego Isherwooda gdzieś w pobliżu Przylądka Cod. Co się stało?

- Zanudziłem się na śmierć - odrzekł, przysiadając na skraju jej biurka. - Sam nie wiem, dlaczego myślałem, że żeglowanie może być interesujące.

- To ja tak myślałam, nie ty. Potrzebujesz wakacji, Max. Już od pół roku nie miałeś wolnego dnia.

- Pół roku nieustannej pracy to jeszcze za mało, żebyś zapomniał o Lily.

- Wiem. - Kathleen pogłaskała go po rękę. Gdyby tylko potrafiła zmniejszyć jego ból! -

Myślałam, że - W porządku, kochanie. - Max wziął do ręki przycisk do papieru, który Kathleen dostała od Lily. - Warto było spróbować, ale nic z tego nie wyszło.

Kathleen wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku Maxa, płaczącego nad łóżkiem Lily. Lekarz powiedział, że zmarła na zawał. Niezależnie od przyczyny ich wspaniała, niepokonana, kochająca ludzi Lily odeszła na zawsze.

- Co czytasz? - Max spojrzął na gazetę rozłożoną na biurku.

- Wiadomości gospodarcze, ale. jeszcze nie skończyłam. - Kathleen przeczesła palcami swe gęste włosy.

- Co za dzień, Max! Na Grand Central wykoleił się pociąg, jakiś facet skoczył z mostu brooklyńskiego, a w Bronksie pobili się bezrobotni czekający na darmową zupę. Witaj w domu.

- Nie musisz mi mówić, sam zgadnę - zachichotał Max. - Ty pisałaś o bitwie pod darmową kuchnią.

- Dlaczego tak myślisz?

- Dlaczego? - Max uniósł brwi. - Masz przecież takie czułe serce. Jesteś jeszcze gorsza od Lily. Czasami myślę, że dopóki ty tu będziesz, ona również będzie z nami. No, ale powiedz mi, co spowodowało tę awanturę między bezdomnymi, bezrobotnymi wyrzutkami?

- Nie wyrzutkami, Max, lecz nieszczęśliwymi ludźmi. Człowiek bezrobotny jest sfrustrowany, pełen niechęci i strachu. Któż może wiedzieć, od czego się zaczęło. - Wzruszyła ramionami, patrząc na rozłożoną gazetę. - Stali głodni w kolejce i nagle zaczęli się bić jak zwierzęta.

- Człowiek pozbawiony godności i nadziei łatwo zmienia się w zwierzę.

- Od krachu na giełdzie minęły już dwa lata - powiedziała Kathleen, z roztargnieniem przerzucając strony gazety. - Jak myślisz, kiedy skończy się kryzys?

- Obawiam się, że nieprędko. - Wyciągnął rękę i wskazał jeden z artykułów. - Na szczęście, niektórym firmom powodzi się całkiem nieźle. Na przykład Leland. Parę lat temu weszli w spółkę z niewielkim przedsiębiorstwem z Georgii, które miało podpisaną umowę z marynarką wojenną. No i jaki sukces!

Na wzmiankę o Lelandzie na twarzy Kathleen pojawił się niechętny grymas. Trudno było zapamiętać o katastrofie "Irish Queen". •

- Mam nadzieję, że zmienili obyczaje - powiedziała, czytając artykuł. - Inaczej współczuję marynarce.

Nagle zeszywniała i kurczowo zacisnęła palce na gazecie, pochylając się niżej nad czytany artykułem.

- Boże, to niemożliwe!

- Co? - zaciekawił się Max i zajrzał jej przez ramię.

Nie mogła oderwać oczu od tekstu. Szybko przeczytała artykuł i wbiła wzrok w towarzyszące mu zdjęcie. Z jej ust wydarł się zduszony okrzyk. Zgniotła gazetę, odchyliła się na oparcie krzesła i zasłoniła rękami oczy.

- Kathleen! - Max zerwał się z biurka i zawołał, żeby przyniesiono im szklankę wody. - Kathleen, kochanie, co się stało?

- To on - szepnęła, ledwo poruszając wargami.

- Kto? - spytał Max zdenerwowany. - Do licha, co z tą wodą! - krzyknął w momencie, kiedy Danny podbiegał ze szklanką w ręce. Siedzący przy sąsiednich biurkach dziennikarze patrzyli na nich z niepokojem.

- Nic mi nie jest, Max - Kathleen machnęła ręką na znak, że nie chce wody. - To tylko - Potrząsnęła głową, wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła oczy. - To tylko szok. Już wszystko w porządku.

Max nie wydawał się przekonany. Kathleen nigdy jeszcze nie straciła panowania nad sobą. Nawet gdy działo się coś niezwykłego, zawsze trzymała nerwy na wodzy. Między innymi, dlatego Max nie mógł zlekceważyć jej stanu.

- Chodź do mojego gabinetu, moja droga - powiedział, podając jej ramię. - Musimy się przenieść w jakieś spokojniejsze miejsce.

- Dobrze. - Kathleen wstała i już miała wyjść, gdy nagle się zatrzymała - Ten artykuł, Max. Potrzebuję go ... To znaczy, mogę ci wyjaśnić.

- Mam go. Chodźmy.

Gdy dotarli do gabinetu, posadził ją na kanapie i wyjął z biurka butelkę koniaku. Kathleen wciąż była bardzo blada. Podał jej kieliszek i czekał w milczeniu, aż wypije przynajmniej połowę.

- No, dobra. Możesz mi teraz powiedzieć, co się stało?

- To ten artykuł - powiedziała. - Na zdjęciu jest ktoś, kogo kiedyś znałam. To mnie zaskoczyło. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś go zobaczę.

Max rozprostował gazetę i spojrzął na zdjęcie. Widać było na nim sześciu mężczyzn; poniżej były wydrukowane ich nazwiska.

- Chodzi ci o Fergusona? - spytał. - Znasz go?

- Nie, Max. - Kathleen westchnęła i oparła się wygodniej.

- Russell Whitley?

- Nie.

- John Leland? Ten stary? Gdzie u licha.

- Max, proszę! - Kathleen zasłoniła dłonią oczy - Nie znam Johna Lelanda ani tych wszystkich, których wymieniłeś. Chodzi o Patricka O'Connora. To jego znam, a przynajmniej znałam.

Max przez chwilę patrzył na nią, po czym wrócił wzrokiem do gazety.

- Tu jest napisane, że O'Connor pełni funkcję wiceprezesa do spraw technicznych.

- To zdumiewające - mruknęła Kathleen.

- Co takiego?

- No - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Sama nie wiem. - Zamknęła oczy i usiłowała odsunąć od siebie wspomnienia, lecz równie dobrze mogłaby walczyć z huraganem. Widziała wyraźnie Patricka, jak krąży po pokoju i z zapalem opowiada o ich wspaniałej przyszłości w Ameryce, podczas gdy ona, oczarowana, wsłuchuje się w jego słowa. Mieli tu razem budować życie. Obiecał, że ożeni się z nią i zawsze będzie ją kochał.

- Kathleen?

- Patrick O'Connor był moim narzeczonym.

- Boże, moje dziecko. - Max usiadł przy niej.

Wprawdzie Lily i on wiedzieli co nieco, dlaczego Kathleen wyłynęła w podróż do Nowego Jorku, ale nigdy nie powiedziała, jak nazywał się jej narzeczony.

- Jesteś pewna, że to on?

- Nie mam wątpliwości, Max.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Kathleen - odezwał się, spoglądając na zdjęcie. - On musiał zwariować, żeby cię porzucić. Jesteś piękna, dobra i inteligentna.

- I nie miałam grosza przy duszy - wtrąciła z goryczą. - Wydaje mi się, że wylądował na czterech łapach.

- Czasami pozory mylą - odrzekł enigmatycznie.

- No cóż, to nie ma znaczenia - powiedziała i dopiła koniak. - Minęło już sześć lat. To stare dzieje. - Uśmiechnęła się do niego, nie zdając sobie sprawy, że w jej zielonych oczach widać ból.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zareagowałam w ten sposób. To absurd. Będę musiała wymyślić jakąś bajeczkę, żeby to wytłumaczyć. Wszyscy dziennikarze pewnie myślą, że

- Ta firma ma siedzibę w Savannah, w Georgii wtrącił Max, przerywając jej paplaninę.

Kathleen wzruszyła ramionami. Nic ją nie obchodziło, gdzie mieszka Patrick. Teraz nie było to już ważne.

Max drapał się po brodzie z wyraźnym namysłem.

- Czy "Savannah Sentinel" nie jest przypadkiem jednym z tych dzienników, które nabyliśmy w zeszłym roku, wykupując Henson Publishing?

- Max, jesteś zapewne jedynym magnatem prasowym na świecie, który nie ma pewności, jakie dzienniki posiada.

- Jestem pewny - zaprotestował, nadal zatopiony w myślach. - Po prostu nie miałem jeszcze czasu zająć się tymi nabytkami. Nie chciałem zostawiać Lily samej w Nowym Jorku, bo czuła się coraz gorzej. Później, po jej śmierci, nie miałem do tego głowy.

- Wiem. - Wzmianka o Lily wystarczyła, by w oczach Kathleen pojawiły się łzy.

- Masz jednak rację. - Max nagle się wyprostował i rzucił jej szybkie spojrzenie. - Powinienem się tym zająć. Najwyższa pora, żebyśmy pojechali do Savannah i przyjrzeni się, jak działa "Sentinel".

- My? - zdziwiła się, usiłując wmówić sobie, że ta propozycja jest jej obojętna.

- Tak, my. Namówiłaś mnie na ten idiotyczny rejs i niemal umarłem z nudów. Jeśli pojedziesz ze mną do Georgii, przynajmniej nie będę się nudził.

- Nie chcę się spotkać z Patrickiem, Max - powiedziała ostrożnie.

- Jesteś pewna?

- Tak. Nie czuję do niego nic oprócz pogardy. On na nic innego nie zasługuje. A poza tym, po co właściwie miałabym się z nim widzieć? Z pewnością nie mam zamiaru dać się upokorzyć i zasypać go niewygodnymi pytaniami.

- Czy wobec tego ja mogę ci zadać jedno pytanie?

- Bardzo proszę. - Kathleen spojrzała na niego niespokojnie.

- Czy jesteś szczęśliwa?

Kathleen wstała i podeszła do okna. Na chodniku pięć pięter niżej kłębił się tłum przechodniów, jezdnią sunęły samochody.

- Nie jestem nieszczęśliwa, Max.

- To jeszcze za mało. Jesteś młoda, piękna i zdolna. Możesz każdemu wiele ofiarować, a nigdy nawet nie patrzysz na młodych ludzi, którzy starają się o twoje względy. Złamałaś tysiąc serc.

- Bez przesady.

- No dobrze, tylko sto.

- Jestem zbyt zajęta, żeby się w to bawić.

- Doprawdy?

- Oni są tacy nudni.

- Tak, zamożni, przystojni, wykształceni, wolni i nudni.
- Max podszedł do niej. - Możesz uważać, że plotę bzdury - powiedział cicho - ale wiem, że musiałaś przeczytać ten artykuł. Tak chciał los.
- Och, Max. - Kathleen odwróciła się i na chwilę oparła o jego ramię. Wiedziała, że może na niego liczyć. Po śmierci Lily był jedynym człowiekiem na świecie, który ją kochał. On zaś uśmiechnął się i objął ją w pasie.
- Zatem jedziemy do Savannah?
- Tak, Max. Jedziemy do Savannah.

ROZDZIAŁ 5

1 października 1933 r.

Minęły dopiero dwa tygodnie od naszego przyjazdu do Savannah, a Max już wygląda i zachowuje się jak stary dżentelmen z Południa. Zaczął nosić jasne garnitury z tropiku i panamski kapelusz. Zamyka nawet redakcję między dwunastą a drugą podobnie jak wielu biznesmenów na głębokim Południu. "Drzemka w środku dnia to cholernie dobry pomysł" - powiada i dodaje, że my, " Jankesi ", możemy się jeszcze czegoś nauczyć o sztuce życia.

Savannah zachwyca mnie swą architekturą i bogactwem zieleni. Czasami jest tu wilgotno i duszno jak w maglu, aż ciężko oddychać. Mimo to jest tu bardzo pięknie - róże kwitną nawet w październiku, podobnie jak hibiskus, magnolie i chryzantemy. Tak, w tym Savannah coś jest. Nie widziałam jeszcze Patricka.

- To szaleństwo, Max.

Dlaczego idziemy na przyjęcie do Fergusona? - Kathleen wsiadła do nowiutkiego hudsona i obciągnęła sukienkę poniżej kolan.

- Ponieważ zostaliśmy zaproszeni, kochanie.
- Rozległ się ostry pisk opon i samochód ruszył. - Chce cię poznać.
- Mnie? - zdziwiła się.
- Hm ... - Max pokonał zakręt z oszłamiającą prędkością.
- W rzeczywistości pragnie poznać Williama Collinsa.
- Max! - Kathleen pokręciła głową. - Wiesz dobrze, że nie cierpię takich kawałów. On oczekuje mężczyzny. Kiedy wreszcie znudzi ci się ten żart?
- A kiedy zaczniesz pisać jako Kathleen Collins?
- Wtedy, kiedy opinia kobiety będzie traktowana równie poważnie jak mężczyzny - odpaliła, wyglądając przez okno.

- Już to kiedyś słyszałem.

- Przepraszam. - Zerknęła na niego i uśmiechnęła się łagodnie. Max był ostatnim mężczyzną, którego mogłaby oskarżyć o męski szowinizm. Gdyby nie on i jego gazeta, być może nadal byłaby służącą.

- Jestem zdenerwowana, Max - powiedziała, przyciskając rękę do piersi. - I oboje wiemy dlaczego.

Tego wieczoru miała spotkać Patricka.

Stocznia Fergusona była jednym z największych przedsiębiorstw w Savannah. Kathleen wystarczyło jedno popołudnie w archiwum "Sentinela", żeby dowiedzieć się, co Patrick robił przez sześć lat pobytu na południu Stanów. Teraz był prawą ręką Fergusona. Zdaniem niektórych, to dzięki niemu niewielka stocznia rozwinęła się ponad wszelkie oczekiwania.

- Jesteśmy. - Max ostro skręcił na podjazd wiodący do okazałej rezydencji. Kathleen przyjrzała się fasadzie. Tradycyjny, zamożny dom z Południa. Patrząc na zewnętrzne schody wiodące do pierwszego piętra, Kathleen z rozbawieniem pomyślała o damach z dawnych lat, noszących halki i krynoliny.

Dom był przygotowany na przyjęcie gości. Lampy oświetlały wypieszczony ogród, na werandzie widać było mnóstwo kwiatów, a w oknach lśniły żyrandole. Tego wieczoru wszystkie panie włożyły swą najdroższą biżuterię.

- To jakoś kojarzy mi się z domem Drurnmondów Max - mruknęła.

- Też mi to przyszło do głowy.

- Mam nadzieję, że to nie jest zły znak.

W ciągu pięciu lat nie zdołała zapomnieć o swym pierwszym, trudnym roku w Stanach.

- To już odległa przeszłość, Kathleen. - Max podał jej rękę i pomógł wysiąść z samochodu. - Lepiej do niej nie wracaj.

Tuż za rozległym holem znajdowała się sala balowa.

Ferguson najwyraźniej zaprosił "całe Savannah", bo w środku panował tłok. Zespół muzyczny grał wesołą melodię i na parkiecie kręciło się kilka par. Inni stali w niewielkich grupkach i rozmawiali. Niemal wszyscy trzymali w rękach kieliszki. Wade Ferguson dostrzegł ich z przeciwległego końca sali, przeprosił swe towarzystwo i szybko do nich podszedł.

- Max! Cieszę się, że przyszedłeś. - Wymienili uścisk dłoni. - Witam, witam. Masz już coś do picia?

- Cześć, Wade. Jeszcze nie, ale zaraz wezmę. Piękny dom.

- Dziękuję, też go lubię. Zbudowałem go sześć lat temu, tuż przed ślubem Caroline.

- Caroline?

- To moja córka. Zaraz ją poznasz. - Wade Ferguson wyciągnął z kieszeni zegarek i zmarszczył brwi - Już powinna być. Lubi mieć wielkie wejścia, ale trudno. Wade Ferguson zachował się tak, jakby dopiero teraz zauważył Kathleen.

- Tak jak obiecałem, przyprowadziłem ci gościa, Wade. - Max pociągnął ją lekko za łokieć. - Oto William Collins.

- Co? Niemożliwe! - Jego zdziwienie było niemal komiczne. - William Collins to kobieta? I to taka piękna? Cieszę się, że - Urwał i zachichotał. - Jak się mam do pana zwracać, panie Collins?

- Kathleen - odparła z uśmiechem. Od razu go polubiła. - Proszę nie zwracać uwagi na pomysły Maxa. To jego ulubiony żart.

- Kathleen, to nasz gospodarz, Wade Ferguson. Max dopełnił prezentacji.

- To ja padłem jego ofiarą, proszę pani - Wade pokręcił głową. - Chciałem prosić, żeby pani napisała o wodowaniu okrętu, który budujemy dla marynarki, ale teraz chyba będę musiał znaleźć jakiegoś mężczyznę.

- Dlaczego? - W tym momencie podszedł kelner ze srebrną tacą i Kathleen wzięła szklanekę lemoniady.

- No, teraz - To znaczy.

- Chciał pan mnie o to prosić, bo sądził pan, że William Collins to mężczyzna, tak?

Gdy Wade Ferguson kiwnął głową, Kathleen wzruszyła ramionami.

- Z przyjemnością spełnię pana życzenie, panie Ferguson. Postaram się, żeby ostateczna wersja nie zdradzała, że autorem jest kobieta.

- Wydaje mi się, że zasłużyłem sobie na to.

- Ferguson spojrzał pośpiesznie na Maxa.

- Też mi się tak wydaje - potwierdził tamten z szerokim uśmiechem.

- Chodźmy. - Ferguson wziął ją nagle pod ramię - Chciałbym pani kogoś przedstawić. Z pewnością bardzo się ucieszy. Niemal przy każdym śniadaniu cytuję pani artykuły.

- Pokręcił głową i znów się zaśmiał. William Collins to kobieta. Coś podobnego!

Przeciskali się przez tłum na drugi koniec sali. Max szedł za nimi. Tuż obok kilku donic z palmami, jak najdalej od orkiestry, stała grupka mężczyzn. Dwaj z nich, wysocy i barczyści, stali odwróceny plecami. Wszyscy trzymali w rękach kieliszki i cygara. Nad nimi unosiła się błękitna smuga dymu.

Kathleen skrzywiła się lekko, ale posłusznie szła za Wade'em Fergusonem. Pomyślała w popłochu, że nie zdążyła się przygotować na to spotkanie. Wade Ferguson położył dłoń na ramieniu najwyższego mężczyzny i odwrócił go w swoją stronę.

- Patrick! - zawołał. - Zobacz, kto przyszedł. Oto William Collins, z redakcji "Sentinela".

Patrick właśnie śmiał się z czegoś, co powiedział Russ Whitley. Odwracał się powoli i najpierw spojrzał na teścia, a potem na stojącego obok Maxa, który zmierzył go tak przenikliwym spojrzeniem, że z twarzy Patricka zniknął uśmiech. Dopiero teraz jego uwagę przykuły zielone oczy towarzyszącej im kobiety.

Nawet nie usłyszał trzasku gniecionego w palcach kieliszka. Nie czuł bólu, gdy odłamki szkła przecięły mu skórę. Nie słyszał reakcji swych znajomych. Stał jak skamieniały i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w twarz anioła.

- Twoja ręka! - krzyknął Ferguson. - Skaleczyłeś się. - Szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał ją Patrickowi. - Co u licha.

- Kathleen - O Boże.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, synu - Wade Ferguson wydawał się zaniepokojony, lecz Patrick go nie słyszał.

- Kathleen, to ty?

- Wy się znacie? - Ferguson przenosił wzrok z niej na niego.

. - Boże, to niemożliwe - szepnął Patrick, mierząc ją płonącymi oczami.

- Dzień dobry - powitała go spokojnie. Ruchem głowy wskazała na skaleczoną dłoń, z której krew skapywała na kosztowny dywan. - Lepiej zajmij się ręką. Plamy z krwi jest bardzo trudno wywabić.

Patrick przyłożył chusteczkę do rany, nie zwracając uwagi na gości. W tej chwili myślał tylko o tym, że widzi Kathleen. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, chwycił ją za rękę.

- Chodźmy - To znaczy - Musimy znaleźć miejsce ...

- Patricku! - Teść zmierzył go ostrym spojrzeniem, najwyraźniej zdumiony. Z jego twarzy zniknął jowialny uśmiech.

- My się chyba jeszcze nie znamy - oznajmił Max. - Jestem Max Rutledge. Kathleen i ja niedawno przyjechaliśmy tu z Nowego Jorku.

- Max uśmiechnął się i podał Patrickowi rękę, zmuszając go tym samym do uwolnienia Kathleen.

Ten mruknął coś w odpowiedzi, lecz dalej zachowywał się tak, jakby był w transie. Patrzył na Kathleen i nie wierzył własnym oczom.

- Byłaś w Nowym Jorku? - spytał wreszcie.

- Tak.

- Przez cały czas?

- Tak, przez cały czas.

Kathleen wciąż mówiła takim samym miękkim i dźwięcznym głosem, jaki pamiętał. Chciał, żeby mówiła dalej. Miał ochotę porwać ją na ręce i zanieść w jakieś spokojne miejsce, gdzie mógłby powiedzieć jej. Właściwie co? Że ma teraz żonę i dziecko?

- William Collins, ten dziennikarz, to w rzeczywistości Kathleen - wtrącił niecierpliwie Ferguson. Właśnie próbowałem ci to powiedzieć.

- William Collins - powtórzył tępo Patrick.

- To imię mojego ojca - wyjaśniła Kathleen. O czym dobrze wiesz, dopowiedziały mu jej oczy.

- Wydaje mi się, Kathleen, że masz irlandzki akcent - zauważył Ferguson, przechylając na bok głowę.

- Urodziłam się w Irlandii - odrzekła. - Przyjechałam do Stanów sześć lat temu.

- Kathleen miała trudny start - odezwał się nagle Max. - Ale z jej talentem było tylko kwestią czasu, kiedy wszystko pomyślnie się ułoży. - Obdarzył ją ciepłym uśmiechem. - Kathleen jest urodzoną dziennikarką.

Talent. Dziennikarka. Kathleen, jego Kathleen jest dziennikarką. William Collins to ona. Patrick był nadal osłupiały. Miał wrażenie, że nagle znalazł się w innym wymiarze.

- Zatem znacie się z Nowego Jorku - skomentował Wade Ferguson. - Zawsze mówiłem, że świat jest mały. - Nie zauważył, że żadne z nich nie odpowiedziało, i ciągnął: - Oczywiście, wasz przyjazd do Savannah to tylko strata dla Nowego Jorku. Ufam, że zostanie pani z nami, pani Collins. Często mówiłem Patrickowi, że to miasto będzie kiedyś ważnym punktem na mapie. Już teraz mieszka tu sto dwadzieścia tysięcy ludzi.

- "Irish Queen" - nieoczekiwanie odezwał się Patrick. - Czy byłaś na pokładzie?

- Tak - odpowiedziała krótko.

- To ten statek do przewozu imigrantów, który zatonął przy wejściu do portu parę lat temu, prawda? - spytał jakiś mężczyzna.

- Tak - potwierdziła Kathleen, nie spuszczając wzroku z Patricka.

- Firma Lelanda była krytykowana za tę katastrofę - powiedział Ferguson.

- W tej katastrofie zginęły trzydzieści cztery osoby - przypomniała Kathleen. - Miałam szczęście, że przeżyłam. Kobieta, z którą dzieliłam kabinę, utonęła, bo nie umiała pływać, a nieliczne

szalupy dla pasażerów trzeciej klasy były przeciążone.

Patrick stał nieruchomo i słuchał. Każde słowo Kathleen odbierał jak smagnięcie biczem. Spokojny ton jej głosu jedynie podkreślał sens jej wypowiedzi. Czuł pulsowanie krwi w skroniach i bolesny skurcz serca. Miał ochotę zadać jej setki pytań, ale musiał się opanować. Potarł ręką skroń i rozejrzał się wokół. Było mu duszno, potrzebował świeżego powietrza.

- To musiało być potworne doświadczenie. - Ferguson kiwał współczująco głową. - Jestem pewny, że mój zięć potrafi to zrozumieć. W tej katastrofie zginęła jego narzeczona. - Ferguson poklepał Patricka po ramieniu.

- Zięć? - powtórzyła Kathleen.

- Patrick ożenił się z moją córką - wyjaśnił Ferguson, nie wyczuwając napiętej atmosfery. - To już pięć lat minęło, prawda, synu?

Kathleen spojrzała mu prosto w oczy. Patrick skinął głową.

- Chodź, Kathleen - Max dotknął jej ramienia. Jest tu ktoś, kogo powinnaś poznać.

Patrick bezradnie patrzył, jak Max i Kathleen giną w kolorowym tłumie gości. Dopiero wtedy poczuł ból w ręce. Mruknął, że musi opatrzyć skaleczenie, i pospieszył do drzwi.

Minęło pół godziny, nim Kathleen zdołała niepostrzeżenie opuścić salę balową. Mruknęła do Maxa, że musi upudrować nos, i skierowała się w stronę tarasu. Na jej twarzy gościł ten sam sztuczny uśmiech, z jakim powitała Patricka. Na tarasie było spokojnie i cicho - jedynie przy drzwiach stała para, która również pragnęła samotności. Kathleen minęła ich szybko i skierowała się w najciemniejszy kąt. Przystanęła dopiero w miejscu, do którego nie docierały odgłosy przyjęcia. Tu słyszała tylko świerszcze i cykady.

Opierając się o balustradę, podniosła głowę i spojrzała na rozgwieżdżone niebo. Spotkanie z Patrickiem okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczała ...

Niewiele się zmienił, a jednak wydawał się inny. Wciąż miał tak samo błyszczące niebieskie oczy, ale na jego twarzy pojawiły się zmarszczki. Postarzał się. To w końcu nic dziwnego, przecież minęło sześć lat. Wydawał się bardziej barczysty, silniejszy, rysy jego twarzy stwardniały. No i był żonaty.

Spodziewała się zmian, ale nie przypuszczała, by Patrick się ożenił. W jej śnie byli przecież małżeństwem. Jak to możliwe, skoro już ma żonę? Kathleen z irytacją myślała o własnej naiwności. Boże, jaka była głupia! Jak mogła uwierzyć w ten przekłętą sen? Czyżby przez wszystkie lata wciąż podświadomie wierzyła w takie bzdury?

Znów uniosła głowę i spojrzała w niebo. Widziała przez łyzy migoczące gwiazdy, tkwiące w tym samym miejscu we wszechświecie co zawsze. Podobnie jak ja, pomyślała. Nic się nie zmieniło w jej

życiu z powodu tego, że poznała przyczynę zniknięcia Patricka. Max mówił o przeznaczeniu. Na myśl o tym uśmiechnęła się z goryczą.

- Zmarzniesz - usłyszała za sobą głos Patricka. Przyniosłem ci pelerynę.

Pozwoliła mu zarzucić ją na ramiona.

- To niepotrzebne - powiedziała zimnym, odpychającym tonem. - Chciałam tylko odetchnąć świeżym powietrzem. Już miałam wracać.

- Poczekaj, Kathleen. Proszę. - Dotknął jej ramienia, lecz odsunęła się gwałtownie. - Przepraszam. Chciałbym ci zadać tyle pytań, że

- Ty masz jakieś pytania? - spytała z niedowierzaniem. - Czas na pytania minął, Patrick. Kiedyś sama chciałam ci zadać kilka, ale szybko się przekonałam, jak dręczące są pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Przezeszał palcami włosy.

- Boże, myślałam, że utonąłaś, Kathleen. Powiedzieli mi - Jęknął. - Powiedzieli, że pewnie nigdy nie uda się odnaleźć twojego ciała.

- Nigdy nie znaleziono Brigit - oświadczyła Kathleen spokojnie.

- Co?

- Zostałam błędnie uznana za moją współtowarzyszkę podróży, Brigit Murray.

- Gdzie byłaś? Dokąd poszłaś? Szukałem we wszystkich szpitalach. Miałem nadzieję, że zostałaś uratowana, ale nie mogą ustalić, kim jesteś.

- Ratownicy myśleli, że jestem Brigit Murray, więc odwieźli mnie do ludzi, którzy opłacili jej podróż przez Atlantyk. W zamian za to miała być przez dwa lata służącą u państwa Drummond z Piątej Alei.

- Dlaczego oni nikogo nie zawiadomili, kiedy w końcu powiedziałaś im, kim jesteś?

- Zrobili to. Miałam wstrząs mózgu i przez prawie dwa tygodnie byłam nieprzytomna.

- Wtedy byłem jeszcze w Nowym Jorku! - wybuchnął. - Dlaczego nie powiedziałaś im o mnie? Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

- Ktoś to zrobił. - Kathleen wyczuwała jego wściekłość i frustrację. - Niejaki Herbert Parsons, kierowca Drummonda. Kierownik działu personalnego

- Freddie Goodson - wtrącił Patrick. Zaciskał ręce na balustradzie i wpatrywał się w ciemności.

- Tak, Goodson. Goodson powiedział mu, że się zwolniłeś. Mówił, że jakiś bogaty biznesmen z Południa zaproponował ci inną pracę.

- Tak, ale.

- I że towarzyszyła mu piękna córka - dodała Kathleen z gorzkim uśmiechem. - W takich okolicznościach uznałeś to pewnie za zrzączenie losu, prawda?

Patrzył na nią w milczeniu. W jego oczach ...

Gdy patrzyła mu w oczy, czuła, że coś ściska ją w gardle. Czy to był ból, poczucie winy, rozpacz czy smutek? Wszystko jedno, on nie miał już do tego prawa.

- A dziecko, Kathleen - szepnął z bólem. - Czy straciłaś dziecko?

Odwróciła się w jego stronę i uniosła dumnie głowę.

- Ciekawa byłam, czy o tym pamiętasz.

- Czy pamiętam! Gdybyś tylko - Kathleen, powiedz mi prawdę.

- Katastrofa nie spowodowała poronienia.

- Zatem mamy dziecko! - Oczy Patricka zapłonęły - Boże, Kath ...

- Nie! - Kathleen zacisnęła powieki. - Nie, nie mamy dziecka.

- Ależ

- On urodził się za wcześnie.

Patrick milczał. Kathleen stała tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Wiedziała, że chce jej dotknąć, a ona, idiotka, chciała rzucić mu się w ramiona. Nie zrobiła tego jednak. Odwróciła się plecami do niego i znów zapatrzyła w gwiazdy. Śmieszne, jak znowu migocą, pomyślała. Muszę wziąć się w garść i wrócić na salę.

_ Kathleen... powiedz mi, co stało się z naszym dzieckiem?

- On umarł.

ROZDZIAŁ 6

- Wydawało mi się, że widzę, jak pan idzie w tę stronę - dobiegł z ciemności głos Maxa. Kathleen odetchnęła z ulgą i chwyciła jego dłoń. Poczwała ciepły, mocny uścisk jego palców. Max spojrział na Patricka. - Pańska rodzina poszukuje pana.

- Co? - Patrick wciąż czuł w sercu ból wywołany słowami Kathleen i nie zwracał uwagi na Maxa. W innych okolicznościach zapewne dosłyszałby w jego głosie niechętną nutę, teraz jednak myślał tylko o Kathleen i o tym, czego się właśnie dowiedział.

- Powiedziałem pańskiemu teściowi, że chyba wiem, gdzie pana znaleźć - wyjaśnił cierpliwie Max.

- Ach, tak. Dziękuję.

- Wydaje mi się, że na nas już pora. - Max zwrócił się do Kathleen. - Nie sądzisz?

- Tak, chcę już jechać.

Max pokiwał głową i opiekuńczym gestem otoczył ręką jej ramiona. Patrick poczuł kolejną falę bólu.

- Porozmawiamy później - odezwał się, patrząc jej w oczy.

Kathleen nie odpowiedziała. Teraz marzyła tylko o tym, żeby stąd uciec. Choć Max ją podtrzymywał, potknęła się o coś na tarasie. Patrick szybko wyciągnął rękę, żeby jej pomóc, ale to była ostatnia rzecz, jakiej Kathleen sobie w tej chwili życzyła. Spojrzała mu w oczy, lecz zignorowała widoczne w nich uczucia.

Przy wejściu do sali balowej powitały ich dźwięki muzyki. Kathleen wahała się przez chwilę, czy wejść do środka. Miała nadzieję, że nie widać, co dzieje się w jej sercu. Nie chciała być tematem rozmów wszystkich mieszkańców Savannah. Jak mogła sądzić, że spotkanie z Patrickiem będzie dla niej łatwym przeżyciem? Gdy przekroczyła próg sali, natknęła się na gospodarza. Pozostało podziękować za zaproszenie, pożegnać się i zniknąć.

Obok Wade'a Fergusona stała elegancka kobieta o błyszczących, czarnych oczach i kruczoczarnych włosach. W jednej ręce trzymała papierosa w bursztynowej cygarniczce, w drugiej smukły kieliszek z szampanem. Spojrzała w stronę tarasu i uśmiechnęła się leniwie do kogoś za plecami Kathleen. Do Patricka? Kathleen domyśliła się, że ta kobieta jest córką Fergusona.

- Patrick, kochanie! - zawołała i wypuściła z ust obłok dymu. - Gdzieś byłeś?

- Witaj, Caroline.

Caroline podeszła do niego i pocałowała go demonstracyjnie w usta. Następnie, nie odsuwając się od męża, starła mu z ust ślad szminki, pokazując przy tym paznokcie pomalowane na bordowo. To była jawna deklaracja własności.

- Tata już chciał posłać po ciebie ekipę poszukiwawczą.

- Zabawne - odrzekł Patrick. - Jeszcze dziesięć minut temu chciał szukać ciebie.

- Jakie dziesięć minut! - W oczach Caroline pojawiły się gniewne błyski. - Nie było cię tu znacznie dłużej.

- Spokój, moje dzieci - wtrącił Ferguson. - Jakie to ma znaczenie, gdzie i jak długo byliście? Goście zaraz zaczną komentować nasze zachowanie - dodał, uśmiechając się do Kathleen i Maxa. - Poznajcie moją rodzinę. Caroline, oto Kathleen Collins, znana również jako William Collins. Maxwell Rutledge jest nowym właścicielem "Sentinela". Moja córka i żona Patricka, Caroline O'Connor.

Caroline oszacowała wzrokiem Kathleen, po czym zwróciła się do Maxa i podała mu rękę.

- Miło mi panią poznać - powiedział Max z lekkim ukłonem.

- Och, proszę - Caroline wyduła wargi - proszę mi mówić po imieniu. Nie jesteśmy w Nowym Jorku; tu nie przestrzegamy takich formalności.

- Gdzie Jessy? - spytał Ferguson, rozglądając się dokoła. - Była tu jeszcze przed sekundą.

- Tatusiu! Tatusiu! - Zza pleców Wade'a Fergusonona wyskoczyła ciemnowłosa dziewczynka i podbiegła do Patricka. Po raz pierwszy tego wieczoru Kathleen miała wrażenie, że widzi mężczyznę, którego kiedyś znała. Na jego twarzy pojawił się ciepły uśmiech, wyciągnął ręce, przykucnął i przytulił dziecko do siebie.

- Cześć, Świerszczyku - szepnął. Potarli się nosami i wybuchnęli śmiechem. Jessie odchyliła się do tyłu i spojrzała mu w twarz.

- Wszędzie cię szukałam, tatusiu. Wiedziałeś o tym?

- Przykro mi, ale nie, mój skarbie. Rano poszedłem na stację, ale chyba się mineliśmy.

- Nie przyjechałyśmy pociągiem, tatusiu. - Jej ogromne, brązowe oczy rozbłyły. - Przypłynęłyśmy łodzią, taką wielką!

- Wielką łodzią? - Patrick rozprostował się i spojrzał na Caroline.

- Jachtem Duncana Wheelera, mój drogi - wyjaśniła Caroline z wyzywającym uśmiechem.

- A, Duncana Wheelera - powtórzył Patrick obojętnie, ale wyraźnie zacisnął zęby.

Kathleen nie zauważyła tego grymasu, ponieważ całą uwagę skupiła na dziecku. Córka Patricka. Krótka obcięta, kręcone, ciemne włosy i brązowe oczy. Zadarty nosek i wesołe dołeczki w policzkach. Ileż to razy wyobrażała sobie dziecko jej i Patricka? Tysiąc? Milion? Uświadomiła sobie, że nigdy nie wyobrażała sobie dziecka Patricka i innej kobiety.

- Poznajcie moją wnuczkę - odezwał się Wade Ferguson z wyraźną dumą. Patrzył na dziewczynkę z rozczuleniem. - Jessie, to pani Collins i pan Rutledge. Przywitaj się z nimi, kochanie.

Jessie ukryła nagle twarz na ramieniu ojca;

- Jessica! Słyszałaś, co powiedział dziadek? - skarciła ją Caroline. - Wiesz dobrze, że nie lubię, kiedy udajesz nieśmiałą.

- Ona jest nieśmiała - oświadczył spokojnie Patrick, przytulając małą główkę. - Wszystko w porządku, Świerszczyku. Powiedz dobry wieczór gościom dziadka i pójdziemy do kuchni. Zobaczmy, co przygotowała Maybelle. Mogę się założyć, że upiekła ciasto z rodzynkami.

- Na litość boską, Patrick! Przestań ją rozpuszczać - prychnęła Caroline.

- Ktoś musi.

Po tych słowach zapadła cisza. Konflikt między Patrickiem a jego piękną żoną był tak oczywisty, że nikt nawet nie próbował zatuszować niezręcznej sytuacji. Kathleen patrzyła na nich z niechęcią. Teraz współczuła tylko dziecku. Gdy Max dotknął jej ramienia, spojrzała na niego z ulgą.

- Dziękuję za zaproszenie - zwrócił się Max do Wade'a Fergusonona.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność, mówię szczerze - zapewnił Wade.

Kathleen zerknęła na Patricka, który patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. W ciągu tych

sześciu lat bardzo się zmienił. Patrick, którego znała, w niczym nie przypominał tego twardego, zaciętego mężczyzny, który pozwalał sobie na publiczne sceny z żoną. Gdy wsiedli do samochodu i ruszyli do domu, Kathleen pomyślała, że jej opinia nie ma żadnego znaczenia. Stosunki Patricka z żoną to nie jej sprawa.

Po kilku kilometrach Max nagle gwałtownie nacisnął na hamulec. Kathleen rękami oparła się o deskę rozdzielczą.

- Cholerny kot - mruknął.

- Przejechałeś go? - spytała, oglądając się do tyłu.

- Chyba nie. Kathleen, bardzo cię przepraszam powiedział, ściskając jej dłoń.

Zerknęła na niego. Wiedziała, że nie ma na myśli kota. Cofnęła rękę i poprawiła pelerynę.

- Nic się nie stało, Max.

- Nie powinienem był cię tam ciągnąć i narażać na takie sceny.

_ Muszę przyznać, że bywałam w życiu na zabawniejszych przyjęciach - odpowiedziała, z trudem zdobywając się na uśmiech.

- Nie należy na siłę ożywiać duchów. Już nie pamiętam, dlaczego myślałem, że powinnaś przyjechać do Savannah.

_ Przypomnę ci to następnym razem, gdy będziesz mnie do czegoś zmuszał.

- Boże, żona i dziecko. I to taka żona!

- Jest bardzo piękna - mruknęła Kathleen.

- Piękna? - zdziwił się Max. - To drapieżna barrakuda. Czy słyszałaś, jakim tonem przemawiała do małej?

Kathleen zwróciła twarz w stronę okna. Wiedziała, o czym Max mówi, ale nie chciała pozwolić sobie na to, by litować się nad Jessicą.

_ Nie - skłamała. - Byłam zbyt zaszokowana fa-

ktem, że on ma dziecko. A ponieważ jestem głupia, nie spodziewałam się ani żony, ani dziecka.

Boże, jak mogłam myśleć, że powinnam się z nim spotkać?

- Chcesz wracać do Nowego Jorku, Kathleen?

- Nie. Wszystko będzie dobrze, Max. Jestem twardsza, niż ci się wydaje.

Max musiał uważać na dziury w jezdni i ostre zakręty. Nie mógł oderwać wzroku od wąskiej drogi, ale Kathleen usłyszała jego sceptyczne prychnięcie.

- Może wobec tego następnym razem, gdy go zobaczysz, nie zbledniesz jak ściana, co?

- Naprawdę zbladłam?

- I wczepiłaś się w moje ramię jak przestraszona dziewczica.

- To raczej wykluczone - mruknęła sarkastycznie.

- Wiesz, co miałem na myśli.

- Przyznaję, to nie było łatwe - Kathleen znów odwróciła twarz do okna, uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Sama nie wiem, czego się spodziewałam. Chyba tego, że on będzie żył tak jak ja. Życie jednak to nie tylko praca. Powinnam była pomyśleć, że się ożenił. No i że ma dziecko. Kathleen głęboko westchnęła.

- Teraz już wiem i mogę zamknąć ten rozdział mojego życia. Koniec. Naprawdę. Następnym razem.

Urwała, ponieważ uświadomiła sobie, że nie chce ponownego spotkania z Patrickiem. W obecności Maxa trzymała się, ale nie była wcale pewna, czy zdołałaby zachować obojętną minę, gdyby znów spotkała Patricka.

- Cieszę się, że to słyszę. Ferguson wszystko przygotował, żebyś opisała wodowanie tego okrętu, który budują dla marynarki.

- Och, nie.

- Nie dasz rady? - Zerknął na nią z ukosa.

Kathleen zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Żaden dziennikarz-mężczyzna nie spróbowałby wymówić się od zlecenia z przyczyn osobistych.

- Kiedy mają go wodować? - spytała. Miała nadzieję, że zdąży znaleźć jakąś wymówkę.

- W sobotę o dziesiątej rano.

- To przecież pojutrze! - zawołała.

- No tak. Z tego, co mówi Ferguson, O'Connor w pełni odpowiada za budowę. On ma dopilnować, żeby marynarka była dumna ze swej nowej jednostki. Twój Patrick będzie miał na pewno wiele do powiedzenia.

- To nie jest mój Patrick.

- Bardzo przepraszam, kochanie. Masz oczywiście rację. Ale - Max na chwilę zawiesił głos - ale skoro sądził, że zginęłaś w katastrofie "Irish Queen", to nie jest czymś dziwnym i niezrozumiałym, że zdecydował się ożenić, prawda?

Oczywiście, że nie. Wszystko, co zdarzyło się przez te sześć lat, jest normalne i zrozumiałe. Powinna być zadowolona, że Patrick znalazł sobie miejsce w życiu, że skorzystał z nadarzającej się okazji. Czyż nie o tym marzyli przed wyjazdem do Stanów? Nie powinna czuć się oszukana, że los ich rozdzielił. Zamiast tego powinna życzyć mu szczęścia. To dobrze, że znalazł kogoś, kogo może

kochać. Mimo to Kathleen czuła, że dygocze i otuliła się szczelniej peleryną.

Patrick zdjął koszulę i rzucił ją na krzesło. Siedząc na skraju łóżka, zdjął buty i skarpetki i zostawił je na podłodze. W domu panowała cisza. Służąca przygotowała jego łóżko do snu, podobnie jak łóżko Caroline w sypialni po drugiej stronie korytarza. Sypiali oddzielnie. Wade i Jessica również mieli swoje pokoje.

Teraz wszyscy byli u siebie. Samotni i nieszczęśliwi. Patrick potarł ręką skronie i pograżył się w myślach, które prześladowały go przez cały wieczór. Kathleen żyje! I na dodatek przyjechała do Savannah. Zobaczył ją, dotknął jej ręki i przekonał się, że jest dziesięć razy piękniejsza niż sześć lat temu. Kathleen, Kathleen, Kathleen ...

- Mhm, widzę, że dręczy cię coś niezwykle poważnego, kochanie.

Natychmiast podniósł głowę i zmierzył żonę czujnym spojrzeniem. Stała oparta o futrynę, ubrana w przezroczystą koszulę nocną, i uśmiechała się kpiąco.

Przypominała mu wielkiego, rasowego kota, lecz brakowało jej ciepła i serdeczności tego zwierzęcia. Jak się przekonał, jego żona była kobietą całkowicie skupioną na sobie, zachłanną i egoistyczną. Nie interesowało jej nic poza zaspokojeniem swych licznych potrzeb, które na ogół były bardzo kosztowne.

- Zaliczyliśmy już naszą codzienną kłótnię, Caroline - powiedział spokojnie. - Jest późno. Chcę spać.

Chwilę milczała, po czym wybuchnęła śmiechem.

Satynowa koszula nie kryła jej ciała. Jedno ramię zsunęło się w dół, niemal odsłaniając pierś.

- Wiesz - powiedziała, odrywając się od drzwi i zbliżając do łóżka - jedną z twoich najbardziej podniecających cech jest ten twój spokój i opanowanie w łóżku. - Pogładziła jego skórę na piersiach.

- To absolutnie cudowne, gdy wreszcie o tym zapominasz.

Dobrze wiedział, o co jej chodzi. Najwyraźniej rzuciła jednego kochanka i jeszcze nie znalazła następnego. W przeciwnym wypadku nie byłoby jej w domu. Był pewien, że jej następną zdobyczą będzie Duncan Wheeler. Widocznie jeszcze nie poszła z nim do łóżka i tylko z tego powodu przyszła do sypialni męża. Już dawno przestała się nim interesować, jeśli w ogóle kiedykolwiek wzbudzał jej zainteresowanie.

- Nie dzisiaj, Caroline - westchnął ciężko i odsunął jej rękę.

- Nie dzisiaj, Caroline - syknęła ze złością. - Nie jutro, Caroline. Nie w przyszłym miesiącu, Caroline, ani w przyszłym roku - ciągnęła, krążąc po pokoju. Nagle przystanąła i zmarszczyła czoło.

- Wiesz, czasami mnie to zdumiewa, Patricku. Twoje życie seksualne. Choć właściwie nic mnie to

nie obchodzi.

- Nie krzycz tak - warknął przez zęby. - Jessy śpi zaledwie dwa pokoje dalej.

- Wiem, gdzie śpi moja córka, ty draniu!

- A ja wiem, jak się zawsze kończą takie sceny - odrzekł spokojnie, biorąc do ręki szklanę z whisky. - Skoro wcale mnie nie chcesz, to po co tu przychodzisz i zaczynasz awanturę? Pewnie chodzi ci o pieniądze. Albo to, albo jej zdrady. To był kiedyś częsty temat ich kłótni, ale już dawno przestał się przejmować postępowaniem żony.

- Mogę się założyć, że wiem, o czym myślisz - rzuciła nagle.

Patrick westchnął z rezygnacją.

- O tej rudej.

- Jakiej rudej? - spytał spokojnie. - O czym ty mówisz?

- O tej wysokiej, szczupłej, rudej dziewczynie, która twierdzi, że jest dziennikarką - powiedziała, krążąc wokół niego i mierząc go badawczym wzrokiem. O tej, która całkowicie owinęła sobie koło palca nowego właściciela "Sentinela" - dodała jedwabistym głosem. - Właśnie o tej rudej, o czym zresztą świetnie wiesz.

- Chodzi ci zatem o panią Collins - odrzekł chłodno. - Znasz jej nazwisko równie dobrze jak ja. - -
Nie sądzę.

- Co takiego?

- Nie sądzę, żebym znała jej nazwisko równie dobrze jak ty.

Patrick poczuł na sercu zimny ciężar. Był bliski paniki. Bał się o Kathleen, ponieważ Caroline była mściwa. Nie zawahałaby się przed zniszczeniem Kathleen, gdyby zaczęła podejrzewać, że...

Że co? Nie mogła niczego podejrzewać, bo nic się nie zdarzyło. Kathleen dopiero przyjechała do Savannah i wkrótce miała wrócić do Nowego Jorku. Na myśl o tym poczuł smutek.

- No, to rzeczywiście interesujące, Patricku. Bardzo interesujące.

- Nie jestem w nastroju do takich rozmów - powiedział.

- Już dawno nie widziałam, żebyś stracił to swoje słynne panowanie nad sobą - oświadczyła złośliwie. Niemal mam ochotę pójść z tobą do łóżka.

Kiedy piekło zamarznie, pomyślał Patrick i przybrał kamienny wyraz twarzy.

- To najwyraźniej Irlandka. Czy może to cię w niej podnieca?

Odstawił na stół ciężką szklanę.

- Przejdź do rzeczy, Caroline. Jak już powiedziałem, jest późno i chcę iść spać.

- Czy mówiłeś ojcu, że za dużo wydaję? - spytała ze złością. Najwyraźniej znudziła się jej zabawa

i postanowiła podjąć właściwy temat.

Patrick był zaskoczony.

- Nie.

- Kłamiesz! Jeszcze nie zdążyłam wypić kieliszka szampana, kiedy zaczął mi robić wyrzuty z powodu kilku rachunków z zeszłego miesiąca. Nigdy by tego nie zrobił, gdybyś nie zaczął skąpić. Nie masz do tego najmniejszego prawa! To nie twoje pieniądze, tylko moje! Nie wszedłbyś tu nawet kuchennymi schodami, gdyby ojciec cię nie kupił! Słyszałeś? Zostałeś kupiony!

- Całe miasto cię słyszy - oznajmił lodowatym tonem, chwycił ją za ramię i mocno przytrzymał. - Siadaj tu! - rozkazał i pchnął ją na fotel. - I uspokój się, na litość boską! Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

Caroline skuliła się.

- Nie przyszłam tutaj słuchać twojego kazania. Chcę wiedzieć, dlaczego w tajemnicy poszedłeś do ojca. Dobrze wiesz, że sam dajesz mi o wiele za mało.

Patrick zamknął oczy. Nie miał ochoty wracać do tego tematu, zwłaszcza o tej porze. Caroline wydawała pieniądze z beztroską rozpuszczonego dziecka, buszującego w sklepie ze słodyczami. Gdy Patrick w końcu ograniczył jej wydatki, zwróciła się o pomoc do ojca. Teraz najwyraźniej i on miał tego dosyć.

- Nie rozmawiałem o tym z twoim ojcem. Dziś jest pierwszy, pewnie dostał rachunki za twoje ekstrawagancje. Sama jesteś sobie winna. Nawet szczodrość twojego ojca ma swoje granice, więc możesz się ode mnie odczepić. Jak powiedziałem, nie mam zamiaru pokrywać twoich wydatków ponad uzgodnioną sumę.

- Nigdy niczego z tobą nie uzgodniłam, ty despoto!

- Zerwała się z fotela. - Nie będę tego znosić! Nie masz prawa ograniczać moich wydatków. Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty właściwie jesteś? Za te twoje pieniądze nie mogę nawet pojechać na wakacje, kiedy mam na to ochotę! Nie wystarcza mi na odpowiednie ubranie, na podejmowanie przyjaciół. To jałmużna!

- Wobec tego radzę ci podjąć negocjacje z ojcem - odrzekł niewzruszony. - Jak ci już powiedziałem, ta studnia wyschła. Patrick wstał. Był wysoki, dobrze zbudowany i silny. Kiedyś pewnie córka Fergusona potrafiła go terroryzować, ale te czasy dawno minęły. Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Skoro tak lubisz powtarzać, że pieniądze Wade'a należą do ciebie, to idź i spróbuj go o tym przekonać. Życzę ci powodzenia.

- Nienawidzę cię! Gardzę tobą! Nigdy nie powinnam była dać się namówić na to małżeństwo! .

- Możemy łatwo skończyć z tą farsą - oznajmił spokojnie. - Wystarczy jedno twoje słowo.

- Dobrze wiesz, że ojciec się nie zgodzi - syknęła. Z jakichś idiotycznych powodów przypadłeś mu do serca. Uważa, że masz na mnie dobry wpływ! Nic go nie obchodzą moje potrzeby i uczucia. - Na jej twarzy pojawił się grymas goryczy. - On wciąż mnie karze. Jest tak staroświecki, że.

- Co? - spytał ostro.

Caroline zamilkła. Najwyraźniej uznała, że lepiej będzie ugryźć się w język, mimo że Patricka nie wzruszały jej słowa. Nie bał się też jej gróźb. Wszelkie uczucia, nawet wzajemny szacunek, już dawno wyparowały z ich małżeństwa. Patrick nawet nie pamiętał, by kiedykolwiek było inaczej. Gdy Caroline wreszcie wyszła z jego sypialni, położył się spać. W sercu czuł ogromną pustkę.

Tej nocy Kathleen znów miała sen. Jeszcze raz ujrzała dobrze znajomą, krętą drogę, usłyszała pisk opon i bębnienie deszczu o szyby samochodu. Jaskrawe błyskawice co chwila oświetlały ciemny las. W środku samochodu zapłakało dziecko. To najwyraźniej było jeszcze niemowlę.

Rzucała się niespokojnie na łóżku. Miała wrażenie, że doskonale wie, czego potrzeba dziecku, tak jakby byli ze sobą połączeni bardzo bliską więzią. Nagle samochód zatrzymał się przed bramą.

Jak zwykle, rozległ się metaliczny szczęk i Kathleen się obudziła.

Drżała. Naciągnęła kołdrę na uszy, usiłując się rozgrzać, choć dobrze wiedziała, że nic z tego. Tej nocy z pewnością nie uda się jej znów zasnąć. Również analiza snu nie miała najmniejszego sensu. Tu kryła się jakaś tajemnica i coś złego. To zło jeszcze nie dojrzało do wyjawienia.

U siadła, przetarła rękami oczy i sięgnęła po szlafrok.

Nic dziwnego, że znów miała ten sen. Każde gwałtowne przeżycie powodowało senne wizje. Spotkanie z Patrickiem z pewnością było dostatecznie denerwujące. Drżącymi rękami otworzyła szufladę nocnego stolika i wyjęła dziennik. Otworzyła go, po czym sięgnęła po pióro.

Patrick ma żonę i dziecko. Usiłuję pogodzić się z tym faktem.

ROZDZIAŁ 7

- Co to? - Kathleen zerknęła na karteczkę, którą Max rzucił na jej biurko. - Piątek, godzina osiemnasta, stocznia - przeczytała głośno.

- Wywiad, który obiecaliśmy Fergusonowi.

Ferguson. Na szczęście nie Patrick. Kathleen natychmiast się odprężyła i odkaszlnęła.

- Piątek - powtórzyła, po czym spojrzała na niego z irytacją. - To przecież dzisiaj.

- Owszem.

- Wodowanie ma być przecież jutro o dziesiątej rano.

- Pamiętam.

- Myślałem, że uznasz to za część przyjemną - powiedział Max, przyglądając się jej uważnie.

- Z tego, co słyszałem na przyjęciu u Fergusona, okazuje się, że jutrzejsze wodowanie ma być uroczystością patriotyczną. Biorąc pod uwagę stan gospodarki, powinnaś z radością witać każde wydarzenie mające uhonorować pracę i ludzi, którzy ją wykonali.

- Masz rację, jak zwykle - powiedziała. - Chętnie zobaczę ten statek .

Urwała, bo Max podniósł rękę.

- Okręt, moja droga. Marynarka wojenna posługuje się okrętami, nie statkami.

- Wszystko jedno. - Kathleen wzniosła oczy do nieba. - Chcę zobaczyć wodowanie tego czegoś, niezależnie od nazwy. Poproszę Eddie'ego Perkinsa, żeby poszedł ze mną i zrobił zdjęcia. To najlepszy fotograf w tej redakcji. Będziemy mieli dobry materiał na niedzielną rozkładówkę.

Max uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

Kathleen zaczęła sprzątać biurko.

- Nie rozumiem, dlaczego Ferguson chce, żebym dziś zrobiła z nim wywiad - poskarżyła się, wkładając do torby notatnik. - Mógł przecież przeznaczyć na to kilka minut przed jutrzejszą ceremonią. Nie musiałabym tam jeździć dwa razy.

- Pewnie spodziewa się obszernego artykułu - wyjaśnił. - Jest dumny ze swojej stoczni jak chłopiec z pierwszego roweru.

Kathleen zapięła torbę i spojrzała na niego.

- Nie wiem, czego się ten facet spodziewa, ale napiszę to, co myślę, a nie to, czego on oczekuje. Oczywiście zamierzam podkreślić niezwykły rozwój stoczni, bo w dzisiejszych czasach to rzeczywiście coś szczególnego i takie sukcesy trzeba chwalić, ale wspomnę również o jego związkach z Lelandem. Czy masz coś przeciwko temu?

- A gdyby nawet, to czy miałoby to jakieś znaczenie? - spytał z uśmiechem.

- Chyba nie.

- Nie będę więc strzepić języka.

- To jest właśnie "USS Marshall Johns" - powiedział Ferguson z wyraźną dumą w głosie. Z satysfakcją patrzył na duży, szary kadłub okrętu.

- Widzę - mruknęła Kathleen. Jaskrawe słońce oświetlało komin i wszystkie urządzenia pokładowe okrętu. Kathleen nie знаła się na przemyśle stoczniowym, ale całość sprawiała imponujące wrażenie. Stała z Fergusonem koło pochylni i przyglądała się gorączkowym przygotowaniom do wodowania. Na pokładzie kręcili się mechanicy, instalując ostatnie elementy wyposażenia. Okręt spoczywał na pochylni. Robotnicy usuwali kolejne podpory. Ferguson powiedział jej, że jutro rano kadłub będzie podtrzymywany tylko w kilku miejscach. Na odpowiedni sygnał zostaną usunięte ostatnie podpory, zwolnione cumy, i gdy butelka szampana uderzy o dziób, kadłub zsunie się z pochylni i z pluskiem wpadnie do wody.

Ferguson barwnie opisywał jej jutrzejszą uroczystość, patriotyczne pieśni, orkiestrę marynarki wojennej, dumę robotników, którzy' zmienili surowe materiały, metal i drewno, w szybki okręt.

- To robi wrażenie, prawda? - spytał w końcu z uśmiechem.

Kathleen kiwnęła głową. Przyglądała się, jak Eddie Perkins kręci się po całym doku, uwieczniając okręt za zdjęciach. Wyciągnęła z torby notatnik i ołówek. Ferguson z pewnością przyprowadził ją tutaj, żeby jej zaimponować, i niewątpliwie mu się udało.

- To niezmiernie ciekawe - powiedziała. - Nie przypuszczałam, że ten okręt okaże się taki duży. Jaka jest jego długość? A przeznaczenie? Ile lat będzie służył w marynarce? Dziesięć? Dwadzieścia?

- Hm - Ferguson zaciągnął się cygarem. - Ten okręt będzie patrolował wody przybrzeżne Stanów Zjednoczonych, żeby zagwarantować bezpieczeństwo wszystkich obywateli. Szczegóły techniczne poda pani mój zięć. Widzi go pani? Tam, na rusztowaniu dla malarzy.

Kathleen przestała notować. Spojrzała w kierunku wskazanym przez Fergusona i zauważyła Patricka, idącego wąską kładką zawieszoną przy burcie okrętu. Jeden fałszywy krok, pomyślała, a spadnie dziesięć metrów w dół, na pochylnię. Kathleen czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Patrick wreszcie dotarł do pomostu łączącego okręt ze ścianą doku. Drżącą ręką naskrobała coś w notatniku. Czuła, że Patrick zmierza w ich stronę.

- Dzień dobry - przywitała go.

- Kathleen - powiedział, patrząc na nią smutnymi oczami. - Cześć, Wade.

- Cześć. - Teść poklepał go po ramieniu. - Wszystko zgodnie z planem, synu?

- Jeśli takie rzeczy w ogóle można zaplanować. Zawsze pod koniec pojawiają się jakieś

problemy, ale sytuacja jest pod kontrolą.

- Doskonale, świetnie. Wobec tego masz czas, żeby odpowiedzieć pani Collins na kilka pytań. - Ferguson wyjął z ust cygaro. Nawet nie zauważył szybkich spojrzeń, jakie wymienili Patrick i Kathleen.

- Pani Collins obiecała mi, że artykuł ukaże się w niedzielnym wydaniu "Sentinela" ..

- Och, jestem pewna, że pan O'Connor jest bardzo zajęty. Nie chciałabym zabierać mu czasu. Z pewnością ktoś inny ...

- Ależ skąd, moja droga - przerwał jej Ferguson i spojrzał na zięcia. - Może pójdziecie do twojego biura, Patricku? Tam będziecie mieli spokój. Powiem brygadziście, żeby przez godzinę dali ci spokój, chyba że zdarzy się coś wyjątkowo pilnego.

Godzinę- Kathleen nie miała ochoty tak długo być sam na sam z Patrickiem. Rozejrzała się nerwowo, szukając Eddie'ego. Niemal jęknęła, gdy zobaczyła go na szczycie rusztowania. Gotów był ryzykować życie, byle zrobić efektowne zdjęcie. Zresztą, nawet gdyby zdołała wybić mu z głowy jego wariackie pomysły, wątpiła, by zgodził się siedzieć beczynn timerze.

- Tędy - Nie czekając na odpowiedź, Patrick ujął ją za łokieć i poprowadził w kierunku niewielkiego budynku. Spojrzała na Fergusona, ale ten już maszerował w stronę rusztowania. Niewątpliwie miał zamiar sprawdzić; co fotografuje Eddie.

Patrick otworzył drzwi i puścił ją przodem. Kathleen przekroczyła próg i znalazła się w zagraconym pomieszczeniu. Wyglądało tak, jak się tego spodziewała. Środek zajmował wielki stół, na którym piętrzyły się plany, specyfikacje, listy, notatki i szkice. Wśród papierów widać było ołówki, gumki, linijki, cyrkle oraz kilka kubków i popielniczek pełnych niedopałków. Nie było natomiast lśniących mebli, doniczek z palmami i kosztownych drobiazgów. Kathleen natychmiast odgadła, że tu bije prawdziwe serce stoczni. Tu powstawały plany, tu zapadały decyzje, nim wreszcie w ruch szły narzędzia.

- Proszę, siadaj. - Patrick podsunął jej krzesło, otrzepując je szybko z kurzu. - Jest w miarę czyste.

- Dam sobie radę - powiedziała, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu czegoś do pisania. - Potrafię notować w rozmaitych niewygodnych pozycjach.

- Nigdy nie pomyślałem, że kiedyś będziemy się czuć skrępowani swoim towarzystwem.

- No cóż, wszystko się zmienia. - Kathleen uznała, że nie ma powodu zaprzeczać. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym przejść do rzeczy.

Patrick pomyślał, że ma coś przeciwko temu. Chciał przedłużyć tę rozmowę, żeby nacieszyć się widokiem Kathleen, patrzeć na nią, słyszeć jej głos, przyglądać się, jak promienie słońca oświetlają jej kasztanowe włosy, wyobrażać sobie, że dotyka jej jasnej i gładkiej skóry. Dałby wiele, żeby móc

się zbliżyć i wciągnąć w płuca jej zapach.

Wiedział jednak, że gdyby Kathleen znała jego myśli, odwróciłaby się i wyszła, wobec tego pozwolił sobie jedynie na długie i tęskne spojrzenie.

Poranna bryza zburzyła jej fryzurę. Pasma włosów uwolniły się z eleganckiego wężła z tyłu głowy i teraz otaczały jej twarz. Kathleen odgarniała je niecierpliwie do tyłu, on zaś przypomniał sobie ich ostatnią noc, kiedy jej włosy całkowicie się rozsypały. Pamiętał, że pachniała wtedy różami. Najwyraźniej skorzystała z perfum macochy.

Teraz miała na sobie elegancki, zielony kostium z lnu. Zgodnie z wymogami mody, nosiła krótką spódnicę, ale biały kołnierzyk żakietu sprawiał, że wyglądała skromnie i surowo. Niemal niewinnie.

Porozmawiaj ze mną, proszę. Chcę znać odpowiedź na tyle pytań. Chcę wiedzieć, co robiłaś, gdzie byłaś, co osiągnęłaś beze mnie. Czy miałaś kochanków, Kathleen?

- Czy możemy wziąć się do pracy, Patrick? - spytała rzeczowo.

- Oczywiście. - Ponieważ nie usiadła, Patrick też stał, oparty o ścianę. - Proszę, pytaj. Co chcesz wiedzieć o "USS Marshall Johns"?

Kathleen powtórzyła pytania, jakie zadała Fergusonowi, i dodała wiele innych.

Starannie zapisywała odpowiedzi. Wcale się nie zdziwiła, gdy okazało się, że Patrick zna okręt tak, jakby go sam projektował. Powiedziała mu to.

- Wcale go nie projektowałem - zaprzeczył. _ Wiesz przecież, że nie jestem inżynierem okrętowym.

- Nie wiem - odrzekła, patrząc mu w oczy. - Od naszego poprzedniego spotkania minęło sześć lat. W tym czasie mogłeś zrobić dyplom.

- Nie zrobiłem.

- Kim był Marshall Johns?

- Tym razem go zaskoczyła. Patrick przez chwilę się zastanawiał.

- Wydaje mi się, że był oficerem marynarki podczas wojny domowej.

- Czy marynarka zawsze nazywa okręty nazwiskiem słynnych oficerów?

- Nie wydaje mi się, żeby Johns z czegoś zasłynął. Patrick uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Mało kto o nim słyszał.

- Czemu więc został tak uhonorowany?

- Jego rodzina ma duże wpływy w Waszyngtonie - odrzekł bez zastanowienia i uprzytomnił sobie, że Kathleen jest dziennikarką. - Hej, lepiej tego nie pisz. Nie powinienem był ci mówić.

Demonstracyjnie wykreśliła jego uwagę.

- W porządku?

- Zapomniałem, kim jesteś - powiedział, uważnie przyglądając się jej twarzy. Wypiękniała, lecz nadal wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Kathleen z jego młodzieńczych lat. Jego pierwsza i jedyna miłość. Patrząc na nią, czuł dumę i radość z jej osiągnięć.

- Jak ty możesz pracować dla Lelanda? - spytała nagle.

- Nie pracuję dla niego. Jestem pracownikiem Fergusona.

- Nie wykręcisz się tak łatwo, Patrick - oświadczyła oskarżycielskim tonem. - Zbadałam interesy Fergusona. Jest członkiem zarządu Leland Shipping. Pięć lat temu wszedł z Lelandem w spółkę. Tylko mi nie mów, że nic o tym nie wiesz.

- Kiedy zacząłem pracować w stoczni, ta spółka jeszcze nie istniała. - Przynajmniej to było prawdą. Minęło półtora roku od jego przyjazdu do Savannah, nim Wade podpisał porozumienie z Lelandem. Teraz jednak, niezależnie od tego, czy to mu się podobało czy nie, był związany z tą wielką firmą. Złościło go, że nie może jej wytłumaczyć, dlaczego się na to zdecydował.

- Czy twoim zdaniem powinienem był zrezygnować ze względów zasadniczych? - spytał, patrząc na nią kątem oka.

- Biorąc pod uwagę to, co o nich wiedziałeś, owszem - oznajmiła chłodno.

- A co wiedziałem?

- Że świadomie narażali na niebezpieczeństwo pasażerów "Irish Queen".

- W oczach Kathleen pojawiły się złe błyski - Nie wykonywali niezbędnych napraw, oszczędzali na szalupach i kamizelkach ratunkowych, brali na pokład zbyt wielu pasażerów. "Irish Queen" nie była wyjątkiem - dodała gniewnie. - Znam wiele innych przykładów ich zaniedbań, które skończyły się tragicznie. Nie będę ci wyliczać, ilu pracowników, prostych robotników, cierpi do dziś, ponieważ zarząd dba tylko o zysk i ma w nosie bezpieczeństwo pracy.

- Czy zawsze tak dokładnie przygotowujesz się do wywiadu? - spytał. Instykt podpowiadał mu, że tak. Kathleen nigdy nie robiła niczego połowicznie. Z miłej, romantycznej dziewczyny, którą kiedyś uwielbiał, zmieniła się w dojrzałą, zdecydowaną kobietę. Wtedy jej pragnął, a dziś to uczucie było tysiąc razy silniejsze.

Niestety, teraz dzieliło ich wszystko.

- Na tyle, na ile jest to konieczne - odpowiedziała - Staram się uzyskać pełen obraz sytuacji.

- Nie wątpię. Nie śmiałybym ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę.
 - Czy w ten sposób chcesz zasugerować, że nie wiesz, jak działa firma Lelanda? - spytała chłodno. - Jeśli tak, to ci nie wierzę.
 - Nie możesz powiedzieć mi nic o tej firmie, czego bym nie wiedział - rzucił nagle.
- Kathleen spojrzała na niego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.
- Niewiele brakowało, a zginęłabym w katastrofie, za którą odpowiada wyłącznie Leland - powiedziała. - Czy to nie ma dla ciebie znaczenia?
 - Jak możesz nawet tak myśleć?
 - A Brigit Murray? Ona nie miała tyle szczęścia co ja, podobnie jak trzydzieści trzy inne osoby.
 - Wiem. - Patrick ze znużeniem masował kark. Bardzo mi przykro.

Nie mógł jej teraz nic więcej powiedzieć, bo była dziennikarką, choć w duszy pragnął wyznać wszystko. Chciał podzielić się z nią bólem i poczuciem pustki, jakie ogarnęło go po katastrofie statku. Chciał, żeby rozumiała, co czuł, gdy był przekonany, że wszystko, co jego życiu nadawało sens, znalazło się na dnie oceanu.

- Chciałbym ci to jakoś wytłumaczyć, znaleźć odpowiednie słowa - ciągnął z namysłem. - Sprawić, żebyś zapomniała o tamtej nocy.
- Nie ma takich magicznych słów, Patrick - ucięła Kathleen.

Jej ostry ton dotknął go do żywego. Gdy zauważył, jak ona mu się przygląda, pomyślał, że on też pewnie wydaje się jej kimś obcym. Kiedyś przecież wyznawał inne zasady. Prawda polegała na tym, że istotnie się zmienił.

Jedno pozostawało pewne. Zamierzał zniszczyć Lelanda i, wspinając się po służbowej drabinie w stoczni, zbliżał się do tego celu.

Kathleen zamknęła notatnik.

- Chcę cię uprzedzić, że mam zamiar starannie przyjrzeć się działalności tej stoczni. Jeśli moje odkrycia nie okażą się dla was pochlebne, nie powstrzyma mnie to przed ich opisaniem. To moja praca. Kilka firm, którymi się zajęłam, musiało zmienić swoje obyczaje i zrezygnować z nadzwyczajnych zysków. Skorzystali na tym ich pracownicy. Tak się składa, że moim zdaniem

bezpieczeństwo ludzi też ma pewne znaczenie.

- Czytałem twój artykuł w niedzielnym numerze "Sentinela". - Patrick pokręcił głową. - Zaimponowałaś mi, Kathleen. Coś w twoim stylu i problematyce przypomina mi Williama. Teraz dziwię się, że nie skojarzyłem tego od razu. - Zamrugał oczami i zerknął na nią. - William z pewnością jest bardzo z ciebie dumy. Jak on się miewa?

- Nie żyje.

- Bardzo mi przykro. - Patrick zmarszczył brwi. - Nie wiedziałem. Kiedy umarł? Jak to się stało?

- Zawał - odpowiedziała, wbijając wzrok w notatnik. - Według macochy, zmarł kilka dni po tym, jak wypłynęłam do Ameryki.

Kathleen wyraźnie poblądła. Patrząc na nią, Patrick poczuł się nieswojo, tak jakby musiał przygotować się na jakąś przykrą niespodziankę.

- Zawsze wiedziałem, że nie chce, żebyś wyjeżdżała. Nie przypuszczałem, że przeżyje to tak mocno.

- To nie dlatego - powiedziała i spojrzała mu w oczy. - Zabiło go rozczarowanie i poczucie hańby.

- Hańby?

- Z powodu mojej ciąży.

Boże, więc o to chodzi! Patrick czuł w sercu bolesny skurcz. Dręczyło go poczucie winy.

- Powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży?

- Nie miałam wyboru. Koniecznie chciał mnie namówić, żebym została. Chciał wierzyć, że tylko zadurzyłam się w tobie i szybko zapomnę. W końcu uznałam, że przekonać go może tylko prawda.

- Boże, zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, przez co przeszłaś. Twoje listy - Urwał i spojrzał na Kathleen, a potem omiótł wzrokiem ściany i sufit. Chciałbym ...

Chciał prosić ją o przebaczenie, ale trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa. Takich słów nie ma. Boże, to on zgotował jej taki los i nawet o tym nie wiedział!

Jakie znaczenie mają jego przeżycia w porównaniu z tym, co musiała znieść ona.

- Dlaczego mi o tym nie napisałaś? - spytał. Gdy milczała, odwrócił się i wyjrzał przez okno.

- A twoja siostra? - spytał, przyglądając się pracującym robotnikom. - Czy u niej wszystko w porządku?

- Nie wiem. Nie kontaktowałam się z nią od wyjazdu.

- Ani razu? - spojrzał na nią. - Przez sześć lat?

- Nie.

- Dlaczego?

- Tak postanowiła macocha.

- Jak się domyślam, z nią również nie utrzymujesz kontaktu.

- Nie - Kathleen nerwowo postukała palcami w notes.

- Patrick, jakie to ma teraz znaczenie?

- Odcieśli się od ciebie po śmierci ojca. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

- Ponieważ stało się to z mojej winy, można ich zrozumieć - skostatowała spokojnie.

- To okrutne - powiedział. Miał ochotę przytulić ją i obiecać, że zawsze będzie jej bronił.

Niestety, raz już ją zawiódł. Westchnął i potarł ręką czoło. - Boże, czuję się za to odpowiedzialny.

- Zapomnij o tym, Patrick - rzekła ze znużeniem. - Ja już zapomniałam.

Przez chwilę oboje milczeli. Gdzieś daleko zagwizdała lokomotywa. Ten dźwięk zabrzmiał wyjątkowo pośepnie i smutno. Patrick znów wyjrzał przez okno i przypomniał sobie, że odpowiada za jutrzejsze wodowanie okrętu.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Myślę, że wiem już dosyć, żeby napisać przyzwoity artykuł - odpowiedziała.

- Wobec tego - Patrick podszedł do drzwi, położył rękę na klamce i odwrócił się do niej.

Kathleen siedziała nieruchomo, jakby ważąc w duszy jakieś słowa.

- Jak to się stało, Patrick? - spytała wreszcie.

- Chodzi ci o moje kontakty z Caroline? - Wiedział, że Kathleen nie myśli o jego współpracy z Fergusonem.

- O twoje małżeństwo, Patrick. Kontakty ma się z prawnikiem, lekarzem lub szefem. Caroline jest twoją żoną.

- Tak - przyznał, wyglądając przez zakurzone okno.

- Jest bardzo piękna.

Nie, moim zdaniem nigdy nie będzie piękna. Jest próżna, egoistyczna i niewierna. To niszczy jej piękno - od środka. Jednak dopóki był jej mężem, nie mógł tego powiedzieć głośno. Ogarnęło go głębokie przygnębienie. Wspólne chwile z Kathleen są zbyt cenne, żeby marnować je na rozmowę o uczuciowej pustyni, jaką było jego małżeństwo.

- Czy jesteś szczęśliwy?

- Boże, Kathleen - Westchnął i spojrzał na nią z wyraźnym bólem.

- Musiałeś szybko się w niej zakochać - rzuciła w zadumie i zaczęła bawić się leżącym na stole cyrklem. - Wade Ferguson powiedział na przyjęciu, że wasza córka ma już pięć lat. Musiałeś, więc ożenić się prawie sześć lat temu.

- Tak.

- Masz rację - powiedziała, gdy przedłużająca cisza stała się nie do wytrzymania. - To nie moja sprawa.

- Uśmiechnęła się i zaczęła pakować swoje rzeczy. Notatnik, ołówek, gumkę Patricka.

- Jak ci się podoba Savannah? Prawdę mówiąc, ja uważam to miasto za przepiękne. Trochę wilgotno, ale za to blisko oceanu. I ludzie są tacy przyjaźni. Teraz wierzę, że południowa gościnność nie jest mitem. Jak sądzisz?

- Wcale się w niej nie zakochałem.

Kathleen zacisnęła palce na pasku torby. Jej zielone oczy wyraźnie się rozszerzyły.

- W ogóle nie myślałem wtedy o małżeństwie - powiedział tak cicho, że Kathleen z trudem rozróżniała słowa. - Jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałem, zginęła. Przynajmniej tak wtedy sądziłem. W środku byłem zupełnie martwy. Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak było naprawdę.

Odwrócił się w stronę okna, ale w rzeczywistości nie widział nic, co działo się na zewnątrz.

- Gdy stałem przed ołtarzem i brałem ślub z kobietą, której prawie nie znałem, zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek będę coś czuł. - Zaśmiał się gorzko. - Oczywiście nie miałem racji. Z biegiem czasu coraz bardziej tęskniłem do tamtej umarłej.

Gdy cicho westchnęła, odwrócił powoli głowę i spojrzał na nią.

- Masz rację, Kathleen, Savannah to piękne miasto, choć wilgotność powietrza jest potworna, zwłaszcza latem. Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, pomyślałem o tobie i wiedziałem, że polubiłabyś je.

Nie mogła wykrztusić słowa i patrzyła na niego w milczeniu.

- Gdzie mieszkasz? - spytał. - W centrum można znaleźć ładne apartamenty. Miałabyś blisko do redakcji.

- Mieszkamy w ślicznej klasycystycznej kamienicy, na rogu Bull Street i Oglethorpe Square - odpowiedziała. - Ktoś z personelu polecił ją Maxowi.

- Maxowi?

Ton jego głosu sprawił, że Kathleen uniosła dumnie brodę.

- Tak, Maxwellowi Rutledge'owi. Poznałeś go wczoraj na przyjęciu.

- Mieszkasz z nim?

- Owszem - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Czy to rozsądne? - spytał, zaciskając mocno zęby.

- Czy jest to rozsądne czy nie, o moich sprawach decyduję ja - odparła lodowatym tonem.

- Nie jesteśmy w Nowym Jorku, Kathleen.

- Wydaje mi się, że potrafię odróżnić Savannah od Nowego Jorku.

- Niech to diabli! Tu ludzie plotkują. Wkrótce wszyscy w Savannah będą mówić, że jesteś.

- Utrzymanką?

- Nie! To znaczy.

- Odszedł od okna i stanął przy niej. - Jesteś samotną kobietą. Łatwo możesz stać się przedmiotem plotek. Powinnaś o tym pomyśleć.

- Max mógłby być przecież moim ojcem - wyjaśniła spokojnie.

- Ale nie jest! - Był tak wzburzony, że w jej oczach pojawiły się gniewne błyski. - Ludzie będą myśleć, że jesteś jego kochanką.

- A ty co myślisz, Patrick?

Nie wiedział i nie mógł tego znieść. Zacisnął pięści.

Miał ochotę schwycić ją za ramiona i potrząsnąć tak mocno, żeby jej kasztanowe włosy opadły na ramiona, a w zielonych oczach pojawiły się łzy. Żeby obiecała, iż jeszcze tego samego dnia zerwie wszelkie stosunki z Maxem.

Opanował się jednak i odsunął od niej. To był prawdziwy cud. Po omacku odnalazł klamkę i postanowił wyjść. Nie miał najmniejszego prawa dyktować jej, jak ma żyć. Dawno temu stracił ten przywilej.

- Jak widzę, jesteś profesjonalistką i wolną kobietą - warknął i otworzył drzwi.

- Możesz myśleć, co ci się podoba - oświadczyła, zachowując pozornie kamienny spokój. W rzeczywistości drżały jej ręce i torba zaczęła sprawiać wrażenie ciężkiej.

- Muszę iść. Jeśli ten artykuł ma się ukazać w niedzielnym numerze, to muszę się do niego zabrać.

- Poczekaj - szepnął i wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. Kathleen zrobiła unik. Jej torba zsunęła się z ramienia i cała zawartość wysypała się na podłogę.

- Widzisz, co zrobiłeś! - Kathleen przykucnęła i zaczęła zbierać rzeczy, z wyraźną irytacją upychając je w torbie.

Patrick wymamrotał przeprosiny, po czym przyklęknął, żeby pomóc. Podał jej grzebień, kilka spinek do włosów i jedwabny szalik. Kathleen schowała ołówki i notes, ale gdy wzięła do ręki gumkę Patricka, jej ręka zawisła na chwilę w powietrzu, po czym rzuciła gumkę na stół. Równocześnie sięgnęli po portmonetkę i zetknęli się palcami. Kathleen podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nie myśląc o tym, co robi, uniosła rękę i dotknęła niewielkiej blizny pod jego okiem.

- Co ci się stało? - spytała stłumionym głosem.

- Nic poważnego - odparł, chwytając jej dłoń - Odprysk z pękniętego wiertła.

- Miałeś szczęście - powiedziała. Niewiele brakowało, a straciłby oko.

Nagle zapomnieli o niedawnej kłótni. Patrick uniósł jej dłoń i pocałował.

- Kathleen.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. W pomieszczeniu zrobiło się nagle potwornie gorąco. Czowała, jak z miejsca na dłoni, którego Patrick dotknął ustami, zaczynają promieniować fale niosące zmysłową rozkosz. Nie powinna była go dotykać, i nie powinna była mu na to pozwolić. Gdyby nie wiedziała, jak to jest z Patrickiem . Gdyby raz tego nie spróbowała.

Ktoś zapukał do drzwi. Gwałtownie poderwali się na nogi i odsunęli od siebie.

- Hej, szefie! Mamy cholerny problem z - Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, nagle urwał. Och, bardzo przepraszam. Nie wiedziałem, że jest ktoś u pana.

- Nic się nie stało, Mulvaney. - Patrick podał Kathleen portmonetkę. Wrzuciła ją do torebki i nie patrząc na Patricka, skierowała się do drzwi.

- Chwileczkę, Kathleen.

- Przyjdę później, szefie - powiedział Mulvaney, wyczuwając napięcie.

- Dobrze, daj mi dwie minuty.

Mulvaney wyszedł, lecz nim Kathleen zdążyła się wymknąć za nim, Patrick przytrzymał drzwi.

- Jeszcze jedno, Kathleen.

- Tak? - spytała, patrząc na ramię, które zagradzało jej drogę.

- Jutro po wodowaniu odbędzie się uroczysty lunch. Czy chciałabyś przyjść? - zapytał niemal oficjalnym tonem. Nic w jego głosie nie wskazywało na to, że przed chwilą odkryli w sobie dawną namiętność.

- Nie, dziękuję.

- Oczywiście, zaproszenie dotyczy również Maxa Rutledge'a - dodał, choć wcale nie miał ochoty go widzieć. - Bardzo przepraszam, jeśli moje uwagi na jego temat cię dotknęły. Jesteś wolną kobietą i możesz robić to, na co masz ochotę.

- Puść mnie, Patrick.

- Będą jakieś szychy z marynarki i dwaj kongresmeni.

- Nie, raczej nie przyjdę.

- Wade skręci mi kark, jeśli się nie pojawisz. Często mówi, że nie rozumiem znaczenia reklamy. -

Pewnie ma rację.

- Rozumiem, że to konieczne - odpowiedział - wolę jednak, żeby zajmował się tym ktoś inny. Ja jestem budowniczym okrętów, a nie agentem reklamowym. Wolę zostawić to takim jak Ferguson.

On uwielbia popisywać się przed wielkimi tego świata.

. - Poproszę Maxa, żeby kogoś przysłał. To powinno uchronić cię od gniewu teścia.

- Kathleen.

- Do widzenia. - Otworzyła drzwi, przecisnęła się obok niego i wyszła na dwór, gdzie wciąż świeciło październikowe słońce.

Z posępną miną odprowadził ją wzrokiem. Po chwili zniknęła za rogiem budynku.

ROZDZIAŁ 8

Następnego popołudnia Patrick znalazł pod stołem srebrną puderniczkę. Podniósł ją z podłogi i z przyjemnością zważył w dłoni. To był piękny, kobiecy drobiazg. Z pewnością bardzo kosztowny. Zapewne prezent od Maxa. Nacisnął przycisk i otworzył puderniczkę, po czym wciągnął w płuca różany zapach.

Zawsze gdy wąchał róże, myślał o Kathleen. Zakazane myśli.

Kathleen nie przyszła na ceremonię wodowania.

Choć Patrick miał na głowie mnóstwo spraw, co jakiś czas rozglądał się wokół w poszukiwaniu kasztanowych włosów i smukłej sylwetki. Później, podczas lunchu w klubie, zauważył Maxa, siedzącego razem z senatorem Oscarem Ellisem. Jednak zamiast Kathleen na lunch przyszedł inny dziennikarz z "Sentinela". Po wodowaniu statku Patrick zazwyczaj czuł satysfakcję z dokonanej pracy, dziś jednak czegoś mu brakowało. A właściwie kogoś.

To było niebezpieczne, to było szaleństwo. Mimo że mógł w ten sposób ściągnąć na siebie kłopoty, chciał zobaczyć Kathleen.

Na dodatek pokłócił się z żoną. Ich małżeństwo nie było, co prawda udane, lecz miał prawo oczekiwać, że przez kilka godzin, podczas uroczystości z okazji sukcesu firmy, Caroline będzie zachowywać się jak dama.

Okręt został wykonany na zamówienie rządowe i Patrick ostrzegł żonę, że na lunchu nie będzie alkoholu, ponieważ obowiązuje prohibicja. Caroline jednak tak się nudziła, że nie była w stanie pozostać trzeźwa. Jako członkini klubu miała przygotowane rezerwy na takie okazje. Od pierwszej chwili potajemnie piła kieliszek za kieliszkiem. Nie myślała o tym, że kompromituje męża i ojca; nie miała zamiaru odgrywać roli lojalnej żony i kochającej córki. Zamiast tego bezwstydnie flirtowała z Duncanem Wheelerem. Patricka niewiele obchodziło, co jego żona robi prywatnie, ale uważał, że dopóki nosi jego nazwisko, nie wolno jej go kompromitować. Przynajmniej na oczach wszystkich.

W przeszłości wielokrotnie się o to kłócili. Patrick powinien był wiedzieć, że gdy Caroline trochę wypije, rozmowa z nią jest bezcelowa. W efekcie Caroline demonstracyjnie opuściła klub, ciągnąc za sobą pijanego Wheelera. Zgromadzeni goście mieli niezłe widowisko. Patrick wymknął się z lunchu przy pierwszej okazji i poszedł do biura. Zazwyczaj praca pomagała mu zapomnieć o ponurym życiu rodzinnym.

Tym razem było mu trudniej.

Gdy wieczorem opuścił biuro, pojechał do miasta i wałęsał się bez celu po śródmieściu, nie mogąc się uspokoić. Był zły i czuł się tak, jakby wpadł w pułapkę. Musiał przyznać, że trochę lituje się nad sobą. Czy tak ma wyglądać jego życie aż do śmierci? Od chwili, gdy zobaczył Kathleen, wciąż snuł beznadziejne marzenia, pragnął rzeczy niemożliwych.

Włożył ręce do kieszeni i zacisnął palce na srebrnej pudernicze. W myślach rozważał wszystkie powody, dla których nie powinien jej oddawać Kathleen osobiście. Ona jest związana z kimś innym, on ma żonę i dziecko. Kathleen przyjechała do Savannah na krótko. Max Rutledge z pewnością nie zdecyduje się zamienić atrakcji Nowego Jorku na senny urok południowego miasteczka. Przeznaczenie związało Kathleen z Maxem, podobnie jak los połączył jego z Caroline i Jessy.

Wyjął z kieszeni puderniczkę i jeszcze raz jej się przyjrzał. Przesunął palcem po wyrytej, ozdobnej literze K, otoczonej girlandą kwiatów i liści. Może odesłać tę puderniczkę przez gońca? Albo pocztą? Może zostawić ją w redakcji "Sentinela"? Kolejne spotkanie z Kathleen, nawet gdyby znalazł sensowne usprawiedliwienie, byłoby błędem.

Podniósł głowę, rozejrzał się wokół i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że stoi przed domem Kathleen i Maxa. Wędrówka po mieście nie przegoniła dręczących go demonów. Był późny wieczór, ale w całej kamienicy paliły się światła. Bez zastanowienia otworzył ozdobną furtkę z kutego żelaza i usłyszał głośny brzęk. Zaklął pod nosem, ale było za późno. Na ganku zapaliło się światło.

Nie mógł się już wycofać. Zapukał lekko i ktoś natychmiast uchylił drzwi.

- Słucham?

- Dobry wieczór. Jestem - Czy tu mieszka pani Kathleen Collins?

- A kto pyta, jeśli mogę wiedzieć? - Niska, drobna kobieta zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- Patrick O'Connor.

- Patrick O'Connor - powtórzyła, mrużąc oczy - No, no, no.

Uśmiechnął się, słysząc wyraźny irlandzki akcent.

- Jestem starym znajomym pani Collins.

- Doprawdy? - odezwała się kobieta, nie otwierając szerzej drzwi.
- Tak. - Nie przewidział takich przeszkód.
- A cóż sprowadza pana do drzwi Kathleen Collins o tak późnej porze?
- Czy my się znamy? – Ton jej głosu wydał mu się dziwny.
- Nie, proszę pana, nie znamy się.
- Jeśli Kathleen jest w domu, chciałbym ją zobaczyć. Czy to możliwe, proszę pani?
- Może tak, może nie ...

Lampa z holu, zapalona za jej plecami, nie pozwalała dostrzec jej twarzy, niemniej odniósł wrażenie, że kobieta nie jest nastawiona do niego wrogo. Zdawał sobie sprawę, że wbrew jej woli zapewne nie uda się mu zobaczyć Kathleen, więc nie miał wyjścia i musiał podjąć jej grę.

- Czy pani jest gosposią, pani ? - spytał, krzyżując ręce na piersiach.
- Mam na imię Lizzie.

- Cieszę się ze spotkania, Lizzie - powiedział z uśmiechem.

- Ja też, panie O'Connor - odparła i ukłoniła się teatralnie, ale kąciki jej ust drgnęły, jakby chciała się uśmiechnąć.

- Jesteś pewna, że się nie znamy? - spytał. Lizzie pokręciła głową. - Wymawiasz moje nazwisko tak, jakby nie było ci obce.

- Można chyba powiedzieć, że mało brakowało, żebyśmy się poznali - rzuciła Lizzie enigmatycznie. Najwyraźniej dobrze się bawiła.

- Och, tak? A gdzie?

- Oczywiście w Nowym Jorku.

- Czy byłaś gosposią Kathleen, kiedy mieszkała w Nowym Jorku?

- Tak uważam ja i wielu innych ludzi, ale Kathleen jest innego zdania - odrzekła Lizzie, otwierając drzwi nieco szerzej. - Nie zgadza się na to. Ona ...

- Nie zgadzam się na to, bo to absurd. - Za plecami Lizzie nagle stanęła Kathleen. - Dobry wieczór, Patrick. Nie spodziewałam się ciebie, zwłaszcza o tej porze. Lizzie, dlaczego przesłuchujesz naszego gościa? Co powiedziałby na to Leo?

- Leo? - powtórzył Patrick.

- Leo Stem, mąż Lizzie - wyjaśniła Kathleen - Wbrew temu, co twierdzi Lizzie, nie są tu służbą.

- Doskonale. - Lizzie puściła kłamkę. - Następnym razem poczekam, aż ty albo pan Max otworzycie drzwi.

- To należy do Berthy - powiedziała Kathleen.

- A kim jest Bertha? - spytał słabym głosem.
- Kathleen zmusiła mnie, żebym ją zatrudniła do gotowania i sprzątan.
- To gospoia - oznajmiła z naciskiem Kathleen.
- Potrafię poprowadzić dom bez niczyjej pomocy - odrzekła Lizzie. Najwyraźniej był to częsty temat ich sporów.
- Bertha jest doskonałą kucharką i gospoia.
- Jej duszone mięso jest pozbawione smaku.
- Ona twierdzi, że twoje jest za ostre, żeby dało się przełknąć.
- Max i Leo wolą ostrą kuchnię - prychnęła Lizzie.
- Och, na litość boską, Lizzie - zaśmiała się Kathleen i pokręciła głową, po czym zaprosiła Patricka do środka. - Nie powinnam była zaczynać tej dyskusji. Kiedy przyjdzie Max, powiedz mu, że jesteśmy w salonie - dodała i dotknęła ramienia Patricka. - Tam możemy spokojnie porozmawiać.

Na wzmiankę o Maksie Patrick znów stracił dobry humor. Weszli do salonu, w którym stała różowa kanapa i dwa fotele obite brokatem. Nad podłużnym stołem przy oknie paliła się lampa od Tiffany'ego, na podłodze leżał dywan ozdobiony kwietnym wzorem. Patrick nie znał się na dekorowaniu wnętrz, ale ten pokój wydał mu się wyjątkowo ciepły i przytulny. Instynkt podpowiadał mu, że to Kathleen urządziła salon. Max Rutledge jest dla niej dobry. Patrick zacisnął zęby i sięgnął do kieszeni po papierosy. Myślał o tym, jaką przyjemność sprawiłoby mu spełnianie jej zachcianek. Gdyby należała do mego.

Kiedy wpadł w zadumę, Katween przyjrzała mu się uważnie. Miała wrażenie, że przytłacza swoją obecnością cały salon. Czyżby ten pokój był taki mały? Patrick wydawał się taki męski. Choć garnitur miał tak pognieciony, jakby pracował w nim cały tydzień, Kathleen czuła, że jej serce zaczyna bić szybciej. Biała koszula podkreślała jego śniadą cerę i ciemne włosy. Wydawał się bardzo zmęczony. Chciała ... Nie. Nie może sobie pozwolić na takie myśli.

- Podoba mi się ten pokój. - Patrick pierwszy przerwał milczenie. - Widać, że należy do ciebie.
- Ten dom należy do Maxa.
- Ale to, co jest jego własnością, należy również do ciebie, prawda?
- To nie tak, jak sobie wyobrażasz.
- Zatem wyjaśnij mi, Kathleen.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Nie powinieneś być tu przychodzić.

- Być może. - Wzruszył ramionami. - Pewnie masz rację - dodał i zaśmiał się cicho. - Niewiele brakowało, a odszedłbym z kwitkiem. Lizzie stawiała dzielny opór.

- Czasami odwiedzają mnie ludzie, którym nie podoba się to, co piszę. Z doświadczenia wiem, że lepiej, żeby Lizzie lub Leo otwierali drzwi.

- Dobrze jest mieć przyjaciół.

- Owszem.

- Mam wrażenie, że Lizzie mnie zna. Jak to jest możliwe?

- Była pierwszą osobą, z którą zaprzyjaźniłam się w Nowym Jorku. Pracowała u Drummondów, tam gdzie ja. Mieszkałyśmy w jednym pokoju.

- U jakich Drummondów?

-- Powiedziałam ci już, że zostałam błędnie uznana za dziewczynę, która podpisała z nimi umowę o pracę. Lizzie zajmowała się mną, dopóki nie mogłam podnieść się z łóżka. Dzięki niej przeżyłam jakoś te osiem miesięcy pracy w charakterze służącej.

- Rzuciłaś pracę po ośmiu miesiącach? - Patrick zmarszczył brwi. - Jak ci się to udało? Umowa o pracę jest prawnym zobowiązaniem.

- Max spłacił moje zobowiązania - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Patrick z bólem przyjmował to wszystko do wiadomości. Kathleen nie wątpiła, że chce jej zadać setki pytań. Ona jednak nie była mu nic winna. Z pewnością nie miał prawa kwestionować jej związku z Maxem. Coś jednak - być może wspomnienia młodszej miłości - nie pozwalało jej pamiętać o starych urazach.

- To zdarzyło się podczas przyjęcia u Drummondów - powiedziała, bawiąc się niewielką, szklaną figurką ptaka. - Miałam ... pewne kłopoty z szoferem. Max ...

- Kłopoty? - wtrącił Patrick.

- Tak. Nie mam ochoty o tym mówić, nawet teraz. To nie miało znaczenia. Po prostu jedna z takich sytuacji . . . no, wiesz ...

- Wpadłaś mu w oko.

- Przypuszczam, że można tak to określić.

- Czy on ośmielił się - Patricia ogarnęła wściekłość.

Zrobił krok ku niej, szybko jednak się zreflektował. Spojrzał na nią badawczo, po czym spytał: - Wiem, że to już przeszłość, ale czy on zrobił ci krzywdę?

- Chodzi ci o to, czy mnie zgwałcił? - sprecyzowała, odstawiając szklanego ptaka. - Nie. Próbował, ale jak ci już powiedziałam, Max właśnie przechodził. Zobaczył, co się dzieje i można

powiedzieć, że mnie uratował.

Patrick milczał. Był spięty, a dym z cygaretki przesłaniał jego twarz i zaciśnięte usta.

- Wiedziałałam, że po tej awanturze byłoby mi trudno pozostać u Drummondów. Pewnie byłoby to niemożliwe. Na szczęście Max zaproponował mi pracę i skorzystałam z oferty.

Patrick gwałtownym ruchem wyjął z ust cygaretkę. Kathleen spojrzała na niego wyzywająco.

- Kobiety często mają bardzo niewielkie możliwości wyboru. Przyjęłam jego propozycję i była to najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu.

- Kathleen... - Patrick odwrócił się gwałtownie i zdusił w ustach mało eleganckie słowa. - Sama nie wiesz, jakie ma dla mnie znaczenie to, co powiedziałaś. Dlaczego? Na Boga, dlaczego tak się wszystko musiało pogmatwać? Mieliśmy swoje plany, swoje marzenia. Pomyśleć tylko, że niemal się sprzedałaś!

- Wcale nie - zaprzeczyła zimno - Max zatrudnił mnie jako sekretarkę i towarzyszkę swojej żony. Lily była cudowna, bardzo mądra i inteligentna. Była dla mnie jak matka. Gdy dowiedziała się o mojej przyjaźni z Lizzie, przekonała Maxa, że potrzebują jeszcze jednej pokojówki. Max spłacił jej kontrakt. Jeszcze zanim Lily umarła, Lizzie właściwie prowadziła nasz dom i tak pozostało do dziś. - Kathleen podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Stała plecami do Patricka. - Nie wiem, dlaczego upiera się, żeby nazywać ją gosposią. W rzeczywistości jest moją przyjaciółką, najbliższą w świecie.

- A Max Rutledge jest twoim najdroższym przyjacielem?

Odwróciła się ku niemu. Spodziewała się, że zobaczy sarkastyczny uśmiech - ale Patrick jedynie czekał na odpowiedź. Westchnęła ze znużeniem.

- Tak. Przyjacielem i mentorem. Lily zachęcała mnie do pisania, a Max był tym zachwycony. Cieszył się z każdego mojego sukcesu. Był jak ojciec - dodała cicho i spojrzała na Patricka. - Czy możesz w to uwierzyć?

Patrick przez chwilę wpatrywał się w podłogę, następnie podniósł głowę.

- Więc Lizzie była z tobą podczas pierwszych miesięcy? - spytał.

Kathleen kiwnęła głową.

- Czy wiedziała, że jesteś w ciąży?

- Ona pierwsza się o tym dowiedziała. Jak ci mówiłam, mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Przed nią nie mogłam tego ukryć.

- Kathleen - Patrick nie mógł spojrzeć jej w oczy - Powinienem być wtedy przy tobie. Czy miałaś trudny poród?

- Sądzę, że nie powinniśmy o tym mówić.

- Ależ tak! - zawołał. Kiedy drgnęła nerwowo, zniżył głos.

- To znaczy ... Proszę, opowiedz mi o tym. Wszystko. Muszę wiedzieć, Kathleen.

- Sama niewiele wiem. Poród trwał długo i pod koniec straciłam przytomność. Chłopiec urodził się przedwcześnie. Był za mały ...

- Boże, Kathleen

Podszedł do niej i z całych sił przytulił ją do siebie. Oboje czuli żal i ból. W tej chwili nie myśleli o tym, co wypada, zapomnieli o konwenansach, pretensjach i poczuciu winy. Stojąc tuż obok siebie, po prostu razem przeżywali swój dramat.

- Widziałaś go? - szepnął, niemal muskając wargami jej skroń.

- Nie - Kathleen z trudem wykrztusiła to słowo.

- Lizzie widziała.

- Jak wyglądał?

- Był podobny do ciebie.

Poczuła, jak jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Na chwilę wstrzymał oddech, a potem przytulił ją jeszcze mocniej i ukrył twarz w jej włosach. Nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Od lat podsycala w sercu żal i gniew, skierowane przeciwko niemu. Teraz, gdy ją tulił, gdy słyszała, jak próbuje zapanować nad rozpaczą, poczuła, że jej dusza zaczyna zdrowieć.

Przez kilka minut stali przytuleni do siebie. Jedyne tykanie zegara i warkot samochodów na ulicy znaczyły upływ czasu. Kathleen przypomniawszy sobie, jak szukała pociechy w ramionach przyjaciół - Lizzie, Lily, Maxa. Teraz ze zdumieniem stwierdziła, że przede wszystkim musiała podzielić się swym cierpieniem z Patrickiem.

- Nie powinienem był tu przychodzić - powiedział, wdychając jej zapach, tak jakby tonął i rozpaczliwie łapał oddech.

- Nie.

- Przez cały wieczór włóczyłem się po mieście i tłumaczyłem sobie, dlaczego powinienem się trzymać od ciebie z daleka - dodał, przyciskając jej głowę do piersi.

- Nie mogłem się powstrzymać, Kathleen. Minęło już ponad sześć lat, ale wystarczyło, żebym na ciebie raz spojrział i wszystko wróciło. Nie mogę tego pokonać, przysięgam.

Nagle jego wargi znalazły się na jej ustach. Oboje zapomnieli o całym świecie. Ten pocałunek wyzwolił w nich uczucia, które tłumili w sobie od lat. Kathleen odniosła wrażenie, że miłość wraca

do niej niczym melodia ulubionej piosenki.

- Kathleen, Kathleen ... - Muskał wargami jej skronie, uszy i oczy. Chwycił w dłonie jej twarz i spojrzał w oczy, pociemniałe z namiętności. - Marzyłem kiedyś o tym. W nocy liczyłem dni do twojego przyjazdu do Nowego Jorku i wyobrażałem sobie, jak będę cię kochał.

Znowu ją pocałował. Rozkoszowała się jego smakiem, zapachem, mięśniami ramion i niespokojnymi, wciąż szukającymi dłońmi. Boże, jak mogła przeżyć bez niego tyle lat?

Poddała mu się tak, jak kwiat rozkwita pod działaniem słońca. Pieścił jej ramiona i plecy, potem jego ręce zabłąkały się w okolice jej bioder i ud.

Rozkosz, zaprawiona goryczą. Pożądanie.

Nagle rozległ się trzask frontowych drzwi. Kiedy to do niej dotarło, zeszywniała z przerażenia. Słyszała, jak Lizzie coś mówi, a Max odpowiada jej swoim niskim, mocnym głosem. Wyrwała się z objęć Patricka i zakryła rękami usta. Było jej wstyd. Jak mogła na to pozwolić? Co ją opętało? To przecież niedopuszczalne. Patrick ma żonę. I dziecko!

- Kathleen, nie patrz tak na mnie. - Wyciągnął do niej ramiona.

- Nie! - Kathleen odsunęła się. - Nie dotykaj mnie. Idź już. Proszę cię, idź. - Dobrze, idę. Ale ...

- Nic już nie mów! To było niedopuszczalne. - Otoczyła się ramionami i spojrzała na niego przez łyzy. Mieliśmy naszą szansę i straciliśmy ją. Jest już za późno. Wracaj do domu, do żony i córki.

Nie będziemy się więcej spotykać.

- Nie mówisz serio, Kathleen. - W jego głosie brzmiało cierpienie. - To już się nie powtórzy. Przepraszam, że przestałem nad sobą panować. Ja tylko... Patrick przeczesał palcami włosy. Gdy odezwał się znowu, jego głos brzmiał spokojniej. - Zapomniałem się. Przysięgam, że to ostatni raz.

Urwał. Ktoś mocno zapukał do drzwi salonu.

- To Max - szepnęła, pospiesznie ścierając łyzy z policzków. - Ja z nim porozmawiam.

- Kathleen? - Max wydawał się zaniepokojony. Kiedy otworzyła drzwi, Max obrzucił Patricka oskarżycielskim spojrzeniem. Bez wątplenia odgadł, co się tu działo. Kathleen pomyślała, że z pewnością wygląda tak, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku. Podobnie Patrick. W rzeczywistości oboje byli temu winni.

. - To nie tak jak myślisz, Max - szepnęła, dotykając Jego ramienia. Oczywiście Max miał rację, myśląc co myśli, ale nie chciał jej zranić. Obrzucił ich oboje czujnym spojrzeniem i wreszcie kiwnął głową w stronę Patricka. - Nie spodziewałem się, że dziś wieczór złożą nam pan wizytę.

- Przyniosłem coś, co należy do Kathleen - powiedział, wyjmując z kieszeni srebrną puderniczkę. - Została w moim biurze. Znalazłem ją pod biurkiem, kiedy wróciłem tam po uroczystościach.

- Och. - Kathleen wzięła od niego puderniczkę tak, aby nie zetknęli się palcami. - Nie zauważyłam, że ją zgubiłam. Dziękuję.

Max oczywiście zauważył, że Patrick potrzebował dużo czasu, aby przedstawić cel swej wizyty, jednak

powstrzymał się od komentarzy i stanął obok Kathleen.

- Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać - powiedział chłodno.

Patrick podszedł do drzwi, położył dłoń na klamce i zawahał się. Pomyślał, że może już nigdy nie będzie miał okazji, żeby powiedzieć, co czuje. Spojrzał na Kathleen.

- Nie mam zamiaru cię przeproszać - powiedział, ignorując Maxa. - Między nami nie stało się nic, co wymagałoby przeprosin.

Kathleen patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Na wargach czuła jeszcze smak jego ust. Miała wrażenie, że nadal dotyka palcami jego skóry. Jak może go utracić po raz drugi? Musi jednak wytrwać.

- Odprowadzę pana do drzwi - powiedział Max.

Nie dotykając Patricka, zmusił go do wyjścia z salonu. Lizzie czekała już przy drzwiach. Na sygnał Maxa, otworzyła je na oścież.

- Do widzenia, panie O'Connor - powiedziała cicho, gdy ją mijał.

Patrick spojrzał na nią zaskoczony. Czy w jej głosie dosłyszał żal? Włożył ręce do kieszeni i zniknął w ciemnościach nocy.

Kathleen zazwyczaj jadała niedzielne śniadanie w samotności. Max zwykle grał w golfa, a Lizzie i Leo szli na mszę do katedry św. Jana. Ona chodziła do innego kościoła, ale tego ranka nie miała na to ani siły, ani ochoty. Wciąż czuła wstyd z powodu wczorajszego wydarzenia. Wprawdzie Patrick wyznał, że niczego nie żałuje, ale jej zasady nie pozwalały na pocałunki z żonatym mężczyzną. Żadne okoliczności nie mogą usprawiedliwić takiego postępowania. Żadne.

Gdy rozległ się brzęk filiżanki o talerzyk, Kathleen skrzywiła się boleśnie i potarła palcami skronie. Po bezsennej nocy bolała ją głowa, a ona w dalszym ciągu nie zbliżyła się do rozwiązania swojego problemu.

- Źle spałaś, co?

- Max! - Kathleen zamrugała powiekami, starając się zapomnieć o bólu. - Myślałam, że grasz w golfa.

- Dzisiaj pójde później - powiedział, siadając przy stole. Napełnił filiżankę kawą i wypił kilka łyków, jednocześnie bacznie spoglądając na Kathleen. Nawet nie próbowała udawać, że wszystko jest w porządku. Przeglądając się rano w lustrze zauważyła, że ma podkrążone oczy. Była blada i drżały jej ręce. Max znał ją na tyle dobrze, że nie mogła go zwieść fałszywym uśmiechem i kłamstwem.

- Wzięłaś coś na migrenę? - spytał współczującym tonem, klepiąc ją po ręce.

- To jeszcze nie migrena, ale wzięłam jakieś proszki.

Na ogół bardzo mi pomagają. Mam nadzieję, że szybko mi przejdzie.

Dotknięcie jego dłoni dodało jej sił. Jak dałaby sobie radę bez Maxa?

- Ból głowy niewątpliwie minie i poczujesz się lepiej - powiedział, nagle unosząc jej dłoń i lekko ściskając - Nie sądzę jednak, żeby ten stan trwał długo. Chyba wpadłaś w poważne kłopoty.

- Max, proszę. - Kathleen cofnęła rękę i otoczyła palcami filiżankę.

- Wiem, że chcesz dobrze, ale nie mam siły na rozmowę o nim.

- Hm, nie chcę rozmawiać o nim, tylko o tobie, najdroższa. Czy chcesz tu zostać?

- Kathleen spojrzała na niego zaskoczona.

- A może wolisz wyjechać?

- A co z tym domem? - powiedziała, rozglądając się po przestronnej jadalni. Meble z wiśniowego drewna były piękne i eleganckie, ale najbardziej podobał się jej widok przez drzwi na taras. Widać było staw z rybami, ocieniony drzewami magnolii i porośniętymi mchem dębami. Ta scena zachwycała ją swą pełną spokoju urodą.

- Mamy dom w Nowym Jorku - przypomniał jej Max.

- Również na Przylądku Cod i w St. Louis.

Pytanie tylko, czy według ciebie wystarczy, żebyś wsiadła do pociągu, a od razu zapomnisz o Patricku?

- Nie sądzę, żeby to było takie proste, Max - szepnęła, wodząc palcem wzdłuż brzegu filiżanki.

- Uważasz więc, że powinnaś zostać i rozwiązać jakoś ten problem?

- Obawiam się, że tak.

- Wolałbym, żebyś użyła innego słowa. - Max zmarszczył czoło.

- Niż obawiam się? Wolałabym się nie obawiać odpowiedziała i spojrzała na spokojny ogród. - Nie sądzę, żeby ucieczka do St. Louis lub na Przylądek Cod, a nawet powrót do gorączkowego życia w Nowym Jorku, pozwoliły mi odzyskać spokój. Właśnie przekonałam się, że rzeczy, które moim zdaniem należały wyłącznie do przeszłości, mogą jednak powrócić. Nie wiem jeszcze, co mam z tym fantem zrobić.

- On jest żonaty, kochanie.

- Wiem, Max. - Kathleen pochyliła głowę i ścisnęła palcami nasadę nosa. - Możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru zaczynać romansu z żonatym mężczyzną.

- Nie spodziewałaś się, że może dojść do tego. Max spojrzał na nią z wyraźnym współczuciem.

- Ale co mam zrobić?

- Czasami nie możemy kontrolować naszego zachowania. Niektóre siły mają na nas przemożny wpływ.

Jestem od ciebie dużo starszy. Kiedyś byłem zakochany do szaleństwa. Dobrze wiem, jaki wpływ może mieć na kogoś ta jedna, szczególna osoba. - Max wpadł w zadumę. - Można to uznać za rodzaj obłąkania.

- Max, nie sądzę, żebym ...

Max jakby nie słyszał jej słów. Przez kilka sekund trwał zatopiony w myślach.

- Przepraszam cię, kochanie. Zamyśliłem się. Kathleen była ciekawa nad czym. Czyżby Max był kiedyś nieszczęśliwie zakochany? Nie miała wątpliwości, że on i Lily byli sobie bardzo oddani, ale Lily przez wiele lat była przykuta do wózka. Czyżby w jego życiu była inna kobieta?

- A więc zostajemy w Savannah?

- Tak myślę. - Skinęła głową. - Nie uda mi się od tego uciec, Max. Gdybym spróbowała, pewnie już nigdy nie odzyskałabym spokoju. Poza tym, mam co robić. W przeciwieństwie do wielu kobiet nie jestem uzależniona od żadnego mężczyzny. Sama potrafię zarobić na jedzenie, ubranie i dach nad głową. - Kathleen urwała i krótko się zaśmiała.

- Gdyby tobie się coś stało, pewnie nie byłabym taka pewna siebie.

- Gdyby mi się coś stało, sama dałabyś sobie świetnie radę. To oczywiście nie znaczy, że chcę gdzieś zniknąć lub wyjechać. - Max sięgnął do koszyczka po bułkę. - Zaskakujące, ale podoba mi się tu.

- To piękne miasto - przyznała, obracając w dłoniach filiżankę. - Przynajmniej z pozoru.

- Oho! - Max znieruchomiał z nożem w ręce. Znów widzę na twojej twarzy znajomy grymas.

- Mam zamiar napisać serię artykułów.

- Nie mów mi, na jaki temat. Sam zgadnę. - Zaczął smarować bułkę masłem. - Masz zamiar opisać koszmarnie warunki, w jakich pracują robotnicy zatrudnieni w stoczniach i w porcie.

- Skąd wiesz? - zapytała zdziwiona.

- Jak mógłbym nie zgadnąć? - Max zaśmiał się krótko. - Widziałem, jak prowadzisz dochodzenie, rozmawiasz z robotnikami i starasz się wydobyć nazwiska cichych współników. Dobrze znam twój styl, moja droga, nie zapominaj o tym.

- Niektóre z tych firm działają w kryminalny sposób, Max. - Kathleen pochyliła się ku niemu, zapominając o bólu głowy. - Niektóre kobiety zatrudnione przy przetwórstwie ryb są traktowane gorzej niż niewolnice. Mam nadzieję, że wrzawa w prasie zmusi właścicieli do zmiany polityki.

- Boże, zupełnie jakbym słyszał Lily.
- Dziękuję. - Kathleen zapomniała o gniewie i uśmiechnęła się do niego:
- Byłaby z ciebie dumna.
- Mam nadzieję.

Uśmiechnęli się do siebie, ciesząc się wspólnymi wspomnieniami. Max wyciągnął się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę.

- Skoro nie masz zamiaru wyjechać z Savannah, a przeciwnie, chcesz rozpocząć tu świętą wojnę o poprawę warunków pracy, to pewnie zainteresuje cię coś, czego dowiedziałem się wczoraj w klubie.

- Tak?
- Większość z firm, które masz na liście, należy do tej samej grupy inwestorów. Nie wiem, kim są ci ludzie, ale jeśli wykopiesz ich nazwiska, twoje artykuły będą miały większy ciężar gatunkowy.

- Zaraz się do tego wezmę. - Kathleen już myślała o różnych możliwych kierunkach śledztwa.
- Zdążysz w poniedziałek - uspokoił ją Max. - I jeszcze jedno.
- Tak?

- Firma Fergusona jest teraz pełnoprawnym partnerem Lelanda. Ferguson należy do zarządu. Wczoraj ogłosili, że zmieniają nazwę. Teraz będą nazywać się Leland Ferguson, Incorporated.

Kathleen przez chwilę analizowała tę informację, po czym pokręciła głową i powiedziała:

- Łamią prawo, kantuja i oszukują, i wciąż się im świetnie powodzi. To chyba nie jest w porządku, nie sądzisz? Dlaczego Ferguson chce wejść w spółkę z takimi rekinami? On sam wydaje się przyzwoitym człowiekiem.

- Kto to wie? Ogłosili również nazwisko wiceprezesa nowej firmy i członka zarządu - powiedział Max, przyglądając się jej uważnie.

- Kto to?
- Patrick O'Connor.

- Ta kobieta ... To jakaś wariatka! Caroline z obrzydzeniem rzuciła gazetę i zapaliła papierosa.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego Maxwell Rutledge zadaje się z kobietą tak wątpliwego pochodzenia! Przysięgam, że tego nie rozumiem.

- Mamo, chciałabym ciastko z galaretką.

- Przecież sam jest takim miłym człowiekiem - dodała Caroline, strząsając popiół na talerz.

- Z jaką kobietą zadaje się Maxwell Rutledge? Wade uniósł głowę znad talerza i zmarszczył brwi. O czym ty mówisz, dziewczyno?

- Och, o tym. - Caroline wskazała ręką gazetę. - Ta dziennikarka, która podpisuje się jako William Collins.

- Mamo ...

- Cicho bądź, Jessica. Nie słyszysz, że rozmawiam?

- Caroline głośno odstawiła filiżankę. - Moim zdaniem to idiotyzm. Posługuje się męskim imieniem, wykonuje pracę męczyzny. Nawet te jej włosy mają wulgarny kolor. Dobrze wiesz, o kim mówię, tato. O tej kobiecie, która mieszka z Maxem. Patrick ponuro wpatrywał się w filiżankę.

- A co zarzucasz jej pochodzeniu? - spytał Wade, odkrawając plaster szynki. - Nie sądzę, żebyś mogła kwestionować jej genealogię, kochanie. Jest prawdziwą damą, a przy tym piękną kobietą. Przynajmniej ja tak uważam.

- Wszyscy o niej mówią, tato.

- Hm... - mruknął, smarując grzankę masłem - Nic o tym nie wiem, skarbie. Jeśli to prawda, musimy uważać, żeby nie wpaść w tę samą pułapkę. Plotki mogą być bardzo przykre, zwłaszcza dla kobiety, której nie ma kto bronić.

- Przecież ma męczyznę, który ją broni - syknęła jadowicie Caroline. - Mam nadzieję, że twoim zdaniem Maxwell Rutledge nie jest jej niedawno odnalezionym wujkiem.

- Uważaj, co mówisz, dziewczyno.

- Właśnie - wtrącił Patrick - Ojciec ma rację: pani Collins to prawdziwa dama.

W oczach Caroline pojawiły się złe błyski.

- Nie mogę uwierzyć ...

- Proszę, ja chcę ciasteczko!

- Zamknij się, Jessica! Nie mogę uwierzyć własnym uszom - prychnęła Caroline. - Czy czytałeś jej ostatni artykuł, tato?

- Proszę, maleńka. - Patrick podał córce ciastko i delikatnie pogłaskał ją po głowie.

Wade podniósł do ust filiżankę i wypił kilka łyków kawy.

- Czytałem jej ostatni artykuł - potwierdził. To znaczy, jeśli masz na myśli ten o fabryce Grahama

Sherwooda przy Mill Street.

- Graham Sherwood to jeden z twoich najstarszych przyjaciół!
 - Raczej znajomych, moja droga. To pewna różnica.
 - W artykule jest napisane tylko to, o czym wszyscy wiemy od lat - zauważył Patrick spokojnie - Fabryka Sherwooda to potencjalna pułapka. W razie pożaru większość robotników może po prostu spłonąć.
 - Może teraz Graham wprowadzi jakieś zmiany dodał Wade.
 - Najwyższa pora.
 - Ta kobieta toczy jakąś podejrzaną wojnę - piekliła się Caroline. - To już czwarty artykuł na ten temat w ciągu czterech tygodni. Duncan jest wściekły.
 - To jeden ze współników Sherwooda, prawda? spytał Patrick, spokojnie znosząc jej spojrzenie. Wade złożył serwetę, położył ją koło talerza i wstał od stołu.
 - Skoro mowa o Maksie, to umówiłem się z nim na golfa. Lepiej pojedę już do klubu, bo nie chcę, żeby na mnie czekał.
 - Urwał i spojrzał na Patricka. - Może do nas dołączysz, synu? Sprawilibyś nam przyjemność.
 - Nie, dziękuję, Wade. Obiecałem Jessy, że zabiorę ją na jarmark. Dziś jest ostatni dzień, a my jeszcze tam nie byliśmy.
 - Będę jeździć na karuzeli! - wykrzyknęła Jessica. I jeść cukrową watę! Tata obiecał.
 - Ty też z nimi pójdziesz, prawda? - Wade obrzucił córkę uważnym spojrzeniem.
 - Wykluczone! - Caroline zgasła papierosa na porcelanowym talerzu. - I nie chcę słyszeć kazania na ten temat. Dobrze wiesz, że nie cierpię takich rzeczy. Wszędzie pełno kurzu, albo błota, jeśli popada. I ten tłum. Biali śmieciarze i czarni włóczędzy, wszyscy obdarci i brudni. Powinni się trzymać z dala od przyzwoitych ludzi.
 - Nie możesz oceniać ludzi po wyglądzie, Caroline - powiedział Patrick ostro. - Bardzo trudno jest znaleźć pracę. Nie wiem, czy zauważyłaś, że mamy kryzys.
 - Wobec tego powinni siedzieć w swoich slumsach. Tam jest ich miejsce - prychnęła.
 - Niektórzy z nich nie mają swojego miejsca - odrzekł Patrick. - Wędrują wraz z jarmarkiem, bo wtedy mogą trochę zarobić.
- Caroline skrzywiła się z obrzydzeniem, rzuciła serwetę na talerz i odepchnęła krzesło. Patrick również wstał, jak nakazywała uprzejmość. Wiedział, że odgrywa komedię. W rzeczywistości nie odczuwał potrzeby, by zachowywać się przy żonie jak dżentelmen.

- Jessica, idź umyj ręce - poleciła Caroline. Gdy dziewczynka posłusznie pobiegła do łazienki, Caroline spojrzała na męża z wyraźną wrogością. Patrick pomyślał, że od pewnego czasu już nie rozmawiają ze sobą inaczej niż z nienawiścią. Powinien był o tym pamiętać. Zresztą, jakież sens miały dyskusje z Caroline? To nigdy do niczego nie doprowadziło i tylko utrudniało życie Jessy.

Patrick często myślał, że gdyby nie ona, to pewnie któregoś dnia by po prostu zniknął. Zapomniałby o wszystkim - o swej pracy, o zadaniu, jakie sobie wyznaczył, swojej przyszłości, i wyjechał z Savannah. Nie był już biednym irlandzkim imigrantem. Mógłby zacząć życie gdzie indziej.

Byłby wolny.

Ale Caroline zjadłaby Jessy żywcem. Była jak wampir spragniony krwi. Swoją własną córkę nieustannie pozbawiała radości dzieciństwa. Żaden sąd nie przyznałby mu nigdy prawa do pełnej opieki nad dzieckiem, a nie mógł pozostawić jej pod opieką dziadka. Wade był za słaby, aby przeciwstawić się córce nawet w tych rzadkich chwilach, gdy uświadamiał sobie, jaka jest naprawdę. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, pomyślał z goryczą i włożył marynarkę. Słyszał, jak Jessy z podnieceniem opowiada służącej o wyprawie na jarmark. Krzywiąc się ponuro, dopił kawę.

Była zimna i gorzka.

- Och, uwielbiam jarmarki! - Lizzie kręciła się w kółko z szeroko rozłożonymi rękami i twarzą zwróconą do nieba. Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Czujecie ten zapach? Prażona kukurydza, cukrowa wata i końskie łajno. To przypomina mi mój pierwszy pocałunek.

- Lizzie! - Kathleen zaśmiała się głośno.

- Zachowuj się, Lizzie - powiedział cicho Leo, ale też uśmiechnął się do żony.

Leo Stem był z natury człowiekiem poważnym. Pracował u Maxa i Lily już od wielu lat, pełniąc obowiązki szofera, pielęgniarza, złotej rączki i barmana. Kathleen nie miała pojęcia, ile może mieć lat. Lizzie i Leo poznali się, gdy ona zaczęła pracować u państwa Rutledge.

Trudno w to uwierzyć, ale zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wzięli ślub zaraz po Bożym Narodzeniu tego samego roku.

- Och, daj spokój, Leo - westchnęła Lizzie. - Czy zapach stajni niczego ci nie przypomina?

- Niczego, o czym mógłbym mówić w obecności pani Kathleen - oświadczył surowo.

- Nie jestem pewna, czy chcę tego słuchać - wtrąciła Kathleen.

- To właśnie w stajni ten wielki drab pocałował mnie po raz pierwszy - powiedziała Lizzie,

przytulając głowę do Lea. Była tak drobna, że sięgała mu do połowy ramienia.

- W stajni? - zdziwiła się Kathleen, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Tak - potwierdziła Lizzie, śmiejąc się z miny męża. - Był zbyt nieśmiały, żeby to zrobić na diabelskim kole, nawet na samej górze, gdzie mógł nas widzieć tylko Pan Bóg i anioły. Dlatego opowiadając jakieś bzdury, godne zresztą Irlandczyka, zaciągnął mnie do stajni, między konie.

- I co? - Kathleen połknęła przynętę.

- I tam dokonał tego czynu - oświadczyła Lizzie, ignorując kamienną minę męża. - I to bezpośrednio na oczach pełnokrwistego rumaka.

Kathleen parsknęła śmiechem. Lizzie i Leo tworzyli niezwykłą parę, ale trudno było znaleźć małżonków bardziej sobie oddanych. Ich towarzystwo sprawiało jej radość.

- Ciekawa jestem, gdzie tu trzymają zwierzęta - zauważyła Lizzie, rozglądając się wokół z miną niewiniątka.

- Lizzie! - szepnął Leo podejrzanie cicho.

- Mam ochotę na watę z cukru - pospiesznie wtrąciła Kathleen.- Spotkamy się przy samochodzie za dwie godziny, dobrze?

- Czy nie boi się pani zostać sama? - spytał Leo, nie patrząc jej w oczy. Po pięciu latach małżeństwa żarty Lizzie nadal wprawiały go w zakłopotanie.

- Ależ skąd.

Gdy Kathleen dotarła do stoiska z watą, po jej twarzy nadal błąkał się uśmiech. Myślała o Leo i Lizzie. Staneła w kolejce i przyglądała się, jak sprzedawca kręci watę na wielkim kole. Przed nią stali dwaj chłopcy. Byli równie zafascynowani tym widokiem jak ona. Po chwili otrzymali swoje porcje.

- Ile dla pani? - spytał sprzedawca.

- Dwie - usłyszała za sobą niski, dobrze znany głos.

- Patrick ... - Podczas jazdy górską kolejką i w zamku strachów Kathleen śmiała się radośnie.

Teraz nagle ogarnął ją niepokój. Czy los wziął się na nią? Od owego pamiętnego wieczoru nie kontaktowała się z Patrickiem. Uznała, że tak będzie lepiej. Po wielu nocach, podczas których trawiło ją pożądanie, wiedziała, że nie mogą być po prostu przyjaciółmi.

- I Jessy - dodał, lekko popychając córeczkę przed siebie.

- Pamiętasz Jessy, prawda, Kathleen?

- Tak - potwierdziła słabym głosem, ale zdobyła się na uśmiech.

- Cześć, Jessy.

- Czy będziesz jeść cukrową watę? - spytała dziewczynka, przyglądając się wielkiej, białej chmurce z cukru, którą właśnie dostała Kathleen.

- Tak.

- Myślałam, że to tylko dla dzieci, takich jak ja.

- . Nie, to dla wszystkich, nawet dorosłych. - Pochyliła się i podała jej swoją porcję. - Proszę, weź tę, a ja poczekam na następną.

- Słyszałeś, tato? Może też chcesz? - Jessy wyciągnęła język i spróbowała watę.

- Chyba wolę prażoną kukurydzę - odrzekł, wyjął chusteczkę i wytarł małej nos. - Uch, to się może źle skończyć, jeśli nie będziemy uważać.

- Nie my, tylko ja!

- Masz rację, młoda damo, więc pamiętaj o tym - powiedział, delikatnie szturchając ją palcem. - Inaczej będziemy musieli iść do słonia i poprosić o prysznic.

- Och, tato - zachichotała Jessy i chwyciła go za rękę. Sprzedawca podał Kathleen watę. Patrick szybko zapłacił i rozejrzał się wokół.

- Chyba nie jesteś tu sama? - spytał zdziwiony.

- Nie, skąd. Ale Lizzie i Leo poszli obejrzeć konie.

- Przecież to jest na drugim końcu targowiska. .

- Nie zgubiłam się, Patrick - uśmiechnęła się Kathleen i wzięła do ust nieco waty. - Jestem na tyle dorosła, że mogę sama iść na jarmark.

Patrick przez kilka sekund przyglądał się, jak Kathleen walczy z nitką z cukru, która przylepiła się jej do policzka. Bez zastanowienia zrobił to samo, co przed chwilą z Jessy: wytarł jej twarz chusteczką.

I popełnił błąd. Pod wpływem tego dotyku zabrakło mu tchu i cofnął się o krok. Jeszcze przed chwilą czuł tylko zapach jarmarku - prażonej kukurydzy, kiełbasek z różną, tłumów ludzi i sprzedawanego bydła. Teraz nie zwracał już na to uwagi. Czuł tylko mocny zapach róż.

który uderzył mu do głowy i obrócił wniwecz wszystkie dobre intencje.

Naprawdę miał dobre intencje. W przeciwnym wypadku już dawno uległby pokusie, żeby spotkać się z nią. To doprowadziłoby tylko do eskalacji potrzeb, najpierw pieszczot, potem pocałunków, i wreszcie ...

- Tatusiu, tatusiu ...

- Jessy szarpała go za nogawkę.

- Tak, Świerszczyku?

- Zobacz, tu są jacyś obdarci, brudni ludzie, tak jak mówiła mama. - Wskazała na rodzinę z kilkorgiem wychudzonych dzieci. - Czy to właśnie są biali śmieciarze?

- Ciszej, Jessy! - Patrick przykucnął przy niej, chwycił za brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Nie można tak mówić o ludziach, to nieładnie. Przyjrzyj się im. To rodzina, mama, tata i dzieci. Wcale nie są brudni. Ich ubrania są połatanne i czyste. Może ich nie stać na nowe? Może ich tata nie ma dobrej pracy?

- Ale mama tak powiedziała - szepnęła Jessy. Jej wargi drżały.

- Mama nie powinna tak mówić - oświadczył stanowczo.

- Czy mam ich przeprosić? - spytała Jessy z wyraźnym lękiem.

- Myślę, że cię nie słyszeli. Miałaś szczęście, prawda? - Patrick pogłaskał ją czule po głowie. - Ale Kathleen i ja słyszeliśmy.

- Gniewasz się na mnie? - Jessy spojrzała na Kathleen.

- Nie. - Kathleen uśmiechnęła się do niej i musnęła ręką jej włosy.

- Cieszę się. Kiedy mama się na mnie gniewa, krzyczy i bije mnie. To okropne. Zawsze wtedy bardzo się boję.

- Jessy ... - Patrick zerknął na Kathleen. Wcale go nie zdziwiła jej zaszokowana mina. Szybko rozejrzał się wokół, szukając sposobu, żeby odwrócić uwagę córki. Nie chciał, aby rozmowa o Caroline zepsuła całą niedzielę.

- Zobacz, tam jest klatka z małpami. Mamy trochę orzeszków. Chcesz je nakarmić?

- Tak! Mogę?

- Uważaj tylko na watę - ostrzegła ją Kathleen i natychmiast skarciła się w myślach. To Patrick ma się nią zajmować. Ciekawe, gdzie jest jej matka? - zastanowiła się w duchu. Czy Jessy mówi o niej prawdę, czy też jest to dziecinna przesada? Z pewnością Caroline nie jest tak okrutna.

- Wiem, o czym myślisz - odezwał się Patrick.

- Myślę, że nie powinnam się wtrącać w twoje sprawy - szybko przerwała mu Kathleen. Świetnie wyczuwała jego frustrację. Czy chciał bronić Caroline? Nie miała najmniejszej ochoty słuchać, jak ją usprawiedliwia. To przekraczało jej siły.

- Niezależnie od tego, co myślę o twojej żonie jako matce, ty jesteś wspaniałym ojcem. Podobało mi się, jak poradziłeś sobie z tym incydentem z biedakami. Jessy już pewnie nigdy w życiu nikogo tak nie nazwie, nawet gdyby miała rację.

- Nie będzie to zasługą jej matki - mruknął z goryczą. - Nawet gdyby chciała pójść z dzieckiem na jarmark.

- To dobra zabawa dla całej rodziny - oświadczyła Kathleen dyplomatycznie.

- Caroline nudzą rodzinne zabawy.

A czy nudzi ją też własna rodzina? Kathleen oczywiście nie mogła tego powiedzieć na głos, choć Patrick nie spróbował ukryć goryczy, z jaką mówił o Caroline. Jaką kobietą jest naprawdę? Jak wygląda ich małżeństwo?

- Tato, tam możesz kupić prażoną kukurydzę! - Jessy wskazała palcem stragan. Rozdała już małpom wszystkie orzeszki. - I wodę sodową! Ja też chcę się napić!

- Chciałeś kupić prażoną kukurydzę? - spytała Kathleen.

- To mniej ryzykowne niż wata.

- Masz rację - westchnęła, starając się trzymać postrzępioną przez wiatr watę z dala od ubrania.

Jessy przez chwilę biegła wokół nich, po czym znowu chwyciła ojca za nogawkę.

- Czy mogę też dostać hot doga? - poprosiła, podskakując z nogi na nogę.

Patrick spojrział bezradnie na Kathleen. Zaśmiała się, wyrzuciła resztę waty do kosza na śmieci i chwyciła Jessy za rękę. Zrobiła poważną minę i kucnęła przy niej. - Jessy, czy wiesz, co jest najprzyjemniejszą rzeczą na jarmarku?

- Nie - odparła mała po dłuższym namyśle.

- Prażona kukurydza, cukrowa wata, hot dogi i inne smakołyki, których zwykle nie je się w domu

- wyjaśniła Kathleen i zerknęła na Patricka. Nie wydawał się zadowolony. - A jeszcze fajniejsze jest to, że na jarmarku można zobaczyć dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy i słonie, człowieka, który połyka noże i płomienie.

- Połyka płomienie? Naprawdę? - Oczy Jessy zrobiły się zupełnie okrągłe.

- Tak. Można też przejechać się diabelskim kołem i górską kolejką.

- Ja chcę zrobić to wszystko!

- A wiesz, co jest najgorsze?

- Nie. Co?

- Jeśli zjesz za dużo tych wszystkich przysmaków, to będzie cię bolał brzuch i wrócimy do domu, nim zobaczysz te inne rzeczy. - Kathleen znów spojrzała ukradkiem na Patricka. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Nie chcę, żeby mnie bolał brzuch.

- Wiem, że nie chcesz, Świerszczyku. - Kathleen wyjęła jej z dłoni cukrową watę. Obie rzygły się jej z powagą przez kilka sekund. - Myślę, że ten smakołyk nadaje się już do śmieci. Jak uważasz?

- Też tak myślę. Później może zjem hot doga. Myślisz, że od tego nie będzie mnie bolał brzuch?

- A ty jak uważasz, Patrick? - Kathleen wstała i spojrzała na niego.

Na użytek córki Patrick potarł brodę, tak jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Hm, możemy wszyscy zjeść hot doga z lemoniadą

- powiedział i mrugnął do Kathleen. - Ale dopiero po tym, jak zobaczymy połykacza ognia.

Kathleen wrzuciła cukrową watę do kosza i wytarła ręce. Dogoniła Jessy i chwyciła jej małą, lepką dłoń Patrick trzymał córkę za drugą rękę.

- Świetnie rozwiązałaś ten problem - powiedział.

-Dzięki.

- Prosta psychologia. Jessy jest dostatecznie bystra, żeby zrozumieć argumenty, i dostatecznie rozsądna, żeby dać się przekonać.

- Teraz wydaje się to proste.

- Pewnie dlatego, że nie jestem matką - zaśmiała się Kathleen.

Patrick nagle spowaźniał i Kathleen wstrzymała na chwilę oddech. Wiedziała, że myśli o ich dziecku. Oboje o nim myśleli.

- Byłabyś wspaniałą matką - powiedział cicho.

- Los chciał inaczej.

- Jesteś jeszcze młoda.

- Mam swoją pracę. Nie każda kobieta musi być żoną i matką.

- Tato - Jessy pociągnęła go za rękę. - Czy Kathleen pójdzie z nami oglądać zwierzęta i na górską kolejkę?

W ten sposób Kathleen dowiedziała się, że jednak nie będzie bawić się sama.

Gdy wysiadali z diabelskiego koła, oboje tłumili śmiech, żeby nie obudzić Jessy. Kathleen z trudem utrzymywała dwa pluszowe misie, lalkę i szklanego kociaka wypełnionego cukierkami. To była ich czwarta i ostatnia przejażdżka diabelskim kołem. Nim dobiegła końca, Jessy padła ojcu na kolana i natychmiast zasnęła.

- Oto brudna, zmęczona i bardzo szczęśliwa mała dziewczynka - powiedział Patrick, biorąc ją na rękę. - Myślę, że bez ciebie nie bawiłaby się nawet w połowie tak dobrze. Ja sam kilka razy czułem się tak, jakbym miał dwanaście lat.

- Za rzadko się śmiejesz.

Patrick spojrział na nią i wstrzymał oddech. Przez cały czas usiłował myśleć o niej jako znajomej, która towarzyszy mu w wyprawie na jarmark z córką. Prawie mu się to udało. Ale teraz ...

- Nie powinnam była tego mówić. - Kathleen poprawiła misia, któremu groził upadek na ziemię. - Poza tym to ja powinnam tobie dziękować. Bez was nie bawiłabym się tak dobrze. Jarmark trzeba oglądać oczami dziecka.

Niewiele brakowało, a zabawki wypadłyby jej z rąk.

- Na Boga! Jak ty dobrniesz z tym wszystkim do samochodu?

- Pomożesz mi? - spytał Patrick. Kathleen zerknęła na niego, zaskoczona propozycją. Patrick wzruszył ramionami.

- Powiedz.

- Hm ... - Kathleen spojrzała na zegarek. - Boże, jestem umówiona z Lizzie i Leo!

- Gdzie?

- Przy samochodzie - Popatrzyła niepewnie w kierunku wielkiego parkingu. - Nie jestem tylko pewna, czy

- Najpierw wsadzimy Jessy do mojego samochodu, a później pomogę ci ich znaleźć - powiedział i najwyraźniej uznał sprawę za zakończoną - Chodźmy tędy. Dasz sobie radę z tym wszystkim?

- Tak. - Kiwnęła głową, mocniej przyciskając do siebie pluszowe zabawki.

- Czytałem wszystkie twoje artykuły - powiedział zniechęca. Ludzie rozsuwali się na boki, żeby ułatwić mu przejście - Są dość prowokujące, Kathleen. Savannah ucierpiało wskutek kryzysu równie mocno, jak inne miasta. Czasami firmy muszą podejmować niekorzystne dla robotników decyzje, żeby utrzymać się na powierzchni.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli o tym rozmawiać.

- Nie musimy, ale słyszałem, jak niektórzy przedsiębiorcy narzekają na ciebie. Pamiętaj, że żyjemy w trudnych czasach. Zrozpaczeni ludzie czasami robią różne rozpaczliwe rzeczy.

- Jeśli cię dobrze rozumiem, mówisz z punktu widzenia właściciela. Ja widzę problem z drugiej strony, tak jak widzą go robotnicy. To duża różnica. Mówisz o rozpaczliwych. Moim zdaniem, robotnicy z niektórych fabryk i magazynów przy Mill Street rozumieją to słowo dużo lepiej niż bogaci właściciele.

- Kathleen, zacząłem rozmowę o tym dla twojego dobra - westchnął. - Denerwujesz niektórych ludzi, a oni mogą łatwo zapomnieć o tym, że jesteś kobietą, i zdecydować się na jakieś brutalne kroki.

- Dziękuję za ostrzeżenie, ale naprawdę możesz się nie martwić. Poradzę sobie. - Kathleen wzruszyła ramionami. - Czy w Savannah może mi grozić coś gorszego niż awantury, które przeżyłam w Nowym Jorku?

- Na litość boską, nie mam na myśli pmsowych polemik! Boję się, że ktoś może zaatakować cię fizycznie.

- A może chcesz mnie zniechęcić, nim dobiore się do twojej firmy?

- Jak mam to rozumieć? - Patrick zmierzył ją ostrym wzrokiem. - U nas warunki pracy nie są gorsze niż w jakiegokolwiek innej stoczni. Płacimy ludziom uczciwe stawki. Nie mam powodów, żeby mieć wyrzuty sumienia.

Kathleen milczała. To było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

- Czy jest może coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Mój następny artykuł będzie dotyczył nie twojej stoczni, lecz firmy Leland Ferguson.

Tym razem go zaskoczyła. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- I cóż masz do napisania o Leland Ferguson?

- Słyszałam o twoim awansie. Gratuluje.

- Nie sądzę, żebyś robiła to szczerze. Słyszę w twoim głosie pogardę. Musiałem ciężko pracować, żeby zostać wiceprezesem, Kathleen.

- Mam nadzieję, że nie sprzedałeś duszy.

Byli już przy samochodzie. Kathleen bez słowa otworzyła drzwi i czekała, aż Patrick ułoży córkę na tylnym siedzeniu. Przykrył ją kocem i delikatnie zatrzaskał drzwiczki.

- Teraz możemy dokończyć tę rozmowę - powiedział, opierając się o samochód. Zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo czasu.

Kathleen rozejrzała się dokoła. W pobliżu zauważyła hudsona Maxa. Lizzie i Leo już na nią czekali. Też ją zauważyli i niewątpliwie poznali Patricka. Widziała, że w drodze do domu czekają ją dziesiątki pytań.

- Muszę już iść, Patrick.

- Zatem jutro. Przyjdę do redakcji.

- Jestem umówiona.

- To później.

- Będę zajęta przez cały dzień. Nie wiem, kiedy wrócę do redakcji.

- Wyjeżdżasz gdzieś?

- Nie, muszę sprawdzić pewne informacje, które do mnie dotarły. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć - dodała widząc, że Patrick chce dalej dyskutować.

- Czy to dotyczy twojego dochodzenia w sprawie hurtowni przy Mill Street?

- Dlaczego pytasz?

- Już ci powiedziałem. To jest niebezpieczny teren. Nie powinnaś się tam zapuszczać, Kathleen. -

Patrick w zamyśleniu pocierał szyję.

- Skoro już zapowiedziałaś, że nie masz zamiaru nikogo oszczędzać, to muszę cię ostrzec, że te magazyny należą do podejrzanych typów. Lepiej trzymaj się od nich z daleka.

- Nie po to jestem dziennikarką, żeby trzymać się z daleka od trudnych tematów.

- Nawet jeśli ryzykujesz życiem?

- Sama to ocenię.

. - Nie. Do diabła, nie! Nie mam zamiaru spokojnie stać i patrzeć, jak głupio ryzykujesz! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ...

- Moja praca nie jest głupia - przerwała mu chłodno. - Być może po przyjeździe do Ameryki przestałeś być wrażliwy na niesprawiedliwość, z jaką traktowani są robotnicy. Odniosłeś tu przecież takie zdumiewające sukcesy! Mnie w dalszym ciągu obchodzą ludzie, zwłaszcza pracujące kobiety i dzieci. To haniebne, ile muszą znieść, żeby dostać parę groszy. Kiedyś też o tym myślałeś i byłeś temu przeciwny. Nie wiem, dlaczego tak się zmieniłeś, ale niech tak już będzie. To twoja decyzja. Żyjesz tak, jak ci się podoba, ja żyję po swojemu. Pamiętaj tylko, że nie masz prawa mówić mi, co mogę, a czego mi nie wolno. Już dawno straciłeś ten przywilej.

Patrick wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

- Być może straciłem prawa, z jakich korzysta mąż, ale w dalszym ciągu obchodzi mnie, co się z tobą dzieje. Jeśli mnie nie posłuchasz, znajdę inny sposób, żeby cię przekonać.

- To pusta groźba, Patrick - powiedziała spokojnie. - Cóż możesz zrobić?

- Co mogę zrobić?

- No właśnie, co? A może twoja rzekoma troska o moje dobro w rzeczywistości wynika z obaw przed konsekwencjami moich artykułów? Boisz się, że napiszę coś o Leland Ferguson, co może wam zaszkodzić?

- Nie muszę powtarzać tego, co powiedziałem ci o stoczni - odparł ostrym tonem. I nie udaję, że martwię się o ciebie.

Podniósł rękę i dotknął kołnierzyka jej bluzki. To było zaledwie muśnięcie, ale Kathleen uznała, że w ten sposób Patrick chce zademonstrować swoje prawo do niej. Niewiele brakowało, a powiedziałaaby mu to.

- A jeśli chodzi o to, co mogę zrobić - powiedział cicho - to przypuszczam, że mogę porozmawiać o tym z twoim szanownym mentorem.

- Z Maxem? Powiesz Maxowi? - Kathleen zmarszczyła czoło.

- Ryzykujesz życie. Jeśli dobrze oceniam Maxa, w tej sprawie zgodzi się ze mną. - Patrick wzruszył ramionami i cofnął rękę - Sama decyduj.

Mierzyli się uważnym, niemal wrogim spojrzeniem.

Czuć było jej zdecydowanie, jego upór, wzajemny gniew. Kathleen nie przywykła do tego, aby ktokolwiek usiłował wpływać na jej decyzje, zwłaszcza, kiedy już je podjęła. Patrick zaś przywykł do wydawania rozkazów, których wykonanie nie podlega dyskusji. Żyjąc oddzielnie, nie napotykali oporu. Teraz rzucili sobie wyzwanie. Dlaczego?

Po kilku sekundach Kathleen cisnęła mu pod nogi wszystkie zabawki - misie, lalkę i szklanego kota - po czym odeszła do swojego samochodu.

ROZDZIAŁ 10

Wypił już dwie szklanki whisky, ale niewiele to pomagało. Był napięty do granic wytrzymałości i nie mógł zapomnieć o ostrych słowach Kathleen. Wiedział, że gotowa jest bronić swych zasad niezależnie od ceny, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. Kiedyś wierzyła, że on także jest człowiekiem honoru.

Dziś przekonał się, że Kathleen już w niego nie wierzy i poczuł się zdruzgotany.

Jeszcze bardziej zabolął go fakt, iż odrzuciła jego pomoc, choć niewątpliwie potrzebowała ochrony. Jasno dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktokolwiek wtrącał się w jej sprawy. To, co jej zaproponował, uznała nie za ochronę, lecz właśnie za próbę kierowania jej postępowaniem.

Nie uwierzyła, że ludzie, których zaatakowała, mogą rzeczywiście chcieć się zemścić. Patrick miał w tej sprawie inne zdanie. Jego ostrzeżenia nie wynikały, bynajmniej z tchórzostwa. Starał się wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w środowisku najbogatszych ludzi w Savannah. Dzięki temu dotarły do niego pogłoski, że zdaniem niektórych możnych Kathleen Collins powinna otrzymać nauczkę. Właśnie dlatego podejrzewał, że spotkanie, na które się wybierała, może się okazać pułapką. Gdyby właściciele musieli zmienić sposób prowadzenia swych firm, sporo by ich to kosztowało. Pseudonim, pod którym kryła się Kathleen, z pewnością nie stanowił dostatecznej ochrony, zwłaszcza, że wiele osób znało prawdę. Kathleen powinna dać spokój.

To jednak nie leżało w jej naturze.

Patrick wstał, podszedł do szafki, w której trzymał alkohol, i wyjął butelkę whisky. Jego zdaniem, logika i honor nakazywały pójść do Maxa Rutledge'a i powiedzieć mu o wszystkim. W końcu Max jest jej pracodawcą. Kathleen wpadła w tarapaty właśnie dlatego, że dobrze wykonywała swoją pracę. Max Rutledge ponosi za to pewną odpowiedzialność.

Przełknął duży łyk whisky. Z przyjemnością czuł w ustach jej palący smak. Do diabła, Kathleen

nie należy do Maxa Rutledge'a! Całym swoim jestestwem czuł, że nadal należy do niego.

Podczas śniadania, gdy Caroline ironizowała na jej temat, Patrick z trudem zmusił się do milczenia. Oczywiście wiedział, że Caroline kierowała się tylko i wyłącznie zawiścią, a treść artykułów Kathleen nie miała dla niej znaczenia. Wątpił, by w ogóle je czytała. Po prostu powtarzała słowa Duncana Wheelera. Gdyby dowiedziała się, co go niegdyś łączyło z Kathleen, jej małostkowa zazdrość w mgnieniu oka zmieniłaby się we wściekłość.

Wtedy nad Kathleen zawisłoby kolejne niebezpieczeństwo. Znając swą żonę Patrick nie wątpił, że zrobiłaby wszystko, żeby tylko zaszkodzić Kathleen. Zaklął i dopił whisky, choć w duszy wiedział, że to niewiele pomoże. Tym razem potrzebował silniejszego lekarstwa niż alkohol. Postanowił, że niezależnie od tego, co o tym sądzi Kathleen, przy pierwszej okazji porozmawia z Maxem.

Sięgnął po butelkę i nalał kolejną porcję. W tym momencie usłyszał trzask frontowych drzwi. Ledwo zdążył zamknąć szafkę, gdy do sypialni wpadła Caroline. Drzwi z hukiem uderzyły o ścianę.

- Ty draniu! Ty podły draniu! - krzyczała, trzęsąc się ze złości i z trudem łapiąc powietrze. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała rozszarpać go na kawałki. - Byłam w klubie i wszystko wiem!

Zamknął drzwi i dopiero wtedy stanął twarzą do niej, zachowując jednak bezpieczny dystans. Z doświadczenia wiedział, że jej czerwone paznokcie mogą być groźną bronią.

- Caroline, co u diabła.

- Jak śmiesz mówić do mnie tonem belfra pouczającego ucznia! Ty łajdaku! Dobrze wiem, gdzie byłeś przez cały dzień! I to z moim dzieckiem! Ty nędzna kreaturo! Wziąłeś z sobą moje dziecko, żeby afiszować się z tą ladacznicą!

Patrick chwycił ją za nadgarstki i pociągnął do przeciwległego kąta sypialni, jak najdalej od drzwi. Nie chciał, aby Jessy obudziła się w środku nocy i słyszała wrzaski matki.

- Uspokój się! Jeśli chcesz porozmawiać, to przestań wrzeszczeć!

- Nie przestanę! Jeśli tylko zechcę, będę krzyczeć tak, żeby słyszało mnie całe miasto! Ty gnido!

- Będziesz więc krzyczała do pustych ścian - powiedział i sięgnął po marynarke. Dochodził już do drzwi, gdy Caroline schwyciła go za ramię.

- Jak śmiesz wychodzić, gdy do ciebie mówię?! - Dygotała ze złości, ale przestała krzyczeć. Patrick wiedział, że dużo ją to kosztowało. Zastanawiał się, czy rozmówić się z nią teraz, czy lepiej poczekać do rana. Uznał w końcu, że lepiej mieć to za sobą. Nie mógł wykluczyć, że Caroline pojedzie do Kathleen i tam zrobi scenę.

Uwolnił się od jej ręki i zdjął marynarkę. Caroline była zbyt podniecona, żeby usiąść. Patrick

sięgnął po pudełko papierosów i poczęstował ją.

- Masz. Uspokój się i powiedz, o co chodzi. Caroline zignorowała jego gest. Wargi drżały jej z tłumionej wściekłości.

- Myślisz, że jesteś taki sprytny, co? - warknęła, patrząc, jak sam zapala papierosa. - Tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Pewnie myślałeś, że możesz popisywać się tą dziwką, i to w towarzystwie mojego dziecka, a ja się o niczym nie dowiem? - Ironicznie wykrzywiła usta. - Wszystko się wydało, świętoszku.

Patrick zaciągnął się dymem.

- Co się wydało, Caroline? To, że byłem z dzieckiem i znajomą na jarmarku, w tłumie ludzi?

- Znajomą? Masz mnie za idiotkę?

- Nie, idiotką to akurat nie jesteś. - Znów poczęstował ją papierosem. Tym razem nie odmówiła, choć podczas zapalania drżały jej ręce.

1

- Już dopilnuję, żeby tata się o tym dowiedział powiedziałła, zaciągając się łąpczywie dymem. - Koniec z kloszem, pod którym tu żyjesz. Sam się przekonasz.

- Jakim kloszem? Nie sądzę, żebyś wiódł tu szczególnie rozkoszne życie.

Caroline wskazała ręką na przestronną sypialnię.

- Moim zdaniem, masz tu całkiem nieźle. Nie zauważyłam jakoś, żebyś zrezygnował z premii,

awansów i szczególnych przywilejów.

- Jakich szczególnych przywilejów?

- Udziałów w firmie ojca! Jeśli nie uważasz tego za przywilej, to jesteś głupcem.

- Nie cieszę się żadnymi szczególnymi przywilejami. Na każdy awans musiałem ciężko zapracować, co Wade potwierdzi. Poza tym większość moich zarobków zainwestowałem w firmę. A jeśli chodzi o ten dom, to nie należy on już do twojego ojca, lecz do mnie. - Nie zwracając uwagi na jej zdziwienie, zgasił papierosa. Nie muszę bronić się przed twoimi zarzutami, Caroline. Twój ojciec i ja rozumiemy doskonale, jaka jest moja rola, i on jest zadowolony. Nie muszę się starać, żebyś ty również była szczęśliwa.

- Nigdy się o to nie starałeś! - rzuciła oskarżycielsko, krążąc po sypialni. - Od samego początku, od dnia ślubu, ani przez chwilę nie pomyślałeś o tym, żeby mnie uszczęśliwić.

- To nie całkiem tak - odparł spokojnie. - Jeśli dobrze pamiętam, w miesiąc po ślubie oświadczyłaś, że skoro Wade mnie kupił i dobrze zapłacił, to ty będziesz decydować o tym, czy i kiedy będziemy się kochać. Stwierdziłaś również, że nasze małżeństwo jest farszą. Szczerze przyznaję, że od tej chwili przestałem myśleć o tym, żeby poprawić ci humor.

- Gdyby ojciec był rozsądniejszy, już dawno wystąpiłabym o rozwód - miotła się Caroline. - Dla niego zawsze jesteś niewiniątkiem. Tym razem będzie inaczej - dodała i spojrzała na męża spod przymrużonych powiek. - Podciąłeś gałąź, na której siedzisz. Popeliłeś błąd, zdradzając mnie z tą rudą dziwką. Tata ci tego nie wybaczy, żebyś nie wiem co robił.

- Wcale cię nie zdradziłem. Nie bądź śmieszna.

- Wszyscy was widzieli. Wszyscy moi znajomi! Na dodatek ona jest chuda i wysoka jak tyczka. To upokarzające. Nigdy już nie będę mogła pokazać się publicznie.

Patrick patrzył na nią ze zdumieniem.

- Nie wierzę własnym uszom, Caroline. Przez lata popisywałaś się swoimi romansami, nie zwracając uwagi na skandale. Teraz spiasz z Duncanem Wheelerem i wszyscy znajomi z klubu doskonale o tym wiedzą. Jessie i ja byliśmy z Kathleen na jarmarku. Co mogło się zdarzyć w towarzystwie pięcioletniego dziecka i na oczach tłumu? Dziwne zresztą, że cię to obchodzi.

Sięgnął po szklankę z alkoholem. W tym momencie ktoś mocno zapukał do drzwi. Patrick westchnął i poszedł otworzyć.

- Wade? Pewnie usłyszałeś wrzaski:- Cofnął się i gestem zaprosił teścia do środka. - Proszę, dołącz do zabawy - dodał ironicznie.

Wade sprawiał wrażenie znużonego. Na jego twarzy widać było napięcie, lekko się garbił, choć zazwyczaj chodził wyprostowany. Widocznie już szykował się do mu, bo miał na sobie

piżamę i szlafrok.

- Nie chciałbym się wtrącać, Patricku, ale Jessy przyszła zapłakana do mojej sypialni. Powiedziała mi, że mama na ciebie krzyczy. Położyłem ją do łóżka i trochę uspokoiłem.

- Zmierzył córkę surowym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, dlaczego się tak awanturujesz.

Wade rzadko tracił cierpliwość dla córki, toteż Caroline spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- To nie moja wina, tato - odpowiedziała, sięgając po następnego papierosa. - Tym razem twój ukochany Patrick przesadził.

- Twoja córeczka płacze w środku nocy - powiedział ostro Wade. - Wiem, że była z ojcem na jarmarku i wróciła szczęśliwa, podczas gdy ty włóczyłaś się z tym szczeniakiem, Duncanem Wheelerem. Wiem również, że spotkali na jarmarku Kathleen Collins i znakomicie się bawili. Jest to normalne między znajomymi, zwłaszcza że towarzyszyła im Jessy.

- Hm! - Caroline obrzuciła Patricka złośliwym spojrzeniem. - Słowo "znajomi" chyba nie najlepiej określa wasze stosunki, prawda, kochanie?

- Myślę, że tak - powiedział Wade, nim Patrick zdążył się odezwać. - Oboje pochodzą z Irlandii - ciągnął cierpliwie, rozcierając palcami skronie. - Mieszkali również w tej samej dzielnicy w Nowym Jorku. Max wspominał mi o tym kiedyś przy golfie - wyjaśnił Patrickowi, usiłując się uśmiechnąć. Nie wypadło to najlepiej.

Patrick włożył ręce do kieszeni. Nie wiedział, jak ma zareagować. Czy powinien powiedzieć im prawdę? Jakie to miałyby skutki? Niewątpliwie zaszkodziłoby Kathleen, bo Caroline była zdolna do wszystkiego.

- Czy taką bajeczkę uzgodniliście między sobą, Patrick? - spytała. Najwyraźniej nie wyciągnęła jeszcze ostatniego atutu.

- Jesteśmy wszyscy zmęczeni, Caroline - odrzekł Patrick. - Lepiej powiedz do razu, co ci się wydaje, że wiesz.

- Nic mi się nie wydaje, drogi mężu. Wiem, że znam prawdę. - Caroline przez chwilę patrzyła na swojego papierosa, po czym spojrzała szyderczo na Patricka. Wcale nie poznała Kathleen w Nowym Jorku. Znaliście się dużo wcześniej, jeszcze w Irlandii, i to bardzo blisko. Kiedy przyjechała do Stanów, miała w brzuchu twojego bachora.

- Caroline! - zagrział Wade.

Patrick nie tracił czasu, żeby odgadnąć, skąd ona to wie. Przede wszystkim chciał chronić Kathleen.

- Radzę ci uważać, Caroline - powiedział cicho.- Pani Collins nie jest już biedną emigrantką, pozbawioną środków do życia i przyjaciół. Jest znaną dziennikarką i powszechnie szanowaną osobą. Nie jesteś ponad prawem. Jeśli nie masz dowodów, ryzykujesz sprawę o oszczerstwo.

- Słyszałeś, co powiedziałam, tato? - Caroline odwróciła się do ojca. - To nie jest mój wymysł. Patrick to hipokryta! Udaje tylko, że nie zna tej dziwki. Mnie nie oszuka. Co teraz powiesz?

- Powiem, że mieszasz się w nie swoje sprawy - odpowiedział Wade, znów rozcierając skronie.

- To wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia?

- Skąd to wiesz, Caroline? - spytał Patrick.

- Mam swoje źródła - odpowiedziała zimnym tonem.

j

- Jak i kiedy się o tym dowiedziałaś? - powtórzył Patrick.

- Zaraz po tym, jak zgodziłam się wyjść za ciebie.

Jeszcze przed ślubem wynajęłam prywatnego detektywa - mówiła z mściwym błyskiem w oczach. - Natychmiast się zorientowałam, że wzdychasz za jakąś babą. Chciałam znać prawdę. To było takie

łatwe! Jeśli już musisz wiedzieć, mój człowiek dowiedział się o niej od pracowników stoczni Lelanda. Szybko o niej zapomniałam, bo to zwykła służąca.

Patrick był przekonany, że już od dawna nie reaguje na okrucieństwo żony, tymczasem poczuł, że ogarnia go furia. Zaciśnął zęby i przez chwilę milczał. Pomyśleć, że Caroline przez cały czas wiedziała o jego cierpieniu i to ją bawiło. Spojrzał na nią tak, jakby była przedstawicielką jakiegoś odmiennego gatunku. Dlaczego jest taka podła? Z trudem przełknął ślinę. Nie będzie rozmawiał z Caroline na temat Kathleen. Nie sprawi jej tej satysfakcji. Jest to winien Kathleen.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałem, Caroline. Oszczerstwo to przestępstwo, za które można być skazanym.

- Będę mówiła to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę - zaśmiała się Caroline. - Nic na to nie możesz poradzić.

- Ale ja mogę - odezwał się Wade. - Nie mam ochoty więcej słuchać takich bzdur. Słyszałaś, dziewczyno? Jeśli będziesz je powtarzać, już coś z tym zrobię.

- Och, mam was dość! Gdybym wiedziała to, co wiem teraz, nigdy nie zgodziłabym się na ten ślub. Nigdy!

Patrick na chwilę zapomniał, że Wade jest w pokoju.

- Nie tylko ty - odpowiedział spokojnie.

- Ja również szybko pożałowałem, że ożeniłem się z tobą.

Patrzyli na siebie z nienawiścią. Po kilku sekundach Caroline zwróciła się do ojca.

- Tato, chcę rozwodu.

- Nie dziś wieczór, moje dziecko - powiedział Wade, przeciągając rękami po twarzy.

- Przestań traktować mnie jak małe dziecko! - zawołała.

- Nie jestem Jessy! Namówiłeś mnie, żebym wyszła za tego źle wychowanego, prymitywnego i brutalnego Irlandczyka. Od samego początku byłam z nim nieszczęśliwa. Teraz chcę być wolna, tato.

- Być może traktuję cię jak Jessy, ponieważ na ogół nie wydajesz się od niej dojrzała. Nie wiem, jaki błąd popełniłem, wychowując cię.

- Och, przestań, tato! Co to ma do mojego rozwodu?

- Nie potrzebujesz rozwodu, moja droga. Powinnaś raczej iść do swojego pokoju, przespać się i

wybić sobie z głowy takie pomysły - oświadczył ojciec i spojrzał na nią podejrzliwie. - Ile dzisiaj wypijaś?

- Jeszcze to! - Caroline odwróciła się do nich plecami. - Wcale nie wypijałam za dużo. Która kobieta zachowałaby spokój, gdyby dowiedziała się, że jej mąż puszcza się z inną?

- Nie zdradziłem cię, Caroline - oświadczył Patrick z irytacją.

- Mam w to uwierzyć? - zawołała ze złością.

- Tak.

- Tato, wyrzuć go. - Caroline zwróciła się do ojca i zaczęła go gorączkowo przekonywać: Nie potrzebujemy go. Nim on się tu pojawił, sam świetnie prowadziłeś stocznię. Przecież on nawet nie ma przyzwoitego wykształcenia. Łatwo znajdziemy kogoś, żeby go zastąpić. Zaraz się znajdzie dziesięciu kandydatów.

- Caroline, posłuchaj.

- Nie, to ty posłuchaj! - wrzasnęła Caroline - Czy chcesz, żebyś cierpiała do śmierci? - Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Ten temat został już wyczerpany - odrzekł Wade i z trudem poprawił pasek szlafroka. Patrick zauważył, że jest teść blady i drżą mu dłonie.

- Wade, dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony.

- Wszystko w porządku, synu. - Znowu potarł ręką czoło. - To tylko ból głowy. Od kilku dni mam migrenę. Prześpię się i rano o tym zapomnę - dodał i wykrzesał z siebie słaby uśmiech. Patrick nie dał się przekonać.

- Odprowadzę cię do pokoju - powiedział. - I tak muszę wyjść na dwór.

- Masz zamiar iść prosto do tej ladacznicy? - rzuciła Caroline. Stała ze skrzyżowanymi ramionami i patrzyła na nich wyzywająco. Wade Ferguson zaczerpnął powietrza i podjął jeszcze jeden wysiłek.

- Caroline, wydaje mi się, że nie unikniemy dziś tej rozmowy. Czuję się bardziej zmęczony niż kiedykolwiek w życiu. Muszę ci jednak coś powiedzieć. I tak czekam z tym już zadługo. - Wzruszył ramionami i przez chwilę patrzył w podłogę.

- Wade, nie sądzisz.

- Nie, synu. Już najwyższa pora.

- Co to? O co wam chodzi? - Caroline zmierzyła ich gniewnym spojrzeniem.

- Mówisz o rozwodzie tak, jakby ten kawałek papieru miał ci zagwarantować szczęście. Najprawdopodobniej przyniosłby ci ruinę. Mówisz, że bym wyrzucił człowieka, za którego wyszłaś za mąż, który mimo twojego charakteru był dla ciebie dobry, który odnowił moją firmę i samodzielnie przeprowadził fuzję z Lelandem. - Wade pokręcił głową. - Zdumiewasz mnie, Caroline. Myślałem, że moja

córka powinna być rozsądniejsza. Czy nie wiesz, co dla ciebie jest dobre, dziewczyno?

- Wade, powinieneś się położyć - Patrick z przerażeniem patrzył na jego poszarzałą twarz.

- Za chwilę, synu.

- Synu - przedrzeźniała go Caroline. - To o to przecież chodzi, prawda? Nie obchodzi cię, czy jestem szczęśliwa, tak, tato? Nie więcej niż Patricka. On jest mężczyzną i tylko to się liczy. Może cię zastąpić, może poprowadzić firmę, czego ja nie mogę. Zawsze chciałeś mieć syna i on odgrywa tę rolę. Udało ci się, prawda? - zwróciła się do Patricka. - Dobrze rozegrałeś tę kartę. Teraz, nawet kiedy mnie zdradziłeś, on jest po twojej stronie.

- Patrick cię nie zdradził - powiedział Wade ze znużeniem. - I wcale mnie nie zastąpił. Jeszcze nie musiał. Dzięki ciężkiej pracy i talentom menedżerskim jest właścicielem połowy udziałów i tego domu. Gdyby chciał, mógłby być właścicielem całej firmy. Nie skorzystał z tej okazji tylko dlatego, że jest człowiekiem honoru. Powiniennem już dawno wyznać ci prawdę, ale wolałem ci tego oszczędzić. Jest mi wstyd, że wtrącasz się w jego prywatne sprawy i robisz mu sceny. Uczciwie przyznaję, że czasem nie wiem, jak cię ocenić, dziewczyno.

- Nie będę tego słuchać! - warknęła Caroline. Minęła ojca i Patricka i podeszła do drzwi. - Nie zostanę tutaj tylko po to, żebyś traktował mnie jak podrzutka!

- Caroline! - powiedział Wade karcącym tonem, lecz bardzo cicho. - Dokąd idziesz?

- Co cię to obchodzi! - krzyknęła. Płacząc zbiegła po schodach i wsiadła do samochodu.

Tej nocy Wade miał wylew krwi do mózgu. Przez trzy dni balansował na granicy między życiem i śmiercią. Siedząc przy nim, Patrick miał aż nadto czasu na myślenie. Zastanawiał się nad tym, jak kruche jest ludzkie życie. Wystarczy jeden szok i może nastąpić kryzys.

Obserwując, jak Wade walczy o życie, myślał, że z tego wydarzenia powinien wyciągnąć wnioski. Jego małżeństwo jest groteską. Nie miał przyjaciół. Praca sprawiała mu umiarkowaną przyjemność. Całą energię skoncentrował na jednym zadaniu: zniszczeniu Lelanda. Czy nie marnował życia?

Stała w głębi magazynu i wyczuwała, że nie jest sama. Potem usłyszała jakiś szmer. Gdy obrzuciła uważnym spojrzeniem ciemne wnętrza budynku, nie dostrzegła nic. Mimo to była przekonana, że ktoś tu jest. Schowała notatnik do plecionej torby i rozejrzała się niepewnie dokoła. W magazynie stały liczne, drewniane skrzynie. Od zamkniętych drzwi wejściowych dzieliła ją spora odległość. Po drodze nie brakowało miejsc, w których można było się ukryć.

Czy to ona zamknęła drzwi? Mogłaby przysiąc, że zostawiła je otwarte.

Dlaczego nie skończyła z tymi wywiadami, kiedy był jeszcze dzień? Te kobiety miały dużo do powiedzenia. Zgromadziła materiał, o jakim nawet nie marzyła. Na szczęście odważyły się mówić prawdę. Któż mógłby się spodziewać, że anonimowy telefon przyniesie takie wyniki? Kathleen po prostu nie mogła zamknąć notesu,

dopóki nie zapisała wszystkich skarg kobiet zatrudnionych w tej przędzalni wełny.

Zapadał zmrok. Już ponad godzinę temu powinna była wrócić do redakcji. O tej porze magazyn zazwyczaj był pusty.

Boże, czy właśnie przed tym ostrzegął ją Patrick? Zaczęła grzebać w torbie, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń. Niestety, poza metalową szczotką do włosów nie znalazła niczego. Wciągnęła w płuca powietrze i zacisnęła palce na zimnej ręczce.

Odległość do drzwi wydawała się jej nieprawdopodobnie duża, ale nie mogła przecież siedzieć tu do rana. Zarzuciła torbę na ramię, zebrała się na odwagę i ruszyła biegiem do drzwi.

Gdy mijała kolejną skrzynię, ktoś złapał ją w pasie. Szczotka i torba upadły na ziemię. Napastnik zatkał jej ręką usta i nos, tłumiąc krzyk. Zaczęła się dusić. Czowała, jak przyciska ją ramieniem do siebie i spróbowała go kopnąć. Na próżno usiłowała się uwolnić. Słyszała, jak tamten klnie. Znów zaczęła się szarpać.

Nagle mocno zdzielił ją pięścią w tył głowy i ścisnął tak, że nie była w stanie oddychać. Zrobiło się jej ciemno przed oczami i niemal straciła przytomność. Upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał. Chwytał ją za włosy, po czym przycisnął brzuchem i twarzą do drewnianej skrzyni.

Powoli odzyskiwała przytomność. Oddychała nierówno, z wyraźnym trudem. Huczało jej w głowie. Napastnik trzymał ją jedną ręką za włosy, drugą za brodę i nie pozwalał się odwrócić, żeby nie mogła go zobaczyć.

Może zatem nie zamierza jej zabić. Może chce zrobić coś gorszego.

- Przestałaś się stawiać, ty wścibska suko? - rzucił mężczyzna zdyszczanym głosem. Kathleen pomyślała z satysfakcją, że nie poszło mu tak łatwo, jak myślał.

- Czego chcesz?

Zamiast odpowiedzi szarpnął ją za włosy. Krzyknęła z bólu.

- Chcę dać ci nauczkę, to wszystko. Trzymaj się z dala od spraw tego miasta. Nie powinno cię to nic a nic obchodzić. Słyszałaś? W przeciwnym razie możesz wrócić do Nowego Jorku w trumnie.

Kathleen znieruchomiła i nie odpowiedziała.

- Słyszałaś, ty dziwko? - wrzasnął i mocno nią potrząsnął. Uderzyła głową o skrzynię i znów zobaczyła wszystkie gwiazdy.

- Słyszałam - szepnęła.

- Dobra. A teraz, gdzie masz ten twój cholerny notatnik?

- Notatnik?

Napastnik zaklął siarczyście i wymierzył jej policzek. Gdy otrzeźwiała, przez dobre kilka sekund

nie mogła zebrać myśli. Mężczyzna niecierpliwie czekał, z trudem panując nad sobą.

- No, gadaj - powiedział. - Gdzie jest notes?

- W torbie.

- Wreszcie gadasz. To już lepiej.

Puścił ją i Kathleen osunęła się na podłogę jak szmaciana lalka. Wirowało jej w głowie, dudniło w uszach. Słyszała, jak napastnik wyciąga z torby notatnik, ale nie mogła podnieść głowy i skupić na nim wzroku, choć wiedziała, że to bardzo ważne. Pomyślała, że odpłaci mu pięknym za nadobne. Nie wiedziała, jak to zrobi, ale była pewna, że nie zrezygnuje z zemsty.

Tamten nagle pochylił się nad nią.

- Wracaj do domu, ty suko z północy - warknął i wysypał jej na głowę zawartość torby. Ciężka puderniczka uderzyła ją w policzek. - Takich jak ty tutaj nie trzeba.

Jeszcze raz zaklął, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Kathleen zebrała wszystkie siły i uniosła głowę. Kilka razy zamrużyła, aż wreszcie dojrzała go wyraźnie. Był wysoki, mocno zbudowany, miał gruby kark. Gdy otworzył drzwi, przez sekundę padło na niego światło samochodowych reflektorów. Był łysy, zupełnie łysy.

W magazynie zapanowała przejmująca cisza. Ciemność szybko gęstniała. Kathleen ostrożnie dotknęła warg i skrzywiła się boleśnie. Miała opuchnięte usta, czuła na języku smak krwi.

Jęknęła głośno, po czym oparła się o skrzynię i spróbowała wstać. Udało się jej, ale w dalszym ciągu wirowało jej w głowie i z trudem trzymała się na nogach. Stała, chwiejąc się i czekając, aż odzyska siły.

Pochyliła się, podniosła torbę i pozbierała rzeczy.

Napastnik zabrał tylko notes. Kathleen miała jednak dobrą pamięć i wiedziała, że w domu bez trudu zrekonstruuje treść wywiadów i napisze artykuł - dokładnie tak, jak zaplanowała.

Ci łajdacy przekonują się, że zwykły napad to za mało, żeby ją uciszyć serce Kathleen, gdy miała siedemnaście lat, i wciąż miał je w posiadaniu, choć pewnie o tym nie wiedział.

- Witam - powiedział spokojnie. - Czym mogę panu służyć?

Max nie widział Patricka i nie rozmawiał z nim od dnia, kiedy ten przyszedł do jego domu, żeby zobaczyć Kathleen. Nie wiedział, co między nimi zaszło, ale reakcja Kathleen mocno go przestraszyła. Od tego czasu właściwie przestała się uśmiechać. Przyjrzał się uważnie wysokiemu Irlandczykowi i uznał, że z pewnością nie składa mu wizyty towarzyskiej. Co sprowadza go do redakcji?

- Mogę zapalić? - spytał Patrick, sięgając po cygaretkę. Max skinął przyzwalająco głową.

- Daleki jestem od pouczania pana, jak ma pan prowadzić swoje interesy - zaczął Patrick i zaciągnął się dymem. - Z pewnością sam zdenerwowałbym się, gdyby ktoś przyszedł do stoczni i zaczął doradzać mi, jak mam budować statki.

- Rozumiem - powiedział Max, choć niczego jeszcze nie rozumiał. - Domyślam się zatem, że chce pan powiedzieć mi coś na temat "Sentinela".

- Nie całkiem.

- Może zechce pan usiąść, panie O'Connor.

- Dziękuję. - Patrick przysiadł na skraju krzesła.

Był wyraźnie zdenerwowany i niespokojny.

- Wie pan, że Wade miał wylew?

- Tak. Bardzo mi przykro. Słyszałem, że wyjdzie z tego.

- Był w kiepskim stanie. Ostatnie trzy dni spędziłem w szpitalu, w przeciwnym wypadku byłbym tu już wcześniej. Lekarze zapewniają, że dojdzie do siebie, choć oczywiście nie do końca. Już nigdy nie będzie tak jak przed wylewem.

- Tak. Wyobrażam sobie, o ile bardziej byłby zmartwiony, gdyby pan nie prowadził stoczni i innych interesów. Kiedy graliśmy w golfa, nie mógł się pana dość nachwalić.

- Wiele mu zawdzięczam.

- Czy przyszedł pan tutaj, żeby o nim porozmawiać?

- Nie. - Patrick wstał i zaczął krążyć po pokoju.

Max przyglądał mu się w zadumie.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać o Kathleen.

- Aha.

- Nie chodzi mi o sprawy osobiste - szybko zastrzegł się Patrick.

- Nie? Więc jakie?

- Czytałem w dzisiejszej gazecie jej artykuł o warunkach pracy w przędzalni wełny.

- I co pan o tym myśli? - Max przyjrzał mu się uważniej niż zwykle.

- Myślę, że ona głupio ryzykuje. Boję się, że ktoś może ją skrzywdzić. - Patrick znów przeszedł w drugi kąt gabinetu. - Ostrzegałem ją, ale ona nie zwraca najmniejszej uwagi na moje słowa.

- Ostrzegał ją pan?

- Tak, tego dnia, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem na jarmarku. - Urwał i spojrzał na Maxa. - Nie mówiła panu o tym?

- Nie. Co to ma znaczyć? Przed czym ją pan ostrzegał?

- Pewnie powinienem był najpierw przyjść z tym do pana. Wydaje mi się, że jest pan jedyną osobą, która ma na nią jakiś wpływ. Powiedziałem jej, że te artykuły denerwują wielu wpływowych ludzi, którzy nie pozwolą, żeby taki drobny fakt, że jest kobietą, powstrzymał ich od podjęcia brutalnych działań. A dzisiaj otwieram gazetę i znajduję ten artykuł o przędzalni! To tylko dowodzi, że ona kompletnie nie słucha tego, co mówię.

Nim Patrick skończył, Max zerwał się z krzesła.

- Podejrzewał pan, że ktoś ma zamiar coś jej zrobić? . I nic mi pan nie powiedział? Czy pan rozumie, do czego pan doprowadził?

- Nie mogłem przyjść wcześniej. Jak już panu mówiłem, przez trzy dni siedziałem w szpitalu.

Patrick nagle zrozumiał słowa Maxa.

- O czym pan mówi? Czy coś się stało?

- Kto to zrobił? Czy zna pan nazwiska?

- Co zrobił? - Patrick rozejrzał się dokoła, tak jakby spodziewał się zobaczyć Kathleen. - Gdzie ona jest? - W domu, nic jej nie grozi.

- Czy próbowali coś jej zrobić? - spytał, z trudem przełykając ślinę.

- Nie tylko spróbowali, ale nawet zrobili - odrzekł Max przez zaciśnięte zęby.

- Jeśli pan wie coś o tej sprawie, to proszę mi to powiedzieć, albo możemy iść na policję.

- Dobry Boże! - jęknął Patrick i przeczesał palcami włosy. Spojrzał na Maxa. - Czy jest poważnie ranna?

- Dostatecznie poważnie.

Urwał, ponieważ Patrick wybiegł z gabinetu.

ROZDZIAŁ 11

7 listopada 1933 r.

Atmosfera panująca w tym mieście jest zwodnicza.

Senny nastrój południa, piękno okolic i przyjazne nastawienie mieszkańców Savannah kryją fakt, że jest to gniazdo chciwości, niesprawiedliwości i przemocy. Odczułam to trzy dni temu na własnej skórze. To było straszne przeżycie. Max niemal oszalał, gdy zobaczył moje obrażenia. Żąda, żebym natychmiast przestała "judzić tubylów", jak to określił. Gdyby jednak sam widział te kobiety, słyszał ich opowieści, pewnie zmieniłby zdanie. Pracują w fatalnych warunkach za skandalicznie małe wynagrodzenie. Fabryka jest potwornie niebezpieczna, co chwila zdarzają się wypadki, a w razie pożaru nastąpi potworna tragedia. Najbardziej byłam zaszokowana, gdy dowiedziałam się, ile młodych dziewczyn pracuje w tej przędzalni. Niektóre mają zaledwie trzynaście lub czternaście lat, co jest sprzeczne z kodeksem pracy. Jakie mają nieszczęśliwe dzieciństwo! Ten napad był straszny, ale jeszcze bardziej przeraża mnie myśl, że jeśli się wycofam, nikt tym kobietom nie pomoże. W dalszym ciągu wszyscy będą udawać, że nic się nie dzieje.

Nie mogę się wycofać. Nie zrobię tego.

Kathleen skończyła pisać, odłożyła pióro i wygodnie ułożyła się na leżaku. Ciepłe i spokojne

popołudnie skłaniało do sennego rozmarzenia. Słysząc było śpiew ptaków, a zza otaczających patio gęstych zarośli ligustru docierały odgłosy ulicznego ruchu. Kathleen miała jednak wrażenie, że te wszystkie hałasy docierają do niej jakby z daleka, niczym z drugiego końca tunelu.

Przez gęstą koronę magnolii przenikały promienie listopadowego słońca. Były miękkie i łagodne, nie tak jak latem. Nagle, na jej oczach, promienie zmieniły się w gorące języki ognia.

Ze zdumieniem przyglądała się, jak magnolia przeistacza się w ogromny, wielopiętrowy budynek. Z jego okien wyskakują płomienie; słysząc ich trzask i huk szalejącego wewnątrz ognia. Gęsty, czarny dym unosi się coraz wyżej i tworzy ciemną chmurę nad budynkiem. Kathleen jęknęła. Wiedziała już, że to kolejna wizja.

Do huków pożaru nagle dołączył ryk silników i syren strażackich. Przerazone ludzkie krzyki mieszały się z odgłosami bieżącej. Kathleen czuła, co myślą ludzie zamknięci w płonącym budynku. Sama z trudem oddychała.

Nasilały się potworne krzyki ludzi. Nie, tylko nie to.

Patrick odniósł wrażenie, że jazda do domu Kathleen ciągnie się w nieskończoność. W pewnej chwili zaklął i uderzył pięścią w kierownicę nowego packarda. To zaczynało być ponad jego siły. Podczas gdy on siedział w szpitalu przy Fergusonie, jakiś łajdak napadł na Kathleen. Pomyślał o jej bladej skórze i twarzy oszpeconej ranami zadanyymi przez łotra, który nie zasługiwał nawet na to, żeby znać jej imię. Zaprażył dostać go w swoje ręce.

Max powiedział, że Kathleen odniosła poważne obrażenia. Co to może oznaczać? Jeśli została pobita i miała połamane kości to. Sam nie wiedział, jak ją pomścić. W tej chwili był gotów na wszystko.

Nagle poczuł w sercu przyływ zaborczych uczuć. Zaciśnął palce na kierownicy, aż pobieleły mu kostki. Skreślił w Bun Street, dodał gwałtownie gazu i dojechał do Oglethorpe Square. Przeklinał samego siebie, że nie skontaktował się z Maxem wcześniej. Powinien był to zrobić tego samego dnia, kiedy to go zaniepokoiło. Zrobiłby to, gdyby nie choroba Wade'a. Do diabła, cóż mogło go obchodzić, że Kathleen zabroniła mu wtykać nos w nie swoje sprawy? Gdyby się wtrącił, nie doszłoby do tego.

Kathleen, Kathleen.

Lizzie otworzyła mu drzwi, nim zdążył zadzwonić.

- No, no, Patrick O'Connor we własnej osobie - rzuciła na powitanie. - Spodziewaliśmy się pana.

- My?

- Leo i ja. Założyliśmy się, czy pan przyjedzie. Szczegóły opowiem panu później. Rozumiem, że

przyjechał pan zobaczyć się z Kathleen, tak?

- Gdzie ona jest?

- Na patio, koło salonu. Jest piękna pogoda. Świeże powietrze dobrze jej zrobi. Sama jej to powiedziałam. - Tędy?

Lizzie kiwnęła głową i wskazała drzwi na patio. Gdy był tu poprzednio, nie zauważył, że salon jest połączony z wewnętrznym dziedzińcem. Przecisnął się przez na wpół uchylone drzwi i postarał się uspokoić, nim Kathleen zauważy jego obecność.

Siedziała w promieniach słońca, zupełnie nieruchoma, z twarzą zwróconą w stronę ogrodu. Rozpuszczone kasztanowe włosy tworzyły wokół jej głowy ognistą aureolę. Na jej kolanach leżała zapomniana już książka. Patrick przez kilka sekund stał bez ruchu i Wpatrywał się w tę scenę.

Nie zauważył bandaży ani opatrunków. Niezależnie od tego, co się stało, w tej chwili Kathleen wydawała się cała i zdrowa. Spod szlafroka wystawał staroświecki, domowy pantofel z pomponem, który zupełnie do niej nie pasował. Kathleen była nowoczesną kobietą, silną i niezależną. Pewnie aż nadto niezależną. Boże, jak jej widok działał na niego! Gdyby wiedziała, jakim wstrząsem jest dla niego każde spotkanie, pewnie już nigdy by mu nie pozwoliła spojrzeć na siebie.

- Kathleen.

Powoli, sennym ruchem zamknęła książkę - swój dziennik - i odłożyła ją na bok. Wyglądała tak, jakby się właśnie obudziła. Odwróciła się ku niemu, podnosząc z leżaka głowę. Teraz wyraźnie ujrzał jej twarz.

Ze ściśniętym gardłem wpatrywał się w ślady napadu. Siniec na policzku, ciemna plama nad okiem, skaleczone usta. No i ta bladość. Kathleen była blada jak ściana.

Wyciągnął cygaretkę i zapalił ją drżącymi rękami.

- Przed chwilą rozmawiałem z Maxem. Natychmiast tu przyjechałem.

- Zadzwoił do ciebie?

- Nie. To ja wstąpiłem do redakcji.

- Po co?

- Żeby powiedzieć mu o grożącym ci niebezpieczeństwie. Jak się okazało, za późno - dodał z goryczą.

- Powiedziałam ci, żebyś się nie wtrącał. - Kathleen uniosła rękę i przetarła oczy.

- A ja powiedziałem ci, że do tego dojdzie! - Patrick rzucił cygaretkę na ziemię i zgasił ją butem.

- Dlaczego mnie nie posłuchałaś, Kathleen? Mogłaś zginąć. Mogłaś...

Nie był w stanie wypowiedzieć tego na głos. Ukląkł koło leżaka.

- Kathleen, czy on... Czy... - Chwycił jej rękę i mocno uściskał. - Boże, powiedz mi!

- Nie, nie zostałam zgwałcona - odparła i pogłaskała go po policzku. Opuścił głowę i pocałował jej dłoń. Przez dłuższą chwilę klęczał nieruchomo, z głową opartą na jej kolanach. Czuł zapach kwiatów i ciepło słonecznych promieni.

- Kiedy się o tym dowiedziałem, myślałem, że oszaleję - szepnął cicho.

- To był błąd - przyznała. - Powinam była ciebie posłuchać. Leo na pewno zgodziłby się ze mną pojechać. Nie doceniłam złej woli tych ludzi.

- Wierzysz mi, kiedy jest za późno. - Jej oświadczenie nie sprawiło mu wielkiej satysfakcji. - Stanowisz dla nich zagrożenie, a to znaczy, że sama narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Nie spodziewałam się, że oni rzeczywiście uciekną się do przemocy.

- A czego się spodziewałaś? - Podniósł głowę. - Że dostaniesz list z uprzejmą prośbą, żebyś przymknęła się i wyjechała z Savannah?

Wzruszyła ramionami i skrzywiła się z bólu. Miała naciągnięte mięśnie ramion i karku.

- Oczywiście, że nie. Myślałam, że zadzwonią do redaktora naczelnego lub do wydawcy i spróbują wyrzucić na nich presję. Albo, że ktoś porozmawia z Maxem w klubie. Coś takiego.

- I to po kilku latach w Nowym Jorku! - Patrick pokręcił głową, stwierdzając w duchu, że jej naiwność jest zdumiewająca. - Czy rozpoznałaś tego typa?

- Nie, nie widziałam jego twarzy. Ale gdybym go zobaczyła, na pewno bym go poznała. Był wysoki, dobrze zbudowany i okrutny.

- No, to pewnie ograniczy nasze poszukiwania do kilku tysięcy podejrzanych w całym stanie. -

Był łysy.

- Aha, łysy.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Jak kolano.

- Już wiem. Teraz będziemy poszukiwać wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w kapeluszu.

Wybuchnęli śmiechem. Patrick pomyślał, że mimo obrażeń Kathleen jest nadal piękna. Myśl, że ktoś śmiał ją uderzyć, budziła w nim furie.

- Zostanie po tym blizna? - spytał, delikatnie dotykając palcem skaleczonej wargi.

- Lekarz powiedział, że nie.

Musnął palcem jej pełne usta. Czego chciał? Pocałować ją? Przecież nie wolno mu było nawet o tym wspomnieć!

- Jestem zdumiony, że po tym wszystkim Max wydrukował artykuł - powiedział i wstał z klęczek.

Najwyraźniej postanowił rozładować swe zdenerwowanie, krytykując Maxa. - Wydawało mi się, że zależy mu na tobie. To była piekielna lekkomyślność. I na dodatek wydrukował z twoim podpisem, tak jakby to był artykuł o jarmarku. - Urwał i zmierzył ją ostrym spojrzeniem. - To była nieodpowiedzialna decyzja i mam zamiar mu o tym powiedzieć.

- Uspokój się. Max nie jest niczemu winien. Wymusiłam to na nim.

- Co? Chcesz powiedzieć, że on nie odpowiada za to, co jest wydrukowane w jego gazecie? Znajdź lepszy argument, Feathleen.

- Powiedziałam mu, że jeśli go nie wydrukuje, dam go do "Sun Times".

- A on uwierzył?

- Uwierzył, bo wiedział, że z pewnością bym to zrobiła. - Zrzuciła na ziemię liść, który spadł jej na kolana. Jestem dziennikarką i obywatelką Stanów Zjednoczonych. Nie dam się pozbawić praw, jakie gwarantuje mi pierwsza poprawka do konstytucji. Mam prawo mówić, co myślę.

- Doskonale! Następnym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy nadepnąć na ogon tygrysa, będziesz dochodzić do zdrowia w szpitalu.

- Cieszę się, że to powiedziałaś, bo chciałam ci zadać kilka pytań - oznajmiła i wstała z leżaka.

- Na przykład jakich? - Patrick stał się czujny.

- Kim jest tygrys? Kto jest właścicielem przędzalni? Tylko nie częstuj mnie jakimiś wykrętami i półprawdami. Wiem, że należy do grupy biznesmenów. Kim oni są?

- Dlaczego uważasz, że potrafię odpowiedzieć na to pytanie? Czy sądzisz, że jestem jednym z nich?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale myślisz, że mogę mieć jakieś powody, żeby nie wyjawiać ich nazwisk, tak?

- Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co myśleć przyznała z westchnieniem.

- Widzę jednak, że popełniłam błąd zakładając, że możemy o tym porozmawiać.

Znakomicie. Patrick pomyślał, że powinien wyjść. Męczyło go, że nie może powiedzieć jej wszystkiego, co wie, ale nie mógł ryzykować, zwłaszcza teraz, gdy Kathleen zaczęła wydobywać na jaw różne ciemne sprawy.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał, cofnąwszy się o krok.

Kiwnęła głową, ale Patrick miał wrażenie, że myśli o czymś innym. Wydawała się roztargniona. Patrzyła gdzieś w dal, ale jemu wydawało się, że widzi coś konkretnego. Co to może być?

- Kathleen? Zamrugała powiekami.

- Tuż przed twoim przyjściem stało się coś dziwnego. Miałam wizję. Tu, w ogrodzie.

- W pełnym słońcu? Może spałaś? - Patrick zmarszczył czoło.

- Nie, nie. Siedziałam na leżaku i rozkoszowałam się słońcem, gdy nagle zobaczyłam pożar jakiegoś wielkiego budynku. Z okien wydobywały się płomienie i kłęby dymu. Słyszałam krzyki ludzi. To było okropne. - Może to skutki tego napadu w magazynie. Czy miałaś wstrząs mózgu?

- Nie. Uderzyłam wprawdzie głową o skrzynię, tak że zobaczyłam wszystkie gwiazdy, ale w rzeczywistości ani na chwilę nie straciłam przytomności. - Kathleen spojrzała na niego i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Patrick umiera z niepokojem. - Naprawdę, miałam szczęście. To mogło się skończyć znacznie gorzej.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać - mruknął.

- To nie była halucynacja wywołana uderzeniem w głowę. To była prawdziwa wizja. - Jak myślisz, co miała znaczyć?

Kathleen znów usiadła na leżaku. Czuła ulgę, że może o tym porozmawiać. Oprócz Lizzie, Patrick był jedyną osobą, która знаła jej sekret. Przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie, po czym podniosła wzrok na Patricka.

- Czy wiesz, co między innymi bardzo ceniłam w naszym dawnym związku? - spytała z lekkim uśmiechem.

- No? To, że ci wierzyłem? - Kathleen miała zaraźliwy uśmiech i musiał się też uśmiechnąć. - Zawsze będę w ciebie wierzyć, Kathleen.

Mówili o czymś więcej niż jej wizje i oboje dobrze o tym wiedzieli. To był jednak zakazany temat. Kathleen patrzyła gdzieś w dal i Patrick domyślił się, że znów ma przed oczami jakiś obraz.

- Widziałam to naprawdę, Patrick. To niewątpliwie jakiś sygnał. Nie wiem tylko, co mam z nim zrobić. Nie wiem ani co to za budynek, ani kiedy będzie pożar.

- Objęła się ramionami. - Czuję jednak, że to coś groźnego.

- Czy sądzisz ... - Patrick urwał, bo z głębi domu dobiegł ich krzyk. Oboje spojrzeli w kierunku salonu. Lizzie wbiegała już do ogrodu.

- Co się tam dzieje? - spytała Kathleen.

- To Bertha - wyjaśniła Lizzie, oglądając się niespokojnie przez ramię. - Wpadła w histerię. Stało się coś okropnego.

- Jej? - Kathleen zerwała się z leżaka i ruszyła szybko w stronę domu. Patrick i Lizzie szli za nią.

- Wybuchł pożar w tej przedalni - wyjaśniła Lizzie. - Wiesz, w tej, o której pisałaś. Meggy, jej siostrzenica, tam właśnie pracuje.

- Boże, więc o to chodziło! - Kathleen zasłoniła ręką oczy. Patrick musiał ją podtrzymać, żeby nie

osunęła się na trawę.

- To duży pożar. Mąż Berthy przyjechał aż tutaj, żeby jej powiedzieć. Ściągnęli wozy strażackie z całego okręgu.

W przedpokoju zastali Jima, męża Berthy, który pomagał właśnie żonie włożyć płaszcz. Gospościa była blada, jakby zobaczyła ducha. Nieco dalej kręcił się Leo.

- Bertho, może nic złego się nie stanie. - Kathleen dotknęła jej ramienia. - Czy chcesz, żebyśmy pojechały z tobą? To znaczy ja i Lizzie. Leo mógłby nas zawieźć.

- Dobrze wiesz, że to wykluczone - zaprotestowała Lizzie, która szybko się ubierała. - Leo ma ciebie pilnować. Max miałby świętą rację wyrzucając go z pracy, gdyby Leo zawiózł cię na nabrzeże po tym napadzie w niedzielę. Weźmiemy samochód, Jim umie prowadzić.

Jim otworzył drzwi, a Lizzie objęła Berthę i mocno ją uściskała.

- Bertho, nie myśl od razu o najgorszym. Jak powiedziała Kathleen, może nie będzie tak źle.

Meggy to bystra i przytomna dziewczyna. Na pewno nie straciła głowy. Zobaczysz.

- Leo was zawiezie - powtórzyła Kathleen z naciskiem. 1

- A kiedy nas tu nie będzie, ty spróbujesz namówić Patricka, żeby cię zawiózł do przedziałni, tak? - spytała Lizzie ze złością.

- Lizzie, czekają na ciebie - oznajmiła spokojnie Kathleen.

Lizzie zaklęła po irlandzku i wybiegła przed dom.

Leo, pod wpływem rozkazującego spojrzenia Kathleen, posłusznie wyszedł za żoną.

- Panie O'Connor, mam nadzieję, że nigdzie jej pan nie puści! - krzyknęła Lizzie.

Gdy tylko hudson zniknął za zakrętem, Kathleen szybko pobiegła do pokoju się ubrać. Po chwili była znów w przedpokoju i sięgnęła do szafy po płaszcz. Wkładając go, rozglądała się w poszukiwaniu notatnika.

- Musiałam go zostawić na patio - mruknęła. - Patrick, mógłbyś poszukać? Myślę, że leży koło leżaka.

- Nigdzie nie pojedziesz, Kathleen. Tym razem zgadzam się z Maxem.

- Nie mam czasu na dyskusje. - Pobiegła po notes, wrzuciła go do torby, sprawdziła, czy ma ołówki, i pospiesznie wróciła do przedpokoju. Patrick stał we frontowych drzwiach, blokując wyjście.

- Zawieziesz mnie czy mam wezwać taksówkę?

- Ani jedno, ani drugie. Nie będziesz ryzykować tylko po to, żeby opisać ten pożar. Może to

zrobić ktoś mny.

- Powtarzam, nie mam czasu na jałowe debaty zniecierpliwiła się. - Jeśli nie chcesz mnie zawieźć, to twoja sprawa. Ja mam zamiar napisać o tym pożarze i nie przekonasz mnie, żebym tam nie jechała.

Patrick zaklął, otworzył drzwi i zbiegł po schodach. Kathleen przez chwilę się wahała, po czym wybiegła za mm.

Zatrzymała się koło samochodu i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Z wyraźną niechęcią otworzył jej drzwiczki.

- Możesz mówić co chcesz - mruknęła, przytrzymując spódnice, aby nie przytrzasnął jej drzwiami.

- Ja i tak opiszę ten pożar.

- Chodź, Kathleen. Odwiozę cię do domu.

Poczuła, że Patrick obejmuje jej ramiona i delikatnie odciąga od pogorzelska. Z prężalni pozostał jedynie wypalony, poczerniały szkielet budynku, nad którym wciąż unosił się ciemny dym. W powietrzu czuć było swąd spalonego drewna i wełny, zmieszany z wilgotnym zapachem oceanu. Wokół kręcili się jeszcze strażacy i gapie. Wszędzie widać było śmieci i kałuże wody. Niektóre z przerażonych, płaczących kobiet, jakie zdołały się uratować, odwieziono już do szpitala, inne wróciły do domów. Nie wszystkim dopisało szczęście.

- Bertha i Jim - odezwała się Kathleen, rozglądając się wokół. - Czy oni... Czy Leo zawiózł ich do domu?

- Tak. Lizzie zostanie z nimi na noc.

- To dobrze. Bertha będzie potrzebowała pomocy.

W pożarze zginęły cztery kobiety, w tym siostrzenica Berthy. Kathleen z trudem powstrzymywała płacz. Gdyby jej wizja była czymś więcej niż tylko obrazem zdarzenia. Gdyby wiedziała, gdzie i kiedy wydarzy się pożar.

- Nie mogłaś nic zrobić, Kathleen.

- Wiem, ale nie mogę pozbyć się poczucia, że jednak powinnam była próbować. .

- Chodź. Tam mamy samochód.

Kathleen pozwoliła mu zaprowadzić się do packarda.

Przez chwilę czekała, aż otworzy drzwi. Miała już w głowie szkic artykułu o pożarze. Pozostało jeszcze dodać kilka szczegółów i ustalić nazwiska ofiar. Oto postowie do historii, która nie powinna się była wydarzyć.

- Wsiadaj, Kathleen. Musisz wracać do domu i położyć się do łóżka.

- Nie mogę jeszcze jechać do domu - powiedziała, opierając głowę na zagłówku. - Muszę zawieźć materiał

do redakcji.

Patrick przez chwilę milczał, po czym zatrzasnął drzwiczki z jej strony, obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

- A może zgodzisz się łaskawie na to, żebym najpierw odwiózł cię do domu, a potem sam zawiózł ten cholerny artykuł do redakcji? - spytał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Nie. Sama to zrobię.

- Bądź rozsądna, Kathleen. Przecież ledwo się trzymasz na nogach.

To nie była tylko kwestia zmęczenia. Kathleen nie mogła wyzwolić się od poczucia winy. Dlaczego? Dlaczego miała zdolność przewidywania takich tragedii, a nie mogła im w żaden sposób zapobiec? Zamknęła oczy, gdy samochód ruszył.

- Daj spokój, Patrick. Dziś nie mam siły na kłótnie. Patrick zacisnął zęby i przyspieszył. Ten cholerny artykuł jest najważniejszy na świecie! Nic innego się nie liczy! Dziesięć minut później zatrzymał samochód przed budynkiem redakcji.

W środku z roztargnieniem słuchał, jak Kathleen omawia z redaktorem szczegóły. Jakoś się trzymała, choć była bardzo blada, a w jej zielonych oczach pozostało odbicie tragicznych przeżyć. Pomyślał, że od dawna powinna leżeć w łóżku.

Gdy pomagał jej wsiąść do samochodu, wyczuł, że drży. Wziął koc z tylnego siedzenia i troskliwie ją przykrył. Nie zaprotestowała, co zwiększyło jego niepokój. Z irytacją pomyślał, że w domu nie czeka na nią Lizzie. Kto jej pomoże położyć się do łóżka?

Postanowił wrócić okrężną drogą. Miał wrażenie, że Kathleen może za chwilę stracić przytomność. Nie chciał jej stracić z oczu, nim przekona się, że nic jej nie grozi

Byli za miastem, gdy zorientowała się, że Patrick nie wiezie jej prosto do domu. Z trudem trzymała nerwy na wodzy. Pomyślała, że wystarczy jedno słowo o pożarze, śmierci Meggy lub sennych wizjach, a wpadnie w histerię.

- Zawsze zdumiewały mnie twoje wizje - powiedział cicho Patrick. - Mówiłem ci o tym? - Nie.

- Ale to prawda.

Usłyszał zduszony okrzyk i spojrzał na Kathleen.

Siedziała zgięta w pół, zasłaniając rękami twarz. Jej ciałem wstrząsał szloch.

- Kathleen, kochanie.

Zahamował i zjechał na pobocze. Przysunął się do niej i objął.

- Spokojnie, kochanie. To był tragiczny wypadek. Możemy się cieszyć, że było tak niewiele ofiar.

- Kathleen załkała jeszcze gwałtowniej. - Niech to diabli - mruknął i pogłaskał gładką skórę jej karku. Przytulał ją do siebie tak, że policzkiem dotykał jej głowy.

- Wypłacz się, *mavourneen*.

Ukryła twarz na jego ramieniu i długo płakała z żalu i cierpienia wywołanego niepotrzebną śmiercią czterech kobiet.

- Och, Patrick, dlaczego one musiały umrzeć?

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, kochanie. Nikt ie potrafi.

- Jeszcze niedawno Meggy była cała i zdrowa. Taka wesoła, piętnastoletnia dziewczyna.

- Teraz już jej nie ma. Tak to jest, kochanie. Kiedy przyglądałem się, jak Wade walczył o życie po wylewie, myślałem dokładnie to samo. Nie opuszczała mnie myśl, że w niedzielę czułem się doskonale. Chryste, przecież jeszcze rano grał w golfa z Maxem, a kilka godzin później był o krok od śmierci.

Kathleen wytarła twarz wierzchem dłoni.

- To prawdziwa tortura - powiedziała. - Widzę te rzeczy, ale jestem zupełnie bezradna. Mogę tylko przyglądać się rozwojowi tych strasznych wydarzeń. Nie wiesz, co czułam, myśląc o pasażerach "Irish Queen" czy tych kobietach z domu mody przy Siódmej Alei. A teraz siostrzenica Berthy. - Kathleen znów się rozplakała.

- Uspokój się, kochanie. To do niczego nie prowadzi. - Patrick przytulił ją mocniej.

- Ale dlaczego tak musi być? Dlaczego? Nienawidzę tego! Nienawidzę tej aberracji. Nie cierpię tego, że wiem o pewnych wydarzeniach, a nie mogę im zapobiec. To okrutne. To tak boli.

Patrick w pełni dzielił jej cierpienie i choć nie rozumiał istoty jej tajemniczych widzeń, traktował je z podziwem i szacunkiem.

- Twój dar musi mieć jakiś ukryty sens - szepnął.

- Dar? - skrzywiła się Kathleen. - Raczej przekleństwo.

- Nie mów tak, *mavourneen* - szepnął. - Nie rozumiem tego, ale wiem, że to nie jest złe.

Burza minęła. Kathleen leżała spokojnie w jego ramionach. Jeszcze przed chwilą zaciskała rękę na jego koszuli, teraz bezwiednie gładziła pognieciony materiał.

- Miałam dużo czasu, żeby myśleć o śmierci naszego dziecka - powiedziała nagle. Patrick odniósł wrażenie, że jego serce przestało na chwilę bić. Przycisnął ją do siebie i w ogromnym napięciu czekał, co powie. Kathleen podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego nie miałam wizji o naszym dziecku? Gdzie wtedy podział się mój dar? Przed porodem nie miałam żadnych przeczuc, żadnych widzeń. Miałam to dziecko w sobie, a kiedy obudziłam się po porodzie, już go nie było.

W ciemnościach widać było jej błyszczące oczy. Nie płakała. Już dawno wylała wszystkie łzy z powodu tej straty.

- Tak mi przykro, kochanie. - Patrick wziął w dłonie jej twarz i otarł palcami mokre policzki. - Powiniennem być przy tobie. Czy możesz mi to wybaczyć - spytał, przytulając jej głowę do serca.

Pragnął powiedzieć jej o swoich uczuciach, ale nie miał do tego prawa.

Trzymając ją w ramionach, czuł przyjemność i zarazem ból. Jej włosy pachniały różami. Westchnął, musnął r ustami jej skronie, policzki i oczy. To było cudowne cierpienie.

Pod wpływem pocałunków Kathleen otworzyła na chwilę oczy, ale wkrótce znów je zamknęła. Patrick był tak delikatny jak wiosenny deszcz, a ją dręczyła tęsknota za czymś dawno utraconym. Gdy poczuła jego ciepły oddech, lekko zadrżała i westchnęła. Podała się impulsowi chwili i odwróciła głowę, aby dotknąć wargami jego ust. Początkowo całowali się czule i delikatnie, potem coraz bardziej zachłannie. Nagle oderwali się od siebie z przestachem i długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Na rzęsach Kathleen lśniły krople łez, jej rozchylone wargi drżały. Patrickiem targały sprzeczne uczucia. Siedzieli, walcząc z ogarniającymi ich sprzecznymi emocjami.

Patrick był zarośnięty i pachniał dymem, ale ona tego nie widziała i nie czuła.

Kathleen była byle jak ubrana, posiniaczona, oczy miała zaczerwienione od łez, a jednak dla niego stanowiła, jak zawsze, ideał kobiety.

Jakby na sygnał, znów przyłgnęli do siebie. Nagle zapomnieli o wszystkich wątpliwościach i poddali się swym marzeniom, które unosiły ich niczym powódź. Całowali się do utraty tchu, rozpacz i poczucie winy zmieniły się w gorączkową namiętność. Kiedy rozpiął jej bluzkę i jego ręka powędrowała w dół, Kathleen jęknęła z rozkoszy.

- Patrick, Patrick - szeptała.

Wygięła się w łuk, myśląc, jak cudowne są dłonie i usta Patricka. Jakie znaczenie mają wszelkie zasady w porównaniu z taką rozkoszą? Tą zakazaną przyjemnością

- Nie! - Odepchnęła go nagle od siebie i skuliła się w fotelu, jak najdalej od niego.

- Nie mogę ... Nie wolno nam, Patrick!

- Boże, nie chciałem ...

Zacisnął powieki i zasłonił twarz dłońmi. Po chwili zerknął na nią i ujrzał, że grymas ciepienia wykrzywił jej twarz. Pomyślał, że zachowuje się egoistycznie, toteż aby znów nie przytulić jej do siebie, wysiadł i oparł się o maskę samochodu.

- Nie możemy tak dalej, Patrick.

Nawet nie słyszał, że również wysiadła i stanęła przy nim. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Nie był pewien, czy Kathleen jeszcze kiedykolwiek zgodzi się z nim spotkać. Jeśli nie, to na to zasłużył.

- Wiem. Sam nie rozumiem, jak to się stało. Nie miałem takiego zamiaru, kiedy wybrałem tę dalszą trasę. Chciałem być po prostu pewien, że nie zemdlejesz. Musisz mi uwierzyć.

- Och, Patrick - Westchnęła ze znużeniem i oparła głowę na jego ramieniu. Patrick natychmiast ją objął - Wierzę ci.

Usiłował poprawić jej włosy, ale niezbyt mu się to udało. Objął dłońmi jej twarz.

- Nie mogę tego znieść, Kathleen. Za mocno cię pragnę
- Ja też.
- Ale nie powinnaś.
- Tak.

Opuścił ręce i spojrzał na ciemną, pustą szosę.

- Nie wiem, jak to zniosę, ale nie będę próbował z tobą spotykać. Myślałem, że możemy być przyjaciółmi, że w jakiś sposób mogę się tobą opiekować- śmiał się z tego pomysłu. - Oczywiście okłamywałem samego siebie, bo tak naprawdę chciałem znaleźć sposób, żebyś nie zniknęła z mojego życia. A takiego sposobu nie ma.

Kathleen pokiwała głową.

- Mnie nie obchodzi, co powiedzą ludzie, ale to byłoby uczciwe w stosunku do ciebie.
- Także w stosunku do twojej żony i córki.

Poczuł, że się czerwieni. Nim zdążył odpowiedzi odsunęła się od niego i wsiadła do samochodu.

Na Oglethorpe Square jechali w milczeniu. Patrick zatrzymał się przed drzwiami okazałego domu, który dzieliła z Maxem.

- Dasz sobie radę? - spytał, patrząc prosto przed siebie.

Tak. Potrafiła dać sobie radę bez niego. *Czyż nie* przeżyła tak ostatnich sześciu lat? Przez chwilę milczała a on miał wrażenie, że waży w sobie jakąś decyzję,

- Czasami widzę coś innego - powiedziała bez miętym tonem. - A może to tylko sen. Sama nie wiem.

- Opowiedz mi.
- To sen o dziecku.
- Dziecku?

Tak. Jest noc, jakiś samochód jedzie krętą drogą. Chyba gdzieś na wsi, bo nie widać innych budynków. Podjeżdża do żelaznej bramy. Widać jakieś floresy, może inicjał, nie jestem pewna

- Co jest w tym samochodzie?

- Tego też nie jestem pewna. Oprócz kierowcy chyba kilku dorosłych ludzi. Słysząc płacz

dziecka. Kiedy mi się to śni, mam wrażenie, że dziecko woła, płacze, chce, żebym wzięła je na ręce.

-I co dalej? - Patrick przyglądał się jej z napięciem.

Brama otwiera się i samochód wjeżdża do

- To wszystko?

Tak. Brama się zamyka, słychać brzęk i wtedy zawsze się budzę.

Powiedziałaś, że to ci się śniło wiele razy?

- Ten sen wraca do mnie często, w nieregularnych odstępach, bez żadnych widocznych powodów. Nie wiem, co oznacza.

- Czy ma jakiś związek z ciążą. Być może kobiety, tracące dzieci, tak to przeżywają. Może to zupełnie nieistotne ,

- Kiedy miałaś ten sen po raz pierwszy? - spytał. Czuł, że wzruszenie ściska go w gardle. Zaraz po tym, jak wyprowadziłam się od Drummondów - powiedziała, wpatrując się we własne dłonie - zaraz po urodzeniu ich dziecka. Patrick utkwiał wzrok w ciemności i starannie rozważał jej słowa. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Oprzytomniał dopiero, gdy usłyszał, że Kathleen ciągnie za klamkę.

- Chwileczkę, zaraz ci pomogę. - Wysiadł i przeszedł na drugą stronę samochodu, Kathleen jednak zdążyła już wysiąść. Stała na chodniku, trzymając torbę pod pachą. W świetle księżycy jej blada twarz ostro odcinała się od ciemnych murów. Wyglądała tak pięknie, że Patrick zaniemógł.

- Nie wiem, dlaczego opowiedziałam ci ten sen szeptem. Dygotała tak, jakby nagle zrobiło się jej bardzo zimno. - Nie wiem nawet, dlaczego przyszło mi to dzisiaj do głowy.

- Wejdz do środka - powiedział po chwili. Wziął ją za rękę i podprowadził do furtki. - Robi się zimno. Miałaś dzisiaj dość przeżyć.

Nim weszła do domu, żeby już na zawsze zniknąć z jego życia, Patrick podniósł do ust jej rękę. Zamknął oczy i rozkoszował się zapachem róż zmieszany z jej własnym.

- Kathleen, obiecaj mi, że w przyszłości będziesz ostrożniejsza.

- Cofnęła się i spojrzała na niego tak, jakby chciała podjąć walkę.

- Źle mnie zrozumiałaś. Wiem, że nie masz zamiaru rezygnować ze swojej działalności i godzę się z tym. Natomiast środki ostrożności, jakie podjął Max, są właściwe i konieczne. Proszę, nie ryzykuj niepotrzebnie.

Uśmiechnął się ze smutkiem i dotknął jej policzka.

- Dobrze wiem, że nie mam prawa niczego od ciebie żądać, ale jednak proszę cię o jedno. Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważać.

- Dobrze. - Westchnęła i skinęła głową.

- Obiecujesz? - Pochylił się, tak aby spojrzeć jej w oczy.

- Obiecuję.

- Wobec tego już cię nie trzymam. Dobranoc, Kathleen.

Kathleen nie czekała, aż odjedzie.

Obudziła się w środku nocy. Półprzytomna odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła do biurka. W białej, bawełnianej koszuli nocnej wyglądała jak duch. Usiadła przy biurku i wyjęła dziennik. Splątane włosy opadały jej na plecy i ramiona. Pochyliła się i zaczęła pisać.

7 listopada 1933

Dziś w nocy znowu śniło mi się dziecko. Wiem dlaczego. Dziś są urodziny mojego syna. Gdyby żył, skończyłby sześć lat.

ROZDZIAŁ 12

Zamiast jechać prosto do domu, wstąpił do szpitala odwiedzić Wade'a. Pora odwiedzin już dawno minęła i hol był pusty. Patrick poszedł prosto do pokoju, w którym leżał teść. Siostra siedząca za szklanym przepierzeniem nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby go zatrzymać. Przy drzwiach do pokoju spotkał inną pielęgniarkę, która go poznała i po krótkim wahaniu pozwoliła wejść.

- W jakim jest stanie? - spytał szeptem.

- Jakoś się trzyma - odpowiedziała. - Właśnie mierzyłam mu ciśnienie. W normie. Wieczorem nawet przełknął kilka łyżek zupy.

- To dobry znak, prawda?

- Oczywiście. Jak na kogoś, kto miał tak rozległy wylew, to doskonały znak.

Siostra pochyliła się, żeby zapisać coś w karcie choroby. Patrick podszedł do łóżka i spojrzął na Wade'a. Wyglądał nieco lepiej, oddychał równo i spokojnie. Patrick z przykrością myślał, co zostało z tego energicznego i pełnego życia mężczyzny.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym z nim trochę posiedzieć - powiedział do pielęgniarki, jednocześnie przysuwając krzesło do łóżka.

- Bardzo proszę, panie O'Connor. - Przed wyjściem pielęgniarka starannie poprawiła pościel. - Jeśli ma pan ochotę, proszę z nim porozmawiać. Widziałam już w życiu wielu pacjentów po wylewie i według mnie wracają do zdrowia szybciej, kiedy bliscy z nimi rozmawiają. Tak jak wszyscy, oni też muszą wiedzieć, że wciąż są kochani.

Gdy siostra wyszła, Patrick usiadł przy łóżku i przez kilka minut milczał. W końcu ciężko westchnął i potarł palcami czoło. Główne światło w pokoju było wyłączone, świeciła się tylko niewielka lampka na nocnym stoliku. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zagubiony. Dlaczego tu przyszedł?

Przede wszystkim, dlatego, że wołał przyjść tu niż do domu. Ostatnią osobą, którą chciałby teraz zobaczyć, była jego własna żona. Nie znaczyło to wcale, że był pewny, iż Caroline jest w domu. Jeśli tak, to nie chciał jej widzieć. Nigdy jeszcze jej nie zdradził, ale tego dnia niewiele brakowało.

Och, Boże, gdyby tylko był wolny i mógł się ożenić z Kathleen.

- Pa ... Pat. .. cieszę ... cię widzę.

Wade otworzył oczy i patrzył na zięcia. Patrick chwycił go za rękę i serdecznie uściśnął.

- Też się cieszę, że cię widzę, Wade.

Wade kilka razy zamrugał powiekami. Spróbował uściśnąć dłoń Patricka, ale zabrakło mu siły. -

Przepraszam ... tyle kłopotów.

- Nie mów bzdur, Wade.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Patrick miał wrażenie, że każde słowo Wade'a wymaga straszliwego wysiłku. Spojrzał na dzwonek służący do wezwania pielęgniarki, ale Wade znowu gwałtownie zamrugał, jakby chciał zaprotestować.

- Nie chcesz, żebym wezwał pielęgniarkę?

- Nie ... - Wade z trudem przełknął ślinę. - Co się st... stało?

- Miałeś wylew, stary. Jesteś w szpitalu i twój stan poprawia się tak szybko, że wszyscy nie mogą się nadziwić. Ta siostra, której nie pozwoliłeś mi wezwać, powiedziała mi kilka minut temu, że już wkrótce będziesz wcinał steki.

- Bzdury ...

- Czy śmiałybym cię okłamywać?

Wade coś mruknął i przez chwilę leżał spokojnie, tak jakby zbierał siły.

- Caroline? - spytał wreszcie.

- Pewnie przyjdzie do ciebie jutro z samego rana - skłamał Patrick. Od chwili, gdy było wiadomo, że Wade przeżyje, Caroline starannie unikała wizyt w szpitalu. Patrick tolerował jej wymówki, dopóki Wade był nieprzytomny. Teraz, skoro ojciec o nią spytał, Patrick obiecał sobie, że doprowadzi ją tutaj, choćby miał wyciągnąć ją siłą z łóżka Wheelera.

- Niech robi co chce - szepnął Wade. Znał swoją córkę aż nadto dobrze.

- Przyprowadzę Jessy.

- D .. dobrze. - Znow nastąpiła przerwa. - W .stoczni. ..

- Wszystko w porządku, Wade. Możesz się nie martwić.

- T ... t. ..

- Tak, Wade? - Patrick pochylił się nad nim. - Nie mogę cię zrozumieć. - N ... nowy ...

Cierpliwie czekał, aż Wade zdoła wyjaśnić, o co mu chodzi.

- Tes ... tament - wykrztusił wreszcie.

- Nie martw się o testament, nie jest jeszcze konieczny - zapewnił go Patrick. - Już za parę dni wstaniesz. Tak mówi lekarz.

- Rozwód nie.

Boże. Patrick opuścił głowę. Nie mógł pozbierać myśli. Miał wrażenie, że szpitalne odgłosy, brzęk naczyń, kroki na korytarzu i jęki pacjenta z sąsiedniego pokoju oddalają się i cichną, jakby dochodziły z długiego tunelu.

- Wade ...

- Ro ... rodzina ... cię potrzebuje. Firma ... też.

- Pamiętam o swoich obowiązkach, Wade.

-Rozwód ... nie!

- Nie będzie rozvodu. - Patrick wstał i odwrócił się twarzą do okna.

- Obiecuj.

Gdzieś daleko rozległ się trzask drzwi i zgrzyt zamka. Widocznie nocny portier zamknął już wejście. Patrick znow zwrócił się twarzą do teścia. Wade drżał, a w jego oczach widać było błaganie.

- P ... proszę, Pat ...

- Obiecuję.

Kathleen poprzysięgła sobie, że Meggy i trzy kobiety, które zginęły podczas pożaru fabryki, nie zostaną zapomniane. Podobnie jak w przypadku pożaru w domu towarowym, który widziała w Nowym Jorku, przyczyną ich śmierci były nie oparzenia, lecz zatrucie czadem. Stare, zmurszałe

schody ewakuacyjne zawały się pod ciężarem uciekających robotnic. Meggy, która przepuściła przodem kilka starszych, mniej sprawnych koleżanek, została na górze. Nim strażacy dotarli na trzecie piętro, ona i trzy inne kobiety straciły już przytomność.

Z pewnością by się uratowały, gdyby schody były w przyzwoitym stanie. Solidne schody zapasowe to dobra inwestycja. Dlaczego właściciele fabryki nie zadbali o bezpieczeństwo robotnic? Dlaczego aż tak lekceważą ludzkie życie?

- Kim są właściciele fabryki? Czy udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Jeszcze nie, Max. - Kathleen westchnęła, odchyliła się na krzesło i rzuciła pióro na biurko. - Cały ciąg nieruchomości wzdłuż rzeki jest własnością jakiejś grupy posiadaczy. Do tej spółki należy, oprócz przędzalni, także tkalnia, tartak i papiernia. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że "Sentinel" kupuje od nich papier?

- Nie wiedziałem. - Max wyraźnie się zirytował.

- Zaraz się tym zajmę.

- Nie, poczekaj. Najpierw muszę się dowiedzieć, kto wchodzi w skład tej grupy. Nie chcę ich spłoszyć. Kiedy będę znała nazwiska, przyjrę się ich majątkom.

Mogę się założyć, że to bogacze. - Skrzywiła się z pogardą.

- Bogacze - powtórzył Max i spojrzał na nią wymownie. - Czy to coś złego być bogatym?

- Oczywiście, że nie - odrzekła Kathleen. - Pod warunkiem, że majątek nie zabija poczucia sprawiedliwości i przyzwoitości. Ludzie, którzy utworzyli tę grupę, wykazali, że brak im elementarnej przyzwoitości. Ich pracownicy, zwłaszcza kobiety, płacą za to wysoką cenę.

- Działają zgodnie z obowiązującym prawem.

- Wobec tego należy zmienić prawo.

- Ono się zmienia, choć bardzo powoli. - Max przysiadł na skraju biurka Kathleen i położył przed nią najnowszy numer tygodnika "Time". - Ostatnio "Time" ogłosił człowiekiem roku Herberta Johnsona, aktywistę walczącego o reformę prawa pracy. Od lat starał się, żeby Kongres zagwarantował robotnikom minimalną płacę. W końcu mu się udało.

- Ile ona wynosi? - Kathleen zerknęła na artykuł.

- Pracownik może żądać minimum dwanaście dolarów na tydzień. Jeśli dostaje mniej, pracodawca łamie federalne prawo.

- A pracownica? - spytała Kathleen i uśmiechnęła się sceptycznie. - Mogę się założyć, że to prawo dotyczy tylko mężczyzn.

- Może więc jakaś dziennikarka powinna zwrócić na to uwagę kongresmenom? - Max uśmiechnął

się i skrzyżował ręce na piersiach.

- Możesz być pewny, że to zrobię, kiedy tylko skończę z tymi łajdakami z Savannah - obiecała.

- Bądź ostrożna - poprosił Max i spoważniał.

- Możesz być spokojny, nie jestem idiotką. Jeden napad w pustym magazynie to dość, żeby nauczyć mnie rozumu. - Kathleen wyprostowała się i wzięła do ręki pióro. - Oprócz tego, jak wiesz, Leo nie spuszcza mnie z oka. Nie mogę wyjść z domu bez jego nadzoru. - Prychnęła z irytacją. - Czuję się tym przytłoczona, Max. Będę szczęśliwa, kiedy skończę ten cykl i znowu będę mogła normalnie żyć.

- Dobrze, że przynajmniej dałaś się przekonać o konieczności ochrony. Zapewniam cię, że sprawiło mi to sporą ulgę.

Patrick z pewnością powiedziałby to samo, pomyślała Kathleen. Nigdy nie rozmawiali o nim, ale wiedziała, że porozumiewał się z Maxem w tej sprawie. Od dnia pożaru minęły już trzy tygodnie i przez ten czas nie widziała Patricka. Najwyraźniej postanowił dotrzymać obietnicy. Była z tego zadowolona, ale czuła się bardzo samotna.

Max wstał i zatarł ręce.

- Mam pomysł. Chodź, zjemy kolację w restauracji. Możemy spróbować, co dają w klubie. Co o tym myślisz?

- Czemu nie? - Kathleen nie miała na to wielkiej ochoty, ale tego wieczoru Lizzie i Leo mieli iść do kina. Lizzie wspomniała o tym przy śniadaniu i długo rozprawiała o nowym filmie Lily Pons. Bez nich w ich wielkim domu będzie cicho. Zbyt cicho.

Zauważyła, że Max przygląda się jej z wyraźną troską w oczach.

- Czy zastanawiałaś się nad powrotem do Nowego Jorku? - spytał.

- Właściwie nie - odpowiedziała, pocierając palcami skronie. - Sama nie wiem.

Max zbliżył się do niej, wsunął jej palec pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Jeśli będziesz chciała wracać, powiedz mi o tym. Dobrze?

Nie mogła mu tego obiecać. Gdyby zdecydowała się wyjechać z Savannah, zrobiłaby to sama. Zbyt wysoko ceniła sobie niezależność, by z niej łatwo rezygnować. Gdyby pozwoliła, żeby Max zabrał ją do Nowego Jorku i dalej się nią opiekował, byłaby od niego całkowicie uzależniona. Raz w życiu złożyła przyszłość w ręce mężczyzny i drogo za to zapłaciła.

Nie, tego mu nie mogła obiecać.

- Chyba w ogóle nie masz zamiaru wyjeżdżać z Savannah, prawda?

Zaskoczona, upuściła nóż na talerz. Rozległ się głośny brzęk i ludzie siedzący przy sąsiednich

stolikach spojrzeli w ich stronę. W klubowej restauracji na ogół panowała dyskretna cisza;

- Dlaczego tak sądzisz, Max? Przecież jeszcze dziś po południu powiedziałam ci, że nie jestem pewna. Lubię Savannah, choć ...

Gdy milczała, Max odłożył nóż i widelec i pogłaskał jej dłoń.

- Choć tutaj co chwila coś przypomina ci Patricka, jego żonę i córkę, i zastanawiasz się, jak mogłoby wyglądać twoje życie, gdyby los zrządził inaczej. Prawda? - Tak. To zupełne szaleństwo, nie sądzisz?

- A czy jest gdzieś zapisane, że kobiety muszą być zdrowe na umyśle? - Max wziął do rąk nóż i widelec i zaczął kroić mięso.

- Max! Co za typowo męska uwaga! Mam nadzieję, że to tylko żart. Powinieneś się wstydzić. Co powiedziałyby Lily?

- Pewnie zażądałyby wyjaśnienia, dlaczego jeszcze nie zaproponowałem ci posady naczelnego redaktora "Sentinela" - odrzekł poważnie.

- Co? - Była wyraźnie zaskoczona.

- A ja musiałbym przyznać, że kierowałem się wyłącznie egoistycznymi pobudkami. - Max spojrzał na jej talerz. Kathleen jeszcze nie tknęła jedzenia. Uniósł wzrok i popatrzył jej w oczy, tak jakby ją przeproszał. - Wiem, że gdybyś przyjęła moją propozycję, musiałybyś zostać w Savannah na stałe i pewne rzeczy musiałyby się zmienić.

- Max

- Prawdę mówiąc - uśmiechnął się nieco smutno i tak już związałaś się z Savannah, niezależnie od tego, czy jesteś redaktorem naczelnym "Sentinela", czy nie. Wobec tego - Urwał i wzruszył ramionami, na próżno usiłując ukryć swoje uczucia.

- Co o tym sądzisz?

Kathleen pomyślała o tym, jak bardzo go kocha i ile mu zawdzięcza. Gotowa była pracować w gazecie na każdym stanowisku, jakie on uważa za odpowiednie dla niej. No, w każdym razie w granicach rozsądku. Uśmiechała się coraz radośniej, w miarę jak uświadamiała sobie wszystkie możliwości związane z nowym stanowiskiem. Redaktor naczelny. Wolność wyboru tematów. Możliwość prowokowania dyskusji, wpływania na wydarzenia. To więcej niż spełnienie jej marzeń. Zaśmiała się głośno.

- Hm, to już lepiej - mruknął Max i uśmiechnął się wyrozumiale. - Ostatnio jakoś nie słyszałem, żebyś się śmiała. - Wziął do ręki butelkę wina i nachylił ją nad jej kieliszkiem. - Czy uczymy to toastem?

- Dziękuję, Max. - Kathleen uniosła kieliszek. Oboje wypili. Max był z jednej strony zadowolony, że zdołał Kathleen uszczęśliwić, z drugiej jednak bolała go świadomość, że oto zrobił krok, który przyspieszy ich rozstanie.

- Musimy porozmawiać - powiedziała. W jej głosie znowu pobrzmiwał entuzjazm. - Jak przyjmie to Edgar Jensen?

Edgar Jensen był dotychczas redaktorem naczelnym. Należało mu znaleźć inne stanowisko.

- Masz jakieś propozycje? - spytał Max.

- Przesuń go na szefa działu ekonomicznego. I tak znacznie bardziej interesuje się giełdą niż jakimikolwiek sprawami społecznymi i politycznymi. Ostatnio "Sentinel" poświęcał im więcej uwagi i od razu wzrósł nakład. Gazeta stała się żywsza i ciekawsza.

- Chciałaś powiedzieć, bardziej kontrowersyjna poprawił ją sucho. - To twoja zasługa. Masz jednak rację, Jensen znakomicie nadaje się do działu ekonomicznego. Jutro mu o tym powiem.

- Nie będzie zadowolony, że zastąpiła go kobieta - zauważyła Kathleen. Max rozejrzał się po sali i nagle jego twarz wyraźnie stężała.

- Co się stało, Max?

Kathleen spojrzała w tym samym kierunku i jej serce zamarło. Pod ścianą, z prawej strony sali, siedział Patrick z żoną i córką. Właśnie pochylił się do Jessy i szepnął jej coś do ucha. Córeczka uniosła buzię i uśmiechnęła się do niego. Razem tworzyli obraz idealnej rodziny. Kathleen poczuła, że coś ściska ją w gardle, i szybkim ruchem sięgnęła po kieliszek.

W tym momencie Patrick podniósł głowę i obojętnym wzrokiem powiódł po sali.

Kiedy poczuła, że jego wzrok zatrzymał się na niej, Kathleen znieruchomiała z kieliszkiem uniesionym nad stołem. Huczało jej w głowie, do jej uszu docierał falujący szum, na który składały się głosy gości, brzęk porcelany i srebrnych sztućców oraz nieskładne odgłosy dochodzące z kuchni. Nie zwracała na to wszystko uwagi. W pierwszej chwili chciała zerwać się z krzesła i uciec. Patrick powitał ją krótkim skinieniem głowy i ponownie zwrócił się do córki. Kathleen zmusiła się, żeby oderwać od niego wzrok.

- Jeśli chcesz, możemy wyjść - zaproponował Max, patrząc na nią z wyraźną troską.

- Nie, nie mogę uciekać ani mdleć za każdym razem, kiedy go widzę. To byłoby tchórzostwo. - Odstawiła kieliszek, wytarła serwetką usta i wcisnęła ją pod brzeg talerza. - Muszę pójść do toalety.

Max wstał, żeby jej pomóc.

- Naprawdę możemy wrócić do domu - powtórzył.

- Nie, nie

Kiedy znalazła się w łazience, przez kilka sekund miała wrażenie, że zemdleje lub wybuchnie płaczem. To byłaby niewiarygodna słabość.

Podeszła do umywalki, położyła torebkę na jej brzegu i odkręciła wodę, żeby umyć ręce.

Myślała o tym, że Savannah jest niewielkim miastem i dlatego trudno jej będzie uniknąć spotkań z Patrickiem. Miała jednak nadzieję, że z biegiem czasu przestanie marzyć o tym, żeby go zobaczyć i pobyć z nim choć przez chwilę. To wymaga jedynie czasu, skostatowała. Już w tej chwili pewne elementy jego życia uważała za co najmniej dziwne lub wręcz naganne.

Decydując się na fuzję z Lelandem Patrick jasno deklarował, że wyżej ceni bogactwo i władzę niż sprawiedliwość i przyzwoitość. Taki człowiek nie powinien ją obchodzić, choć tej nocy, gdy zginęła Meggy, zwróciła się o wsparcie właśnie do niego. Potem w jego ramionach płakała z powodu śmierci dziecka i jemu to opowiedziała o swej sennej wizji. No tak, ale mimo wszystko nie może się zadawać z takim człowiekiem. Tylko dlaczego czuje się taka nieszczęśliwa?

- No, kogo ja widzę! William Collins we własnej osobie!

- Za jej plecami rozległ się pełen sarkazmu głos Caroline. Kathleen oprzytomniała.

- Muszę stwierdzić, że tajemniczość otaczająca pani osobę sprawia, że mam pewne wątpliwości, czy powinna pani korzystać z damskiej toalety.

Kathleen odwróciła się i skłoniła chłodno głowę.

- Dzień dobry. Jak się pani miewa?

- Nigdy nie czułam się lepiej. - Caroline uniosła do ust szklankę z dżinem i tonikiem. W drugiej ręce trzymała papierosa w długiej cygarnicze. Miała na sobie czarną suknię z niezwykle śmiałym dekoltem, odsłaniającym jej pełne piersi. Kathleen pomyślała, że gdyby inna kobieta przyszła w takiej sukni do klubu, skończyłoby się to skandalem. '

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani szczerść, ale wygląda pani tak, jakby pracowała do późnej nocy. Ta praca musi być bardzo męcząca.

- Dziennikarstwo, jak każde zajęcie, wymaga pewnego wysiłku - odparła Kathleen. Zirytował ją fakt, że zabolęła ją złośliwość Caroline.

- No, tak, praca - Caroline skrzywiła się pogardliwie. - Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- To mnie nie dziwi - rzuciła Kathleen oschle. Caroline przybliżyła twarz do lustra i długim paznokciem usunęła niewidoczny paproch z kącika ust.

- No, ale o mnie troszczy się Patrick. - Spojrzały sobie w lustrze w oczy. - Taki mąż to

prawdziwe szczęście.

Dość tego. Kathleen nie mogła zrozumieć, dlaczego tu jeszcze stoi i pozwala się poniżać tej kobiecie. Zakręciła kran.

- Muszę iść - powiedziała i chwyciła torebkę. Nie mogła się zmusić, żeby zakończyć rozmowę jakimś konwencjonalnym zwrotem typu: Cieszę się ze spotkania. Mam nadzieję, że będzie pani miała udany wieczór. Proszę pozdrowić rodzinę.

- Ależ co ja widzę na pani twarzy, moja droga!

- Przepraszam? - Kathleen zatrzymała się z ręką na klamce.

- To zazdrość, chyba się nie mylę. - Caroline zaśmiała się kpiąco.

- Tak, to właśnie zazdrość. - Jej oczy nagle zabłysły i przestała cokolwiek udawać. - Zazdrościsz mi męża, prawda? Chciałabyś, żeby należał do ciebie, co? Ty, z tymi swoimi prostackimi rudymi włosami i jeszcze bardziej prostackim zawodem, czy ty naprawdę myślałaś, że możesz ze mną konkurować? - Caroline prychnęła z pogardą. - Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Myślisz, że kim jesteś, ty śmieciu z Irlandii?

- Pani O'Connor.

- Jeszcze nie skończyłam! Czy on może wspominał coś o rozwodzie? Nie? - Caroline uśmiechnęła się triumfalnie. - Tak właśnie myślałam. Wbił sobie do głowy niezwykle szlachetne przekonanie, że musi utrzymać w całości naszą drogą rodzinę. Czy to ci właśnie powiedział? Dobry żart! On jest taki troskliwy, tak się zajmuje swoją małą córeczką i moim staruszkiem!

Kathleen nie pojmowała, skąd w człowieku może się wziąć tyle jadu. Caroline zbliżyła się do niej i zerknęła w głąb pomieszczenia, sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Chcesz poznać pewien sekret, słodka mała Kathleen? Jessie nie jest nawet jego dzieckiem.

Och, Patricku! - westchnęła w duszy Kathleen. Pojęła wreszcie, do czego zdolna jest jego żona.

- To cię zaszokowało, prawda? Umierasz z pragnienia, żeby kochać tę niewinną istotkę, co? I to własne dziecko Patricka! - Caroline uśmiechnęła się jadowniczo. - Możesz sobie na nią patrzeć, ale oni oboje należą do mnie. Jessie i Patrick. Zwłaszcza Patrick. Tata mi go kupił i dobrze zapłacił.

Caroline zaciągnęła się papierosem i przez chwilę przyglądała się smużce dymu.

- Można powiedzieć, że to tak samo jak z tym arabskim ogierem, którego mamy w stajni. Albo z chartem, którego tata kupił na polowania, czy też z moim kabrioletem. Chyba rozumiesz, co chcę powiedzieć? Chciałam Patricka, więc tatuś mi go kupił. - Caroline spojrzała jej w oczy. - A Patrick dał się kupić.

Caroline odwróciła się i wyszła. W progu spojrzała na Kathleen przez ramię.

- Lepiej to sobie zapamiętaj, ty irlandzka dziwko. Ja nie pozwolę sobie odebrać tego, co do mnie należy.

Gdy Max zobaczył jej bladą twarz, zerwał się z krzesła, ale Kathleen nakazała mu gestem, aby usiadł. Opadła na krzesło i spróbowała ukryć trzęsące się dłonie pod serwetą.

Max kątem oka dostrzegł, że Patrick uniósł się, aby podsunąć żonie krzesło. Aha, to dlatego Kathleen jest zdenerwowana. W toalecie spotkała Caroline O'Connor.

Bez słowa wstał i podał Kathleen ramię, zmuszając ją, żeby wstała. Była tak oszołomiona, że nie stawiała oporu. Otuliła się szalem, który kiedyś dostała od Lily. Wieczory w Savannah były już bardzo zimne. Wstrząsnęły nią nie tyle słowa Caroline, co jej osobowość. Jak Patrick mógł ożenić się z taką kobietą? Caroline wydawała się jej wcieleniem zła. Kathleen zadrżała i przysunęła się bliżej do Maxa.

Dokładnie w momencie, gdy wyszli na ganek, rozległ się grom i lunęło jak z cebra. Max wymamrotał coś pod nosem. Jeśli pobiegną do samochodu, przemokną do suchej nitki. Trzeba poczekać, aż przestanie padać. Kathleen zacisnęła zęby i zaśmiała się krótko. Poczuela, że Max ją obejmuje.

- Nic mi nie jest, Max.

- Nie wiem, co stało się w toalecie, ale.

- Gdybyś słyszał, nie uwierzyłbyś własnym uszom. - Jaskrawa błyskawica przecięła niebo i Kathleen przysunęła się jeszcze bliżej do Maxa.

- Żona Patricka - Chyba nie znam takiej drugiej jak ona.

- Co ci powiedziała? - spytał. Nagle rozległ się głośny huk. Tym razem piorun uderzył gdzieś blisko. - Może lepiej wejdźmy do środka, kochanie. Pewnie będziemy musieli poczekać, nim przejdzie burza.

- Nie! Pobiegniemy do samochodu. Wolę zmoknąć niż wrócić do klubu.

- Hm...

W tym momencie usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi. Odruchowo odwrócili się i na progu ujrzeli

Patricka, Caroline i Jessy. Patrick przez chwilę się wahał, co zrobić. Patrzył Kathleen w oczy bez śladu uśmiechu na twarzy. Kathleen przez chwilę zastanawiała się, czy Caroline opowiedziała mu o rozmowie w toalecie. Wątpliwe. Raczej nie mogła powtórzyć mu tego, co tam mówiła. A może to było jedno z tych nowoczesnych małżeństw, w którym każde robi, co mu się żywnie podoba?

- Pani Kathleen! - radośnie zawołała Jessy i spojrzała na ojca rozpromieniona. - Popatrz, tato, to pani Kathleen! - Puściła jego rękę i podbiegła do Kathleen, która stała jak sparalizowana.

- Mam jeszcze tę lalkę z jarmarku, pani Kathleen. I pluszowego misia. Śpię z nim każdej nocy. Czy pani też ma jeszcze misia?

Kathleen pogłaskała ciemną główkę dziewczynki i uśmiechnęła się do niej. Caroline rzuciła mężowi jadowite spojrzenie, po czym wzięła głęboki oddech, tak jakby usiłowała opanować jakiś gwałtowny odruch. Patrick zaciskał zęby tak mocno, że widać było nabrzmiałe mięśnie.

- Byliśmy razem na jarmarku, mamó - wyjaśniła Jessy, zachwycona, że może o tym opowiedzieć. - Jechaliśmy na diabelskim kole, dostałam cukrową watę, i lalkę, i hot doga. Później tata rzucał piłką i wygrał dla nas dwa pluszowe misie. Jednego dla mnie, drugiego dla pani Kathleen. Ale było fajnie!

- A pan, panie Rutledge? - spytała chłodno Caroline. - Pan również bawił się z nimi na jarmarku?

- Obawiam się, że straciłem okazję, pani O'Connor.

- Niech sobie przypomnę - Caroline spojrzała na Patricka i w zamyśleniu muskała palcem wargi. - To był chyba ostatni dzień jarmarku, prawda, kochanie? Ty i Jessy błagaliście, żebym z wami poszła, ale byłam już umówiona - Caroline zmarszczyła nos - Och, jaka szkoda. Czasami tracę najciekawsze przeżycia.

- Mamó, przecież nie chciałaś iść! Nie pamiętasz?

- Nie odzywaj się, kiedy mama mówi, maleńka. - Caroline zmierzyła córkę niechętnym spojrzeniem.

Patrick pochylił się i wziął Jessy na ręce.

- Chcesz pobiec do samochodu, Świerszczyku? Chyba nie boisz się kilku kropel deszczu, prawda?

- Nie, tatusiu. - Jessy zacisnęła ramiona na jego szyi. Patrząc na to, Kathleen czuła w sercu przenikliwy ból. Spojrzała na Caroline i pomyślała, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, już dawno byłaby martwa. Oczywiście Caroline płonęły nienawiścią.

Nie czekając na Maxa, Kathleen odwróciła się i zeszła z ganku. Max zaparkował po przeciwnej stronie podjazdu, kilkanaście metrów od drzwi. Aby dotrzeć do samochodu, trzeba było przejść przez jezdnię i zrobić kilka kroków po mokrej trawie. Nie przejmowała się deszczem. Woląca zmoknąć niż znosić obecność Caroline. Osloniła szalem głowę i ruszyła do samochodu.

Zrobiła to tak szybko i nagle, że w pierwszej chwili nikt nie zareagował. Max postąpił krok w jej kierunku i w tym samym momencie zauważył, że zaparkowany w pobliżu samochód ze zgaszonymi reflektorami gwałtownie rusza z miejsca. Rozległ się głośny ryk silników. Samochód szybko przyspieszał, kierując się prosto na Kathleen, która biegła z opuszczoną głową.

Patrick dosłownie rzucił Jessy Maxowi i pognął śladem Kathleen. Ta spokojnie ominęła kałużę, po czym uniosła rękę, żeby zetrzeć z twarzy krople deszczu, i zauważyła szybko zbliżającą się maskę ciemnego samochodu. W świetle latarni zabłyśły chromowane ozdoby.

- Kathleen! - zawołał Patrick, przerażony.

Odniosła wrażenie, że wydarzenia następują jakby w zwolnionym tempie. Usłyszała pisk opon, ryk osmiocylindrowego silnika, ogłuszające uderzenie piorunu i wreszcie rozpaczliwy krzyk Patricka.

Do tragedii brakowało ułamka sekundy, gdy Patrick chwycił ją w pasie i z całych sił szarpnął do tyłu. Oboje potoczyli się w błoto. Kathleen krzyknęła z bólu, uderzając biodrem o kamień. Samochód przejechał obok, ochlapując ich bryzgami wody. Kierowca dodał gazu i zniknął w ciemnościach.

- Kathleen, Boże - Patrick uniosł jej twarz i spojrzał w oczy. Nie zwracał uwagi na deszcz i błoto. Ze zdenerwowania drżały mu ręce.

- Nic mi się nie stało. Myślę ... - Kathleen nie dokończyła zdania i zaczęła gwałtownie dygotać.

- Masz, włóż to. - Zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. - Czy on cię potrafił?

- Nie.

Serce biło mu jak szalone, czuł zawroty głowy. Zamknął oczy i czekał, aż świat się uspokoi, po czym szybko przesunął dłońmi po jej rękach, plecach i głowie, aby sprawdzić, czy jest cała. Nawet nie zauważył, kiedy obok nich stanął Max.

- Czy ... Boże, coś jej się stało?

- Myślę, że nic poważnego. Nie ma złamań.

- W porządku, Max - zapewniła go Kathleen, choć bardzo bolało ją stłuczone biodro.

- Trzeba ją stąd zabrać. - Patrick wziął ją na rękę.

Kiedy Kathleen zarzuciła mu ramiona na szyję, znów poczuł gwałtowny przyływ uczuć. - Gdzie jest pana samochód? - spytał z zaciśniętymi zębami.

- Tam. - Max pospiesznie wyjął z kieszeni kluczyki i drżącymi rękami otworzył drzwiczki. - Na tylnym siedzeniu leży koc. Zaraz go wyjmę.

Patrick posadził Kathleen w fotelu i odgarnął jej włosy z czoła. W dalszym ciągu nie przejmował się deszczem.

- Potłukłaś się? Myślę, że nic-sobie nie złamałaś, ale - Zaklął pod nosem.- Kathleen, powiedz coś.

- Nic się nie stało. Ten samochód nawet mnie nie dotknął. Uderzyłam się o krawężnik.

- Boże, to przeze mnie.

- Uratowałaś mi życie - Kathleen dotknęła jego ręki.

- Masz koc. - Max podał im miękki pled. Patrick wziął koc i starannie okrył Kathleen.

- Jest mocno potłuczona. Powinna pojechać do szpitala - powiedział do Maxa.

- Oczywiście.

- Pojechałbym z wami, ale - Przypomniał sobie o rodzinie i spojrzął w kierunku wejścia do klubu.

Mimo sporej odległości i ulewnego deszczu widział, że Caroline pieni się ze złości.

- Nie będzie pan potrzebny - oświadczył Max. - I tak wiele pan dzisiaj zdziałał.

- Max - przerwała im Kathleen. Mówiła z pewnymi trudem. - To był wypadek.

- To nie był wypadek - zaprzeczył Patrick.

Max i Kathleen spojrzeli na niego ze zdziwieniem. - Ten samochód stał z zapalonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Kiedy wyszłaś na podjazd, kierowca postanowił skorzystać z okazji.

- Z okazji? - Kathleen czuła, że za moment zacznie histerycznie krzyżeć. Zaciśnęła palce na kocu. - Jakiej okazji?

- Żeby uciszyć cię na zawsze.

ROZDZIAŁ 13

- No, cóż ... - Caroline pstryknęła złotą zapalniczką, zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem, po czym jej wzrok spoczął na mężu. - Teraz już chyba wiem, ile ja i Jessy dla ciebie znaczymy, prawda?

Patrick wypił już dwie porcje whisky, nadal był jednak zdenerwowany i nie miał ochoty na kolejną wymianę zdań z Caroline.

Od zajścia przed klubem nie mógł opanować wzburzenia. Czuł wściekłość i strach, a jednocześnie dręczyły go liczne pytania, na które nie znał odpowiedzi. Kto chce zabić Kathleen? Czy to rzeczywiście był zamach, czy tylko ktoś chciał ją nastraszyć? Nie wiedział. Pochylił się do przodu i wrzucił do kominka kilka szczap.

- Czy wreszcie mi odpowiesz, czy też będziesz mnie ignorował, tak jak w klubie?

- Znaczący dla mnie tylko ty, co zawsze - odrzekł ze zmarszczonym czołem. - Ty jesteś moją żoną, a Jessy córką. Moje uczucia do was nie uległy zmianie.

- Cóż! To ostatnie zostawię bez komentarza. Podejrzewam, że twoje uczucia do mnie nie wytrzymałyby próby.

- Czego chcesz tym razem, Caroline?

Podeszła bliżej i dotknęła kołnierzyka jego koszuli.

- Masz mokrą koszulę, kochanie. Lepiej się przebierz, bo się przeziębisz. Co za pomysł, żeby dawać marynarkę tej nieszczęśnicy - Teatralnie westchnęła. Przesadziłeś z tą dżentelmenerią. Dobrze właściwie, że nauczyłam cię, jak być dżentelmenem.

- Biorąc pod uwagę, w jak małym stopniu jesteś damą, to naprawdę zdumiewające.

- Myślisz, że jesteś bardzo sprytny, co?

Caroline spojrzała na niego ze złością. Patrick rzadko uciekał się do obraźliwych słów.

- Raczej zmęczony i znudzony. Sprytny? Gdybym był sprytny, nie wpadłbym w taką pułapkę, jaką jest to małżeństwo:

- Och, a więc teraz ty chcesz rozvodu? Zobaczmy, co tata na to powie.

- Czy mówiłem coś o rozwodzie? Wiesz równie dobrze jak ja, co obiecałem Wade'owi.

- A nie łamie się obietnicy danej umierającemu, prawda?

- Wade nie umiera. Czuje się coraz lepiej. Wiedziałaś o tym, gdybyś choć raz poszła do szpitala.

- To zbyt przygnębiające. Chorzy ludzie są tacy ...

Caroline zadrżała dramatycznie i uniosła do ust papierosa. - Nie mogę tam iść. Nawet do taty.

- Powinnaś zatem się modlić, żebyś sama nigdy nie zachorowała.

- Bardzo byś tego chciała, prawda? - Caroline wypuściła z ust chmurkę dymu. - Chciałbyś, żebym umarła, nie? Jestem pewna, że ucieszyłbyś się, gdybym to ja wpadła dziś pod samochód, a nie ta twoja irlandzka dziwka. Co na to powiesz, ty chodząca doskonałości? Mówię ci: żałuję, że ten samochód jej nie zabił. Szkoda, że w nią nie huknął. Pozbylibyśmy się na zawsze, choć jednego śmiecia.

- Dlaczego nienawidzisz kobiety, której prawie nie znasz? Co ona ci zrobiła, że życzysz jej śmierci?

- Nic poza tym, że próbuje ukraść mi męża! Chce też wykraść Jessy! Powiedziałam jej, że nic z tego nie będzie! Szkoda, że nie widziałeś jej twarzy, kiedy to usłyszała.

- Co jej powiedziałaś? - Patrick spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. - Kiedy?

- Dzisiaj, w toalecie - odparła wyzywającym tonem - Jest taka patetycznie głupia. Kiedy powiedziałam jej o Jessy .

- Co powiedziałaś jej o Jessy? - Patrick z trudem powstrzymywał się, żeby nią nie potrząsnąć.

- Och, przestań udawać! Znamy się już dostatecznie długo. Dobrze wiesz, że Jessy nie jest twoją córką. - Spojrzała na niego z pogardą. - Czy naprawdę myślałeś, że wyszłabym za kogoś takiego jak ty, gdybym nie była w trudnej sytuacji? To tata mnie zmusił.

- Jessy nie jest moją córką? - Patrick zacisnął palce na poręczy fotela. W tym momencie rozległ się głośny trzask ognia w kominku.

- Na litość boską, czyżbyś sądził, że byłam dziewicą? - Caroline wzięła się pod boki.

Nie, wiedział doskonale, że nie była dziewicą, ale i nie podejrzewał, że była w ciąży. Czuł, jak krew napływa mu do głowy. Boże, jaki był głupi! A Wade Oczywiście, o wszystkim wiedział. Właśnie dlatego ...

- Wade mnie kupił.

- Nie sądzę, żebym mogła to lepiej wyrazić. Dokładnie to powiedziałam tej twojej drogiej Kathleen.

- Gdy Caroline spojrzała mu w oczy, z jej twarzy zniknął triumfalny uśmiech. - Boże, ty naprawdę o tym nie wiedziałeś?

Patrick odepchnął ją na bok i podszedł do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała ostrym, piskliwym głosem.

- Niech cię diabli, jeszcze nie skończyłam z tobą rozmawiać! Dzisiaj zrobiłeś z siebie dumna, i to na oczach wszystkich! Rzuciłeś się jak wariat, żeby uratować tę babę. Ryzykowałeś życie, zostawiłeś mnie i Jessy bez opieki. Wszyscy widzieli, jak poleciałeś za dziwką, która jest dla nas niczym. Niczym, słyszałeś?

Patrick zdjął kurtkę z wieszaka w holu, ale nie chciał tracić czasu na jej włożenie. Otworzył drzwi i w chwili, gdy miał wyjść, Caroline chwyciła go za rękaw.

- Nie dotykaj mnie - powiedział groźnym tonem - Ani dzisiaj, ani kiedykolwiek.

- Dokąd idziesz? - spytała przez zaciśnięte zęby, cofając się o krok.

- To nie powinno cię obchodzić, ale mogę ci powiedzieć, że idę do szpitala. Czy masz coś przeciwko temu?

- Tata ... tata nie może jeszcze rozmawiać. Nie możesz mu nic powiedzieć.

- Dlaczego sądzisz, że idę do twojego ojca?

- Idziesz więc do tej kobiety, tak? - spytała agresywnie.

- A jak myślisz? Może mieszkam z tobą na tyle długo, że potrafię przejąć niektóre twoje nawyki.

- Ty łajdaku! Ty draniu! - Caroline podniosła rękę, żeby go uderzyć, Patrick jednak schwycił ją za nadgarstek.

- Nie pozwolę, żebyś mnie kompromitował i chodził do tej dziwki! Powiem ojcu ...

- Kompromitował? Ciebie? Nie do wiary! - Spojrzał na nią z głęboką ironią.

- Do diabła, co ty sobie właściwie wyobrażasz? Od pierwszego miesiąca naszego małżeństwa zachowujesz się bezwstydnie, i nagle masz do mnie jakieś pretensje? Nie jestem ci nic dłużny, Caroline. Słyszałaś, co powiedziałem? Nie jestem ci nic winien. Po twoim dzisiejszym wyznaniu uważam, że już dawno spłaciłem z nadwyżką wszelkie możliwe długi.

- Tylko blefujesz. - Zaśmiała się nerwowo. - Jutro tu wrócisz, żeby opiekować się Jessy i odgrywać rolę cierpiącego męża. Znam cię.

- Nie, nie znasz mnie. Nigdy nie zrobiłaś najmniejszego wysiłku, żeby mnie poznać.

- To wszystko przez tę kobietę! To przez nią! Jest zwykłą, tanią

Nim skończyła, Patrick trzasnął drzwiami i pobiegł do samochodu. Pojechał prosto do szpitala. Z wściekłości bolała go głowa, ale wolał nie analizować swoich myśli i uczuć. Wolał także nie myśleć o strasznym wyznaniu Caroline. Gdyby sobie na to pozwolił, mogłoby to mieć nieprzewidywalne konsekwencje.

Kathleen. Boże, jak bardzo pragnął ją zobaczyć. Teraz, kiedy jedyna rzecz, jaką stworzył bez niej, okazała się złudą, musiał ją zobaczyć. Niestety, Kathleenie należała do niego. Co gorsza, jeśli on, Patrick, dotrzyma obietnicy danej Wade'owi, to nigdy nie będzie mógł z nią być.

Najwyżej w głębi serca. Przyglądając się mokrym od deszczu ulicom Savannah zrozumiał, że tak było i tak pozostanie. To Kathleen jest jego prawdziwą żoną. Ślubowanie, jakie złożyli dawno temu w Irlandii, związało ich na zawsze. Był jej mężem w takim samym stopniu, jakby ślubu udzielił im arcybiskup w największej katedrze kraju.

Szpital już dawno był zamknięty dla odwiedzających, ale Patrick zauważył siostrę, która zajmowała się Wade'em i uprosił ją, żeby go wpuściła.

Wśliznął się do pokoju i usiadł przy łóżku teścia.

Przez kilka minut przyglądał mu się w milczeniu. Wade spał bładym, z kroplami potu na czole, choć już za kilka dni powinien opuścić szpital. Patrick odchylił się do tyłu i wbił wzrok w sufit. Nie był pewien, czy tego dnia będzie przy nim.

W głowie miał zamęt. Jessy, jego słodka Jessy wcale nie jest jego dzieckiem. Jej ojcem jest. Patrick przeczesał nerwowo włosy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nawet nie spytał, kim jest jej ojciec.

Nie mógł usiedzieć na krześle, więc wstał i zaczął nerwowo krążyć po szpitalnym pokoju. Starał się przemyśleć całą sytuację. Gdy w jego życiu pojawił się Wade, uznał to za zrządzenie losu i skorzystał z okazji. Myślał wtedy tylko i wyłącznie o zemście. Później z tego samego powodu zgodził się na ślub z Caroline, powtarzając sobie, że cel uświęca środki. Ileż osób uwierzyło w tę fałszywą zasadę! Czy dlatego spotkała go surowa kara? Czy zrobił pierwszy fałszywy krok wtedy, gdy stracił Kathleen i dziecko? Gdy myśl o zemście zdominowała jego psychikę? Czy wraz z miłością stracił uczciwość i poczucie honoru?

Nie! Dążył przecież do słusznego celu, i jak niewiele brakowało do jego osiągnięcia! Długo na to czekał, ale gdy został w końcu wiceprezesem i członkiem rady nadzorczej LelandFerguson, był bliski sukcesu. Już wcześniej rozmawiał z najważniejszymi członkami rady ze strony firmy Lelanda. Następnego dnia rano miał jechać do Nowego Jorku, by odbyć kilka ważnych rozmów. Realizacja jego propozycji pociągnęłaby za sobą radykalne zmiany w działaniu firmy i Patrickowi zależało na każdym głosie. Musiał wiedzieć, na kogo może liczyć podczas kwartalnego posiedzenia rady nadzorczej. Gdyby mu się udało, ludzie, którzy przez kilkanaście lat zarządzali firmą, nagle zostaliby pozbawieni wszelkiej władzy.

Dlaczego teraz, gdy sukces wydawał się tak bliski, nie odczuwa triumfu? Dlaczego nie ma spokoju?

Musi zobaczyć Kathleen. Podchodząc do drzwi pomyślał, że nie ma do tego prawa. No, tylko na kilka minut. I zaraz wyjdę, dodał w duchu.

Kathleen oddychała równo i spokojnie. Spała. W docierającym przez okno świetle księżycy jej blada cera

wydawała się niemal przezroczysta, dramatycznie kontrastując z ognistymi włosami. Patrick nie mógł nasycić się jej widokiem. Uroda Kathleen pozbawiała go tchu.

Teraz nie widział innych obrażeń poza posiniaczonym i podrapanym ramieniem. Przypuszczał, że jej biodro jest w znacznie gorszym stanie. Zamknął powieki i kilka razy głęboko odetchnął, aby się uspokoić. Przyjdzie jeszcze pora, żeby odnaleźć kierowcę samochodu i jego zleceniodawcę. Obiecał sobie, że tego dopilnuje. Oprócz tego czekało go jeszcze jedno zadanie związane z Kathleen. Miał nadzieję, że uda mu się załatwić tę sprawę podczas wyjazdu do Nowego Jorku.

Nagle poczuł taki ból, jak przy piętnowaniu. Nikt nie skrzywdził jej bardziej od niego. Teraz już nie można było odwrócić biegu wydarzeń. Usiadł w milczeniu na jednym z krzeseł pod ścianą i patrzył na Kathleen. Podobnie jak Jessie, i ona nie należała do niego, ale w głębi serca nie potrafił się z tym pogodzić.

Poprzez strugi deszczu i bryzgi wzburzonych fal Kathleen z trudem dostrzegła jakiś kształt. Jacht albo statek. Najwyraźniej nie był w stanie utrzymać się na powierzchni wody. Wysokie, ciemne fale zakończone białymi grzywaczami waliły w kadłub i wtaczały się na pokład. Automatyczne radio nieustannie nadawało sygnał SOS. Fale radiowe rozchodziły się w nocnych ciemnościach, ale nikt jeszcze nie zareagował na wołanie o ratunek. Kathleen czuła, że ogarnia ją panika. Zadrżała, tak jakby chciała rzucić się pasażerom na pomoc. Zrobiła kilka kroków, ale nagle straciła jacht z oczu. Rozejrzała się wokół, żeby kogoś ostrzec. Tym razem chciała zapobiec najgorszemu.

- Patrick, Patrick!

- Jestem tutaj, *mavourneen*.

Och, jaki cudowny sen! Usłyszała jego niski, pieszczotliwy głos i czuła uspokajające dotknięcie jego dłoni. Nie ma go tu, oczywiście, ale Kathleen nie chciała pozbywać się złudzenia. Musiała mu powiedzieć o swym śnie. Kolejna tragedia. Tym razem statek. Nie, to już kiedyś się jej śniło i wtedy utonęła Brigit. Zwilżyła wargi i spróbowała podnieść powieki. Wydawały się jej takie ciężkie.

Czyżby to na skutek działania leków? Tak, to pewnie te środki uspokajające. Nie chciała ich wziąć, ale lekarz nalegał, a Max go poparł.

- Czy coś cię boli, kochanie?

Tym razem to naprawdę przyjemny sen. Jak miło w środku nocy mieć koło siebie Patricka! Siedział w kącie pokoju i nie spuszczał z niej oczu. Kathleen nie musiała tego sprawdzać, po prostu wiedziała, że tak jest. Nagle się uspokoiła i znów zapadła w sen.

Natychmiast ponownie zobaczyła sztorm i tonący jacht. Zesztywniała z napięcia i strachu.

- Patrick, nie wypływaj na morze. Nie zostawiaj mnie.

- Nigdy cię nie zostawię.

- Sztorm ... Jacht. .. Zaraz utonie.
- To tylko sen, kochanie.
- Nie wypływaj na morze, Patrick. Obiecuj mi.
- Obiecuję.

To nie był sen, przynajmniej częściowo. Oczywiście Patrick na pewno tylko jej się przyśnił. Co za pomysł, że był tutaj w nocy. Marzenie. Kathleen wyjrzała przez szpitalne okno. Czekwała na Lizzie. Znow pomyślała o swym śnie i zmarszczyła brwi. Patrick z pewnością nie spędził nocy przy jej łóżku, ale cała reszta nie była snem, tylko kolejną wizją. Wkrótce jakiś jacht ma zatonać podczas sztormu, a ona nie wie jaki i kiedy. Jak zwykle, wiedziała zbyt mało, aby mogła coś zrobić.

Dalsze rozmyślenia przerwało jej pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, Lizzie weszła do środka.

- Przyniosłaś mi rzeczy na zmianę? - spytała Kathleen.

- A jak myślisz? - Lizzie pokazała jej bawełnianą koszulę nocną. - Masz tu też szczotkę do włosów i inne rzeczy. Bertha pilnowała, co pakuję. Najwyraźniej uważa, że sama zrobiłaby to lepiej. Jeśli nie smakuje ci szpitalny wikt, tylko powiedz, a ona ugotuje co zechcesz. I nie zbliżaj się do innych pacjentów. Nigdy nie wiadomo, na co mogą chorować.

- Bertha pewnie się o mnie martwi - uśmiechnęła się Kathleen. Gdy opuściła nogi na podłogę, poczuła ostry ból w biodrze.

- Wszyscy się martwimy.

Kathleen zebrała się na odwagę i wstała z łóżka.

Przez chwilę czekała, aż szpitalny pokój przestanie wirować. Chwyciła ręką za poręcz łóżka i zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. W końcu zdecydowała, że się nie podda.

- Nie potrzebuję koszuli nocnej, Lizzie. Przyniosłaś mi ubranie?

Lizzie właśnie wyjmowała z torby mydło i pantofle domowe. Wyprostowała się i spojrzała na Kathleen.

- A po co ci ubranie? Tylko mi nie mów, że masz zamiar stąd wyjść.

- Wobec tego nie powiem, ale i tak potrzebuję ubrania. - Kathleen zajrzała do torby. Lizzie już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale przyjaciółka ubiegła ją. - Muszę coś zrobić, Lizzie. Znow miałam wizję.

W głębi swej irlandzkiej duszy Lizzie wierzyła w jej jasnowidztwo. Nigdy o tym nie rozmawiały, ale ona akceptowała to bez zastrzeżeń. Teraz najwyraźniej nie wiedziała, co począć.

- Czy Leo czeka przed szpitalem?

- Tak, ale po to, żeby mnie odwieźć do domu, a nie wozić ciebie Bóg wie gdzie. - Lizzie wpadła w rozdrażnienie. - Ciebie pilnuje policjant na korytarzu.

- Policjant? Po co?

- Pewnie żeby ktoś nie skończył zaczętej wczoraj roboty. A ty co sobie pomyślałaś? Max tego zażądał; zresztą, nie musiał długo przekonywać policji. Zbyt wielu świadków widziało wczorajsze zdarzenie.

- Musimy się go pozbyć. - Kathleen zatrzymała się na środku pokoju i z namysłem wodziła palcem po wargach.

- Jeśli ci się coś stanie, Max z pewnością wyrzuci mnie i Lea. - Lizzie skrzyżowała ręce na piersiach i zrobiła upartą minę. - Nie prosz mnie, żebym ci pomagała w twoich szaleństwach. Jeśli koniecznie chcesz wyjść ze szpitala, mogę zabrać cię stąd do domu.

- Lizzie, musisz mi pomóc.

- Pomóc ci stąd uciec? Nic takiego nie muszę. Gdybyś była łaskawa wytłumaczyć mi, co masz takiego ważnego do załatwienia, może bym ci jakoś pomogła - powiedziała i zmierzyła Kathleen wyzywającym spojrzeniem.

- Dobrze. - Kathleen przysiadła na brzegu łóżka. Miała nadzieję, że w tej pozycji udo będzie mniej bolało.

- Czy zanieziesz mój list Patrickowi?

- Patrickowi O'Connorowi? - Lizzie skrzywiła się z dezaprobatą.

- Tak. Napiszę list, ale chcę, żebyś przekazała go jemu osobiście. Nikomu innemu.

Spojrzała na Lizzie błagalnym wzrokiem. - Wiem, że tego nie pochwalasz, ale to naprawdę bardzo ważne. To wręcz kwestia życia i śmierci.

- Widziałaś we śnie Patricka?

- Nie, widziałam tylko statek tonący podczas sztormu. Nie wiem zresztą, może to był jacht. Co do jednego nie miałam wątpliwości - czułam niebezpieczeństwo i śmierć.

- Co to ma wspólnego z panem O'Connor?

- Nie wiem. - Kathleen zwiesiła głowę i potarła palcami oczy. - Czułam jednak, że to niebezpieczeństwo związane jest jakoś z Patrickiem.

- Dziwne, że nigdy nie wyczuwasz niebezpieczeństw zagrażających tobie - zauważyła Lizzie. W ciągu paru tygodni dwa razy zostałaś ranna.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. - Kathleen spojrzała na przyjaciółkę. - To jednak nie ma nic wspólnego z obecną sytuacją. Ostatnim razem, kiedy otrzymałam takie ostrzeżenie, nic nie zrobiłam i

zginęła Meggy. Patrick kieruje stocznia. Nie chcę, żeby -To znaczy uważam, że muszę go ostrzec. Nie mogę wejść do niego do domu, ale ty możesz. Zrób to dla mnie, Lizzie, proszę!

- Jeśli się zgodzę, to obiecasz mi, że wrócisz do łóżka i wstaniesz dopiero gdy lekarz ci pozwoli?

- Nie, ale pojedę do domu i będę tam odpoczywać, dopóki Max, Leo, Bertha i ty nie uznacie, że mogę zacząć normalnie żyć. - Kathleen uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Przypuszczam, że w razie czego przykujemy cię do łóżka łańcuchami - mruknęła Lizzie.

- Dziękuję, Lizzie.

Patrick już miał wyjść na stację, gdy pokojówka powiedziała mu, że w holu czeka na niego Lizzie Stem. Natychmiast pomyślał, że coś musiało stać się Kathleen i pognął na dół jak szalony. Pokojówka ze zdziwieniem odprowadziła go wzrokiem - on jednak wiedział, że Lizzie nie szukałaby go tutaj bez ważnych przyczyn.

Był pewien, że podjęto odpowiednie środki ostrożności. Wczesnym rankiem pojechał do Maxa i przedyskutował z nim wypadek Kathleen. Dość szybko zgodzili się, że konieczne jest zapewnienie jej ochrony policyjnej do czasu, gdy kryzys minie. Patrick miał nadzieję, że jego podróż do Nowego Jorku przyczyni się do rozwiązania problemu.

Dlaczego więc Lizzie tu przysłała? Jeśli Kathleen wymknęła się spod ochrony, ktoś poniesie konsekwencje.

- Lizzie ...

- Dzień dobry, panie O'Connor. Kathleen mnie tu przysłała.

Patrick z trudem panował nad sobą. Spojrzał na Lizzie pytającym wzrokiem.

- Nic jej się nie stało - zapewniła go i na twarzy Patricka pojawił się wyraz ogromnej ulgi. - Wysłała ze szpitala, ale może się pan nie martwić. Leo zawiózł ją do domu. Przed drzwiami stoi policjant z marsową miną i pilnuje jej przed złoczyńcami. Proszę, to list dla pana. j i

Wziął kopertę i rozerwał ją drżącymi rękami.

"1

Patricku

Jeśli rzeczywiście uważasz, że moje wizje są darem, a nie przekleństwem, to proszę nie wsiadaj na żaden statek. Obiecaj mi to.

Kathleen

Pochylił głowę, przypominając sobie długą noc przy łóżku Kathleen. Wtedy wydawało mu się, że dręczy ją jakiś koszmar. W rzeczywistości znów miała WIZJĘ

- Czy ona wie, że wybieram się w podróż?

- Wyjeżdża pan? - Lizzie zmarszczyła brwi.

- Tak, jadę do Nowego Jorku. Za kilka minut nie zastałabyś mnie w domu.

- Chyba nie płynie pan statkiem?

- Nie, jadę pociągiem. - Patrick wyciągnął z kieszeni zegarek. - Muszę się pospieszyć, bo odjedzie beze mnie.

- Muszę coś powiedzieć Kathleen - przypomniała mu Lizzie, spoglądając na list, który Patrick właśnie chował do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Jeśli się dobrze domyślam, chciała, żeby jej pan coś obiecał.

- Powiedz jej, że nie mam zamiaru płynąć żadnym statkiem. - Patrick spojrział w kierunku drzwi frontowych. - Czy Leo cię tu przywiózł?

- A jak inaczej bym się tutaj znalazła? Nie opanowałam sztuki prowadzenia samochodu i nie mam zamiaru tego robić.

- Oczywiście - powiedział, zastanawiając się, jak dwie tak różne kobiety, jak Kathleen i Lizzie mogły się ze sobą zaprzyjaźnić. - A może moglibyście podwieźć mnie na stację? Chciałbym cię po drodze o coś zapytać.

- I tak przejeżdżamy koło stacji - rzekła powoli Lizzie, przyglądając mu się uważnie. - Myślę, że Leo zgodzi się zatrzymać.

- Wezmę tylko walizkę - powiedział z uśmiechem. Droga na stację musi zająć jakieś dwadzieścia minut, pomyślał Patrick. Siedział z tyłu. Z tego miejsca dobrze widział w lusterku ponurą minę i zaciśnięte zęby Lea. Czy wszyscy przyjaciele Kathleen mną gardzą? - zastanowił się w pewnej chwili. To tylko utrudniało mu zadanie Lizzie tego pytania.

- No, panie O'Connor, o cóż to chciał mnie pan zapytać? - zagadnęła go, tak jakby odczytała jego myśli.

Patrick zebrał się na odwagę, mając nadzieję, że Lizzie nie zrozumie opacznie jego zainteresowania sprawami Kathleen.

- Kathleen powiedziała mi kiedyś, że byłaś pierwszą osobą, którą spotkała u Drummondów po odzyskaniu przytomności - powiedział.

- To prawda.

- I że mieszkaliście w jednym pokoju.

- To też prawda.

- Jej ciąża - Patrick odkasznął i wyjrzał przez okno, przez które widać było ponury, listopadowy

pejzaż. - Właściwie chodzi mi nie o ciążę, tylko sam poród. Kiedy ... kiedy zaczęła rodzić ... czy ...

- Owszem, byłam przy niej. - Lizzie ulitowała się nad nim.

Patrick chciał uchwycić jej wzrok, ale Lizzie patrzyła prosto przed siebie.

- Lizzie, to bardzo ważne.

- Cóż takiego musi pan wiedzieć o tym tragicznym dniu, panie O'Connor? - spytała, odwracając się ku niemu. - Dziecko nie żyje, a Kathleen zdołała jakoś ukryć cierpienia w ciemnym kątku serca. Dlaczego musi pan to wszystko znów wyciągać? Wtedy była na to pora. Gdzie pan wtedy był, panie O'Connor?

- Sam byłem w fatalnym stanie. Myślałem, że Kathleen utonęła i nic mnie poza tym nie obchodziło. Z pewnych powodów muszę jednak wiedzieć, jak to dokładnie wtedy było. Czy widziałas na własne oczy dziecko po urodzeniu?

- Nie. Czy Kathleen nic panu nie powiedziała? Lizzie zmarszczyła brwi. - Pod koniec kazali mi odejść. - Nie rozmawiałem o tym z Kathleen. Nie chcę jej bez potrzeby denerwować.

Dlaczego kazali ci odejść? Czy były jakieś kłopoty?

W oczach Lizzie pojawiła się mgiełka, tak jakby chciała skoncentrować wzrok na dawnej scenie.

- No, dziecko było w pozycji pośladkowej, ale później - Kathleen rodziła prawie dwa dni. Położna w końcu jakoś obróciła dziecko.

- Położna? Czy może pamiętasz jej nazwisko?

- Muldoon. Nazywała się Madge Muldoon. Wie pan, często o tym myślałam. Kathleen miała ciężki poród, ale moja matka rodziła osiem razy i też miała komplikacje, więc nie przyszło mi do głowy, że coś grozi dziecku Kathleen. Wyglądało, jakby mały się uparł i postanowił, że nie ma do czego się spieszyć.

- Ale pod koniec kazali ci wyjść?

- Tak. Koniecznie chcieli ją uspić, a ja się sprzeciwiałam. Pani Parsons - ochmistrzyni

Drummondów nie lubiła, żeby służące jej pyskowały. Kiedy się wszystko skończyło, powiedzieli mi, że dziecko zmarło podczas porodu.

- Skąd więc wiesz, że chłopiec miał ciemne włosy - spytał. I że był do mnie podobny - Po raz tysięczny Patrick wyobraził sobie dziecko, które pojawiło się na świecie dzięki ich miłości, i poczuł ostre ukłucie w sercu.

- Tak mi powiedzieli. Kiedy wróciłam do pokoju, już go nie było. Miałam pilnować Kathleen, dopóki nie dojdzie do siebie. Była w ciężkim stanie i nawet nie miałam czasu zobaczyć dziecka.

- Czy zostało pochowane?

- Patrick, po co chcesz to wiedzieć? - Lizzie na chwilę pochyliła głowę, potem uniosła ją i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Czy dziecko zostało pochowane?

- Nie sądzę. - W oczach Patricka pojawiły się złe błyski. - Kathleen była tylko służącą i nie miała pieniędzy na pogrzeb - dodała pośpiesznie. - Poza tym była nieprzytomna i oprócz mnie nie miała nikogo.

- Co więc się stało z dzieckiem?

- Nie wiem. Nigdy nam nie powiedzieli, co z nim zrobili.

Gdy Patrick wysiadł na stacji, Lizzie przez chwilę przyglądała się, jak przepycha się przez tłum. Była zamysłona. Pytania Patricka zmusiły ją do zastanowienia się nad czymś niewiarygodnym. Sama nie wiedziała, dlaczego nawet rozważa taką ewentualność. Nie mogła jednak stwierdzić, że to absolutnie niemożliwe. Przeciwnie ...

Tamtej nocy też miała pewne podejrzenia, ale ... To było tak dawno. Czyż ktoś mógłby zrobić coś tak okrutnego? Ukraść matce dziecko? Trudno przypuszczać, żeby nawet Parsonsowie zdecydowali się na taki krok ..

A jednak ... wszystkie kawałki układanki pasowały do siebie.

Usłyszała, jak konduktor nakazuje zamknąć drzwi, i w tym momencie Patrick wskoczył do wagonu. Pomyślała, że jej pierwsza ocena Patricka była zapewne słuszna. Nie wyglądał na człowieka, który lekceważy swoje obowiązki i unika odpowiedzialności. Rozległo się głośne sapnięcie lokomotywy i długi gwizd. Pociąg ruszył. Przez okno wagonu Lizzie widziała, jak Patrick wchodzi do przedziału. Kiedy wyjrzał przez okno, pomachali sobie na pożegnanie. Mimo odległości, Lizzie widziała jego posępną i zdeterminowaną minę. Wsiadając do samochodu była zadowolona, że może zostawić całą sprawę w jego rękach.

ROZDZIAŁ 14

Tego samego dnia, kiedy Patrick wyjechał do Nowego Jorku, Max otrzymał list dostarczony do domu przez kuriera. Gdy otworzył go i odczytał listę nazwisk, przeżył prawdziwy szok, ponieważ rzadko mylił się w ocenie ludzi. Teraz czuł wściekłość, nie tylko na los i tę spótkę łajdaków, ale przede wszystkim na Patricka O'Connora.

Jeszcze tego samego dnia rano był u niego w redakcji. Przed wyjazdem z Savannah chciał

wycisnąć z Maxa obietnicę, że otoczy Kathleen ściślejszą ochroną. Wydawał się szczerze przejęty jej losem. W rzeczywistości sprawiał wrażenie człowieka, który jest u kresu wytrzymałości. Miał zaczerwienione oczy i był niezwykle spięty. Najwyraźniej ostatnio niewiele sypiał. Nie powiedział nic wprost, ale Max wyczuwał, iż Patrick wie więcej na temat zamachów na Kathleen, niż gotów jest przyznać. Teraz Max miał w ręku długą listę współników kontrolujących cały pas wzdłuż wybrzeża i było na niej również nazwisko Patricka.

Wstał i włożył płaszcz. Zastanawiał się, czy ukryć tę listę przed Kathleen, czy może przynajmniej usunąć z niej nazwisko Patricka - do chwili, gdy ten będzie miał szansę wszystko wyjaśnić. Oczywiście, jeśli w ogóle jest w stanie. To jednak będzie dość trudne. Kathleen jest zbyt inteligentna, aby dać się nabrać. Zapewne właśnie w tej chwili, zamiast odpoczywać po wypadku, który o mały włos nie zakończył się tragicznie, pracowała nad kolejnym artykułem ze swej serii. Było mało prawdopodobne, aby dała się namówić do przerywania cyklu. Max czuł, że na tym etapie nie ma już prawa chować przed nią ważnych dowodów.

Tak jak się spodziewał, zastał Kathleen na patio, pochyloną nad notatnikiem.

- Proszę, to pewnie cię zainteresuje - powiedział i podał jej list.

- Czy to o tej grupie inwestorów?

Coś w głosie Maxa sprawiło, że natychmiast podniosła głowę. Ponieważ zgodziła się dwa dni zostać w domu, Max wziął jej notatki i postanowił sprawdzić, czy będzie miał więcej szczęścia w poszukiwaniu nazwisk właścicieli. Kathleen spojrzała na niego i odgadła, że odniósł sukces. Poczowała znajomy dreszcz podniecenia, które zawsze ją ogarniało, gdy poszczególne elementy zaczynały układać się w całość. Odłożyła notatnik i wyciągnęła rękę po listę.

- Właśnie pracowałam nad kolejnym artykułem - powiedziała, zerkając na spis nazwisk. - Mam dobre informacje i dowody, że ci ludzie są właścicielami spalonej przędzalni i kilku fabryk odzieżowych przy Mill Street. Wszyscy wiedzą, że zatrudniają nieletnie dziewczęta, ale z powodu sytuacji ekonomicznej udają, że nic się nie dzieje. - Kathleen mówiła z coraz większym podnieceniem. - Ta organizacja sięga poza Savannah. Mają fabryki włókiennicze w Karolinie Północnej. Tam robią tkaniny, przesyłają je do Savannah, gdzie korzystają z niemal niewolniczej siły roboczej i szyją z nich ubrania. Savannah to doskonałe centrum dystrybucji. Stąd mogą wysyłać swoje produkty do wszystkich stanów, a nawet za ocean. Wszystko pięknie i elegancko, tyle że niezgodnie z prawem.

- Bardzo sprytnie - rzucił Max oschle.

- A także kosztem takich nastolatk jak Meggy. Oni wykorzystują te dziewczyny, Max. Nie spoczne, póki nie opiszę tego wszystkiego w gazecie.

- Kathleen, przeczytaj to - poprosił z westchnieniem.

- Nic mnie nie obchodzi, kim są ci ludzie - odpowiedziała, ale posłusznie zaczęła czytać, dodając przy tym:

- Choćby byli nie wiem kim, nie wolno im wykorzystywać pracowników. Nie jestem jeszcze pewna, jakie przepisy w ten sposób naruszają, i będę musiała nad tym popracować.

- Nagle zmarszczyła czoło, jakby coś przykuło jej uwagę, po czym przebiegła wzrokiem pozostałe nazwiska.

Max z ponurą miną przyglądał się jej reakcji. Po chwili Kathleen skończyła, złożyła pedantycznie dokumenty i schowała je do teczki wraz z pozostałymi dowodami.

- Jak udało ci się to zdobyć?

- Skorzystałem z kilku znajomości.

- A więc to pewne informacje?

- Nie mam powodu, żeby w nie wątpić.

- Chyba nie powinnam się dziwić - rzekła półgłosem, wpatrując się w magnolię - ale żeby Patrick! W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dla mnie to też był szok - odrzekł Max. - A także zagadka. Prawdę mówiąc nie wyobrażam sobie, żeby Patrick mógł zgadzać się na złe traktowanie kobiet. Dopóki nie zauważyłem jego nazwiska na tej liście, uważałem go za człowieka honoru.

Bo taki był! I jest! Jak inaczej mogłabym go kochać?

Jak inaczej mogłoby mi na nim zależeć?

- Oprócz Patricka, kogo jeszcze znasz z tej listy?

- Kilka osób z rady nadzorczej Lelanda z Nowego Jorku i Bena Sculleya, bliskiego współpracownika Fergusona. - Max wzruszył ramionami. - Pozostali to szacowni obywatele Savannah.

- Szacowni obywatele! - zawołała z oburzeniem i wstała z leżaka. Wciąż była sztywna i obolała, ale nie mogła długo usiedzieć na jednym miejscu. - Kiedy skończę tę serię, przestanę uchodzić za szacownych obywateli.

- Kathleen - powiedział niespokojnie. - Ci ludzie raz próbowali cię zastraszyć, raz chcieli się ciebie pozbyć. Lepiej uważaj.

- Ale Patrick do nich nie należy. Nie myślisz chyba, że ...

- Nie, nie myślę - odrzekł zdecydowanie. - W istocie ...

- Co?

- Czuję się bardzo niezręcznie, kiedy fakty do siebie nie przystają. Instynkt dziennikarza podpowiada mi, że jeszcze nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi naprawdę. Wiemy, że Patrick jest w jakiś sposób w to wciągnięty. Podejrzewam, że nie wszystko jest tak, jak nam się wydaje.

- Co masz na myśli?

- Gdybym potrafił ci na to odpowiedzieć, nie czułbym się teraz niezręcznie.

Kathleen wyjęła listę z teczek i znów ją przejrzała.

- To, co mówisz, nie ma sensu, Max - rzuciła z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Mamy tu wszystkie nazwiska, czarno na białym. To informacje, na które czekałam. Nie mam zamiaru zwlekać. Pierwszy odcinek będzie gotów na następną niedzielę.

- Patrick jest w Nowym Jorku - poinformował ją Max. - Wyjechał dziś rano. Czy nie chcesz poczekać i posłuchać, co ma do powiedzenia w tej sprawie?

Kathleen pomasaowała biodro. Chciała dać Patrickowi szansę usprawiedliwienia się, choć jeśli istotnie należy do tej kliky, to zupełnie na to nie zasługuje. Jest taki sam jak wszyscy pozostali. Ten artykuł go zniszczy. Chyba że ...

Kathleen zachnęła się w myślach. Nie powinna wymyślać żadnych historyjek. Jako dziennikarka ma obowiązek liczyć się z faktami. Cóż ją może obchodzić, że Patrick będzie skompromitowany w takim samym stopniu, jak pozostali członkowie tej grupy?

- Myślę, że powinniśmy poczekać, dopóki go nie wysłuchamy - zakończył Max i objął ją. - Powiedziałas, że tekst będzie gotów na następną niedzielę. Mamy zatem do dyspozycji jeszcze dziesięć dni. W tym czasie może się wiele wydarzyć.

W Nowym Jorku czekały Patricka liczne spotkania.

Zmusił się do zapomnienia o rozmowie z Lizzie i skoncentrował się na dyskusjach z wybranymi członkami rady nadzorczej LelandFerguson. Przez dwa dni przekonywał ich do swego planu reform. Aby go zrealizować, potrzebował ich poparcia podczas kwartalnego posiedzenia rady nadzorczej. Tym razem rada miała sięwyjątkowo zebrać w Savannah, nie w Nowym Jorku. Kilku członków rady kupiło już sobie letnie domy na wybrzeżu Georgii i Jekyll Island. Inni chętnie zgodzili się pojechać na Południe.

Po raz pierwszy od dnia, kiedy Patrick obmyślił plan wyeliminowania obecnego zarządu firmy, nie mógł się całkowicie skupić na jej realizacji. Był zdenerwowany i chciał wreszcie zająć się

swoimi osobistymi sprawami. Dopiero trzeciego dnia po południu znalazł czas, żeby odwiedzić Edwarda Drummonda.

Ten był wyraźnie zdziwiony jego wizytą. Gdy Patrick odmówił koniaku i cygara, Edward Drummond usiadł wygodnie w fotelu, splótł dłonie na okazałym brzuchu i przyjrzał się gościowi poprzez chmurę tytoniowego dymu.

- A więc przyjaźni się pan z Maxem Rutledgem, tak?

- Tak - potwierdził Patrick. Postanowił, że lepiej będzie nie mówić od razu o Kathleen. Przypuszczał, że nikt tu nie wspomina ze szczególną sympatią ani ciężarnej, niezamężnej dziewczyny z Irlandii, ani okoliczności, jakie zmusiły ją do szukania pomocy u Maxa. - Pan Rutledge sądzi, że pomoże mi pan w rozwiązaniu pewnego problemu.

- Problemu? - Gospodarz wyjął z ust cygaro.

- Tak. Czy w dalszym ciągu pracuje u pana Amelia Parsons?

- Pani Parsons? Tak, oczywiście, ale nie rozumiem ...

- A Herbert Parsons? Czy wciąż jest pańskim szoferem?

- No, tak, ale ... - Edward Drummond zaciągnął się cygarem.

- Wie pan, jestem nim nieco rozczarowany. Kilka lat temu wydawał się odpowiednim kandydatem do prowadzenia garażu, ale teraz obawiam się, że to zadanie nieco go przerasta. Sam nie daje sobie rady ...

To jednak mnie zaskakuje. Cóż może pana obchodzić moja służba, panie O'Connor?

- Bardzo proszę o cierpliwość, panie Drummond - Patrick spojrział mu w oczy. - Chciałbym z nimi porozmawiać, z powodów osobistych. Czy sądzi pan, że to możliwe?

- Hm ...

- Max nie miał wątpliwości, że zechce mi pan pomóc.

- No tak, oczywiście. Skoro jemu na tym zależy ...

Max jest teraz w Georgii, prawda?

- Tak, w Savannah.

- Jak rozumiem, pan również tam mieszka.

- Tak. Jestem wiceprezesem firmy LelandFerguson.

- Teraz sobie przypominam. Czytałem o panu w gazetach. Ostatnio wszedł pan również do zarządu, prawda?

- Tak. A jeśli chodzi o Parsonsów ...

- Tak, tak. Już ich wzywam. - Edward Drummond wstał i podszedł do drzwi gabinetu.

Amelia i Herbert Parsons wyglądali mniej więcej tak, jak sobie ich wyobrażał. Najwyraźniej byli

równie zaskoczeni wezwaniem na rozmowę z kimś obcym, jak Drummond wizytą Patricka. Gdy Patrick ich ujrzał, nie potrafił pohamować gniewu. Z trudem zdobył się na powitalny gest.

Gdy Amelia usłyszała jego nazwisko, wyraźnie się zaniepokoiła.

- Jakiś czas temu moja przyjaciółka pracowała pod pani nadzorem, pani Parsons - zaczął spokojnie Patrick. - Zapewne pamiętacie Kathleen Collins.

Na dźwięk tego nazwiska oboje zamarli.

- Widzę, że mam rację- oświadczył Patrick.

- Ona nie wiedziała, co dla niej jest dobre - odezwał się nagle Herbert. - Odeszła bez uprzedzenia, bez twojej zgody, prawda, mamo? I to na długo przed wygaśnięciem umowy.

- Herbert ...

- Dlaczego właściwie odeszła, Parsons? - spytał Patrick niemal szeptem. Był bliski furii.

- Nie spodziewałem się takiego przebiegu rozmowy - wtrącił zdziwiony gospodarz. - Być może najpierw powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.

A w tym czasie Amelia i Herbert zwieją, pomyślał Patrick. Wykluczone.

- Nie - odrzekł. - Jestem pewien, że byłby pan zaskoczony, gdyby się pan dowiedział o niektórych sprawkach pańskiej służby.

- Być może - odparł tamten spokojnie. - Pamiętam jednak Kathleen Collins. Muszę przyznać, że nie była tu traktowana sprawiedliwie, o czym nie wiedziałem. Wiem jednak z całą pewnością, że później, kiedy się przeniosła do Maxa i Lily, los się do niej uśmiechnął.

- Przyjechałem tu porozmawiać o czymś, co spotkało Kathleen, zanim przeniosła się do państwa Rutledge - ciągnął Patrick. Herbert wyraźnie zbladł.

Patrick był zadowolony, że proste pytania o przyczyny odejścia Kathleen z pracy tak go zaniepokoiły. Oboje, matka i syn, byli przestępcami i Patrick z przyjemnością myślał o tym, że za chwilę ich zdemaskuje. Skupił uwagę na Herbercie.

- Chciałbym wam zadać kilka pytań dotyczących jej dziecka.

- Dziecka? - Edward Drummond osłupiał.

- To jakiś absurd! - wykrzyknęła Amelia.

- Co ma z tym wspólnego jej bachor? - spytał Herbert gwałtownie.

- To była zwykła dziwka i

Patrick chwycił go za koszulę pod szyją, uniósł do góry i wymierzył siarczysty policzek.

- Uważaj, co mówisz, ty draniu! Nie waż mi się nawet wymawiać jej imienia, słyszałeś!? - Potrząsnął mocno Herbertem, po czym rzucił go na krzesło.

- Co to ma znaczyć! - zawołał Edward Drummond i zerwał się na równe nogi.

Patrick milczał, masował kark i starał się uspokoić.

Wiedział, że jeszcze nie skończył z Herbertem. Ten prostak nie był jeszcze na tyle wystraszony, żeby wyznać prawdę.

- Rozmawiałem z Madge Muldoon - powiedział krótko. Tym razem Amelia Parsons złapała się za serce. Doskonale, pomyślał, mamusia zaraz zacznie mówić.

- Nie znam żadnej ... - zaczęła Amelia, ale nie zdążyła dokończyć.

- Nie kłam! - krzyknął Patrick i podszedł do okna, pragnąc być od nich jak najdalej. Co za dranie! Jak ludzie mogą tak nisko upaść?

- Dobrze wiem, że Kathleen urodziła zdrowe dziecko - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Madge przyznała się do wszystkiego. Nie zna tylko nazwiska i adresu rodziny, której sprzedaliście dziecko.

- To niesłychane! - Edward Drummond był wyraźnie zaszokowany. - Herbert, pani Parsons, proszę powiedzieć temu panu, że w tym domu nikt nie zajmuje się takim procederem.

Doprawdy, panie O'Connor, mimo próśb Maxa nie mogę się zgodzić, żeby ...

- Przykro mi, że przynoszę panu złe wieści, panie Drummond - powiedział Patrick, patrząc na Amelię. - Czy mam powiedzieć więcej, pani Parsons, czy może już teraz poda mi pani nazwisko i adres rodziny, która kupiła mojego syna?

- Pana syna?!

- Tak, mojego syna. Kathleen była moją narzeczoną. - Patrick wskazał na Herberta.

- On od razu mnie poznał, prawda, Herbert? Zrobiłeś wszystko, żeby Kathleen nie miała do kogo zwrócić się po pomoc, kiedy wreszcie mogła sama pojechać do Lelanda i spytać, co się ze mną stało. Była piękna, młoda, nie miała pieniędzy ani przyjaciół. Chciałeś ją, ale bez dziecka - dokończył czując, jak wzbiera w nim nowa fala gniewu.

- Pani Parsons ... Herbert ... - Edward Drummond zmierzył ich surowym spojrzeniem. - Czy to prawda?

- Radzę się zastanowić - dodał spokojnie Patrick. - Zanim zaprzeczycie, powinniście wiedzieć, że Madge prowadzi dokładny rejestr wszystkich odebranych porodów. Narodziny mojego syna zostały odnotowane pod datą 7 listopada 1927 roku. Urodził się zdrowy i cały. Zdumiewające, ale na metryce jest imię ojca, bo podczas porodu Kathleen mnie wołała.

- Patrick na sekundę przerwał, bo ogarnęło go wzruszenie.

- Madge nie interesowało, co zrobicie z dzieckiem, które odebrała, ale jest dostatecznie sprytna,

żeby dbać o swoją własną skórę.

- Powtarzam - nalegał gospodarz. - Czy to prawda?

- Chcę tylko nazwisko - powiedział Patrick. - Nie mam zamiaru wplątywać w to policji, choć zasługujecie na kilka lat za kratkami. - Urwał i zerknął na Drummonda. - To pan zdecyduje, jak ich ukarać, ja chcę jedynie informacji. Jeśli będę zmuszony, wszystko opiszę w prasie. Pana niedbałość również. Proszę więc o nazwisko i adres, i już mnie tu nie ma.

- Ja ... nie wiem, co mam powiedzieć - wyjąkał Edward Drummond.

- Rutherford - wymamrotała Amelia.

- Pełne nazwisko i adres - zażądał Patrick. Czuł, jak mocniej zabiło mu serce.

- Charles Rutherford - powiedziała Amelia, nie bacząc na protesty syna. - Mieszkają na Long Island.

Patrick bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Odnalezienie posiadłości Rutherfordów zajęło mu tylko parę godzin, ale musiał czekać dwa dni, nim zdołał zobaczyć chłopca. Jak we śnie Kathleen, wysoka brama z kutego żelaza strzegła dostępu do rezydencji. Ten dom sprawiał wrażenie więzienia o zaostrzonym rygorze. Czekać długie godziny, żeby zobaczyć syna, Patrick opracował plan działania.

W rzeczywistości wszystko okazało się dziecinnie łatwe.

Dzieckiem opiekowała się guwernantka, która z daleka wydawała się bardzo sympatyczna. Zobaczył ją, gdy wyjeżdżała gdzieś z dzieckiem. Oczywiście, pojechał za nimi. Gdy wysiedli z długiego, czarnego cadillaca, którym kierował szofer, guwernantka chwyciła chłopca za rękę i puściła go dopiero wtedy, gdy byli bezpieczni w parku.

Charles Rutherford i jego żona nie żyli. Oboje zmarli rok wcześniej w Afryce, gdy podczas safari zarazili się cholerą. Z całej amerykańsko-brytyjskiej wyprawy przeżyły wtedy tylko dwie osoby. Patrick przypomniał sobie, że czytał o tej tragedii w gazetach.

Osierocili pięcioletniego synka, Camerona.

Nie, to nie jest ich syn. On jest mój i Kathleen. Nasze skradzione dziecko. Boże, dobry Boże!

Patrick wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwiczki i wszedł do parku. Usiadł na tej samej ławce co guwernantka. Kobieta przestała na chwilę robić na drutach i spojrzała na niego z ukosa. Patrick uklonił się jej. Starał się zachowywać przyjaźnie, lecz z pewnym dystansem, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zresztą, kobieta nie powinna się nadmiernie denerwować, skoro niedaleko siedział w samochodzie kierowca. Patrick rozłożył gazetę i udawał, że czyta.

Minęła minuta.

- Doby, Doby, patrz!

Patrick uchylił nieco gazetę i popatrzył, jak jego synek wymachuje dziecięcym kijem baseballowym.

- Doskonale ci idzie, Cam - powiedziała z uśmiechem guwernantka. - Uważaj tylko, żebyś się nie przewrócił i nie ubrudził spodni.

- Kiedyś będę grał w drużynie Jankesów!

Patrick zaśmiał się krótko. Miał nadzieję, że to wypadło naturalnie.

- Zdaje się, że oto rośnie drugi Babe Ruth! '- powiedział do "Doby".

- Och, dzisiaj jest baseballistą, jutro będzie chciał być strażakiem, a pojutrze policjantem. - Kobieta nie zdradzała niechęci do rozmowy. - Jeszcze nie widziałam tak energicznego i pełnego życia dziecka.

- Rodzice z pewnością są z niego dumni.

- O, to prawdziwe nieszczęście - westchnęła i pokręciła głową. - Biedak jest sierotą. Jego rodzice umarli gdzieś w Afryce. Pojechali na safari i koniec! Złapali jakąś egzotyczną chorobę i przenieśli się do nieba.

- To straszne - mruknął Patrick. Dziękował Bogu, że guwernantka okazała się osobą gadatliwą. Po tej wrzawie, jaką spowodowało porwanie syna Lindbergha, wcale nie byłby zdziwiony, gdyby natychmiast chwyciła dziecko i uciekła do samochodu.

- Niestety, tak się nieszczęśliwie złożyło. Chłopiec nie ma żadnych krewnych. Teraz jest pod opieką stryjecznego dziadka.

- Doby! - zniecierpliwził się chłopiec. - Chodź, rzuć mi kilka piłek.

Patrick złożył gazetę.

- Jeśli pani pozwoli, pogram z nim chwilę - zaproponował z uśmiechem.

- Och, mały będzie zachwycony. Zbyt rzadko kontaktuje się z dorosłymi mężczyznami. Cam! - krzyknęła. - Ten pan z tobą zagra.

Cameron zamilkł i nieśmiało patrzył, jak zbliża się do niego wysoki nieznajomy. Ten szedł powoli, myśląc o Kathleen i o wszystkim, co utracili, po czym zatrzymał się w odległości dwóch metrów od chłopca. Ojciec i syn popatrzyli na siebie z zaciekawieniem.

Jak na sześciolatka, był dosyć wysoki, szczupły i dobrze zbudowany. Patrick patrzył na niego z prawdziwą dumą. Ciemne włosy, takie same jak jego, były zaczesane do góry, na nosie pstrzyły się

piegi. Po chwili chłopiec pokonał nieśmiałość i spojrzał na Patricka. Miał zielone oczy, takie jak Kathleen i jak irlandzkie łąki.

Patrick przełknął ślinę i podał mu rękę. Cameron uśmiechnął się i też uniósł dłoń.

- Dzień dobry, jestem Cameron.

- Cześć, Cameron - odpowiedział Patrick, choć w środku poczuł gwahowny wstrząs.

W parę godzin po pożegnaniu z synem Patrick wsiadł do nocnego pociągu do Savannah. Następnego dnia zamierzał od razu pójść do adwokata. Śmierć Rutherfordów i odnalezienie metryki bardzo ułatwiły sytuację. Miał nadzieję, że uda mu się przekonać sąd, by nakazał powrót dziecka do matki.

Podczas jazdy do domu usiłował przemyśleć sytuację, w jakiej się znalazł. Nie był pewien, czy przed rozmową z prawnikiem powinien cokolwiek mówić Kathleen. W rzeczywistości rozsądzała go radość. Nie wiedział, czy zdoła się powstrzymać, by prosto ze stacji nie pognać na Oglethorpe Square i wyznać Kathleen, że ich syn żyje.

To jednak musi poczekać. Z radością wywołaną odnalezieniem Camerona mieszał się ból spowodowany wiadomością o prawdziwym pochodzeniu Jessy. Zdrada Caroline sprawiła, że nie czuł do niej nic prócz niechęci i pogardy. Zapewne powinien podobnie myśleć o Fergusonie, ale wiedział, że ten kierował się przede wszystkim ojcowską troską.

W Savannah kobieta z nieślubnym dzieckiem spotkałaby się z powszechnym potępieniem, nawet w środowisku ludzi zamożnych. Wade z pewnością chciał oszczędzić córce tego losu. W przeciwieństwie do nieszczęsnej Kathleen, Caroline miała obrońcę.

No i Jessy. Po raz pierwszy od dnia, kiedy dowiedział się prawdy, zastanowił się nad swoimi uczuciami do Jessy. Wyobraził sobie jej wielkie, ciemne oczy i drobną buzię, zazwyczaj tak poważną i uroczystą. Wzruszenie ścisnęło mu gardło i zrozumiał, że niezależnie od wszystkiego Jessy zawsze będzie jego córeczką. Kochał ją, a ona należała do niego. Gdy dojechał do Savannah, był już spokojny. Od wielu dni nie czuł się równie dobrze.

Stracił dobry humor dopiero gdy taksówka skręciła w ulicę prowadzącą do ich domu. Wade zbudował tę willę zgodnie z zaleceniami Caroline. Patrick nie lubił tu wracać, nigdy nie czuł się tu jak u siebie. Gdy jednak zobaczył na werandzie obcych ludzi, zapomniał o ponurym nastroju. W parę sekund później dostrzegł na podejździe dwa wozy policyjne.

Zapłacił kierowcy, wysiadł i szybko ruszył w stronę domu. Nim zdążył zadzwonić, na werandzie pojawiła się służąca. Była wyraźnie zadowolona z jego widoku.

- Och, dzięki Bogu, że już pan wrócił. Nie wiedzieliśmy, którym pociągiem pan przyjedzie, inaczej.

- Co się stało? - przerwał jej, spoglądając na dwóch policjantów stojących przy barierce. Jednego z nich znał. - Sierżancie McPherson, co się tu dzieje?

Emma zniknęła w przedpokoju. McPherson kręcił czapkę w dłoniach i umykał wzrokiem w bok.

- Panie O'Connor, obawiam się, że przynoszę złe wieści. Może lepiej niech pan wejdzie do domu i usiądzie. Patrick poczuł, jak ogarnia go strach. Jessie! Boże, żeby to tylko nie dotyczyło Jessie!

- Na litość boską, proszę mi wreszcie powiedzieć, co się stało!

- Pana żona ...

- Caroline? - Patrick spoglądał na zmianę na McPhersona i drugiego policjanta.

- Co z nią?

- Ona ... - McPherson urwał i odkaszlnął. - Przykro mi, proszę pana. Stało się coś najgorszego. Na morzu był sztorm. Jacht... - McPherson wbił wzrok w podłogę. - No, wie pan, jacht Duncana Wheelera.

Patrick przypomniał sobie list Kathleen.

- Co to znaczy - coś najgorszego, sierżancie?

- Pana żona utonęła.

26 listopada 1933 r.

Dzisiaj odbył się pogrzeb Caroline O 'Connor, która w oczach miasta była skompromitowana. Zginęła bawiąc się z kochankiem na jego jachcie. Oczywiście, teraz rozumiem swoją wizję. To nie dotyczyło Patricka, tylko jego żony.

Była fatalna pogoda, bez przerwy sia,piło. Mimo to na pogrzebie pojawiła się cała śmietanka towarzyska Savannah oraz liczni ciekawscy. Szczerze współczułam Patrickowi. Wade Ferguson jeszcze nie wyszedł ze szpitala, zatem on i Jessie byli jedynymi przedstawicielami rodziny. Patrick stał nad grobem z kamienną twarzą. Ożywił się jedynie wtedy, gdy mówił do Jessie. Czy tylko ja potrafiłam odczytać jego prawdziwy nastrój?

Na szczęście, ceremonia pogrzebowa była bardzo krótka. Na sygnał pastora Patrick rzucił na trumnę czerwony różę. Następnie przyszła kolej Jessie. Patrick pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Jessie kiwnęła głową i rzuciła różę tak samo jak ojciec. Wszyscy, nawet cynicy, przyglądali się temu ze wzruszeniem. Gdy Patrick wziął matkę na ręce i przytulił do siebie, miałam ochotę płakać. Gdy spojrział na mnie ponad głowę córreczki, w jego oczach nie mogłam niczego odczytać. Wydał mi się człowiekiem przeklętym przez los.

Obudziła się w środku nocy. Minęło kilka sekund, nim oprzytomniała. Słyszała, jak zegar ścienny wybija drugą. Myślała tylko o Patricku. Miała wrażenie, że całym swoim jestestwem wyczuwa jego obecność, uczucia i pragnienia. Wydawał się jej równie realny jak wtedy, gdy wyobrażała sobie, że siedzi przy jej szpitalnym łóżku. Przez chwilę leżała nieruchomo, czekając; aż instynkt podpowie jej, co robić. Teraz nie pamiętała o nieporozumieniach, pretensjach i podejrzeniach ...

Czuła tylko, jak ciągnie ją do niego jakaś nadprzyrodzona siła ...

Powoli wstała z łóżka.

Nawet nie zapaliła światła. Poruszała się w ciemnościach niczym lunatyczka. Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej płaszcz. Jej ruchy były powolne, lecz precyzyjne, jakby zaplanowane przez choreografa. Narzuciła płaszcz na białą, nocną koszulę i potarła policzkiem o kołnierz ze srebrnego lisa. Ukłękła na podłodze i włożyła pantofle z satyny. Nie było to stosowne obuwie na listopadową noc. Pogoda się poprawiła i między chmurami widać było księżyc w pełni, panował jednak przenikliwy chłód. Miała wrażenie, że słyszy głos Patricka.

- Już idę - szepnęła.

Co to może oznaczać? Patrick wbił wzrok w dno szklanki, po czym szybko wypił kilka łyków palącej, irlandzkiej whisky. Morze znów wkroczyło w jego życie. Czyżby był przeklęty? Poczuł ciarki na grzbiecie i kolejny raz napełnił alkoholem szklankę. Podeszedł do okna i zapatrzył się w oświetlony księżycem krajobraz.

Kathleen. Nigdy nie potrzebował jej tak bardzo jak tej nocy, i nigdy spotkanie z nią nie wydawało mu się bardziej niemożliwe niż teraz, gdy Caroline nie żyła. Czuł odrętwienie i pustkę. Powinien być wściekły albo przynajmniej zażenowany, ponieważ teraz wszyscy już wiedzieli, że ich małżeństwo było farsą. Albo też powinien zastanawiać się, jak ułożyć sobie życie.

Zamiast tego czuł w sercu pustkę. Był w stanie myśleć tylko o Kathleen.

Nagle między drzewami rosnącymi wzdłuż podjazdu zamigotało światło. Patrick powoli postawił szklankę na parapecie. Do domu zbliżał się jakiś samochód. Światła reflektorów omiotły dom i trawnik, po czym zgasły. Samochód zatrzymał się obok werandy.

Czuł, że serce zamiera mu w piersiach, gdy z niedowierzaniem patrzył, jak z samochodu wysiada Kathleen i podchodzi do drzwi. W świetle księżyca wyglądała niczym anioł w bieli. Poczuł, że radość rozsadza mu serce.

Kathleen nie zatrzymała się przy drzwiach, lecz bez wahania weszła do środka. Szła z taką pewnością, jakby ktoś prowadził ją za rękę. Przeszła przez hol i skierowała się w stronę schodów na

górze. W ciemnym domu panowała głęboka cisza. Patrick nagle zastanowił się, dlaczego właściwie nie zamknął wieczorem drzwi? Czyżby podświadomie oczekiwał na przyjazd Kathleen? Odwrócił się plecami do okna i czekał, aż piękna zjawą pojawi się w jego sypialni.

Kathleen weszła na piętro i bez wahania skierowała się do jego pokoju. Szła dotykając ręką ściany, jakby szukała drogi.

Zatrzymała się w progu i spojrzała mu prosto w oczy.

W pokoju było ciemno, ale nie potrzebowała światła, aby wejrzeć w serce jedyne go mężczyzny, jakiego w życiu kochała. Zdjęła płaszcz, rzuciła go na podłogę i podeszła do Patricka.

Oboje w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Wiedziała, że go zaskoczyła, ale decydując się na przyjście do niego odrzuciła kryteria dobra i zła. Gdy chodziło o Patricka, zawsze była bezradna. Teraz czuła, że i on jej pragnie. Miał na sobie tylko ciemny, rozpięty szlafrok. W świetle księżycy jego klatka piersiowa wyglądała jak wykuta z marmuru, twarda i urzekająca.

- Kathleen ... - szepnął. - Wszystko się zmieniło ... Moje życie ... *Jessy* ... Są pewne sprawy ...

Kathleen położyła mu palec na wargach.

- Potrzebuję cię, Kathleen.

- Wiem. Obudziłam się i usłyszałam twój głos

Patrick musiał wiedzieć, co chciała mu zaofiarować. Zbliżył się do niej, jakby pod działaniem tajemnej siły, której nikt nie jest w stanie się oprzeć.

Miał wrażenie, że śni. Kathleen uniosła ręce, rozpięta guziczki nocnej koszuli i, nie spuszczać z niego wzroku, wysunęła ręce z rękawów. Koszula spoczęła na podłodze, wokół jej bosych stóp. Stała przed nim oświetlona

światłem księżycy. Patrick wstrzymał oddech. Była teraz znacznie piękniejsza niż owa siedemnastoletnia dziewczyna, która ponad sześć lat temu za zawsze zawładnęła jego sercem i duszą.

- Wszyscy uznaliby to za skandal - szepnął z miłością w głosie, głaszcząc jej połyskujące włosy.

- Przeżyłam już skandal.

- To była moja wina. - Patrick zamknął na chwilę oczy i kurczowo zacisnął palce na jej włosach. -

Tak samo teraz. Kathleen, nie chciałbym cię znowu skrzywdzić.

- Wiem - powiedziała. Uniosła ręce i zsunęła szlafrok z jego ramion. - Dzisiaj ... to mój wybór.

Skrzywdzić? Czyż taka rozkosz mogła być krzywdą?

Teraz wreszcie mogli nasycić głód i pragnienia, które narastały w nich od lat. Pocałowali się czule, jednocześnie muskając dłońmi. Patrick przytulił się do niej jak mężczyzna, który zbyt długo był

samotny. Kathleen otworzyła się na jego spotkanie z taką samą zmysłową radością, jak przed laty.

Po chwili położył ją na łóżku. Uśmiechnęła się i otwartymi ustami musnęła jego szyję. Na jego policzkach czuła twarde zarost, ale kochała każdy kawałek jego skóry, którego mogła teraz dotknąć.

Kochali się już ponad sześć lat temu, ale wtedy Kathleen nawet nie zdawała sobie sprawy, jak mało wie o miłości. Teraz Patrick kochał ją w sposób, który był dla niej niespodzianką, całował ją tam, gdzie nikt jeszcze jej nie dotykał. Świat wirował wokół niej nieprzytomnie i poddała się ogarniającej ją fali rozkoszy. Chciała się nią nacieszyć, żeby mieć co wspominać, gdy Patrick znów zniknie z jej życia.

Nie miała wątpliwości, że ta noc się nie powtórzy.

Pragnęła takiego samego spełnienia, jakie pamiętała sprzed sześciu laty, i los okazał się dla niej szczodry.

Później leżeli obok siebie, całując się i pieszcząc.

Cieszyli się swoją bliskością, nie myśląc o poczuciu winy. Kathleen wodziła palcami po jego skórze i w pewnym momencie wyczuła na jego ramieniu szramę.

- Jeszcze jedna blizna - szepnęła.

- To od stalowej liny. Pękła.

- Gdzie?

- Jeszcze u Lelanda, w Nowym Jorku.

Kathleen uniosła się nieco i pocałowała bliznę, a potem pogłaskała go po głowie, usiłując przygładzić sterczące włosy. Natychmiast podskoczyły, uparte jak Patrick.

- Tam poznałem Fergusona - mruknął.

- W Nowym Jorku? U Lelanda?

- Aha. Przechodził pod nadmiernie obciążoną platformą i akurat w tym momencie pękła lina.

Niewiele brakowało, a byłoby po nim.

- Ty go uratowałeś?

- Byłem najbliżej.

- I dlatego zaproponował ci pracę?

- Czuł się zobowiązany.

- A ty skorzystałeś z okazji.

- Nie miałem powodów, żeby siedzieć w Nowym Jorku - powiedział. - Przynajmniej tak wtedy myślałem.

- I w ten sposób poznałeś również Caroline? - Kathleen cofnęła rękę.

- Tak - Patrick położył się na wznak, wsunął ręce pod głowę i wbił wzrok w sufit.

- Dlaczego ożeniłeś się z nią?

- Wade tego chciał - odrzekł po chwili milczenia.

- Dlaczego?

- Dowiedziałem się dopiero niedawno. - Patrick gorzko się zaśmiał. - Caroline była w ciąży i potrzebowała kogoś, kto dałby dziecku nazwisko. .

Kathleen nie odpowiedziała. Patrick spojrzał na nią. Leżała oparta na ręce i bacznie mu się przyglądała.

- Nie wydajesz się tym zaskoczona - mruknął. Caroline zresztą twierdziła, że ci to powiedziała. Nie mogłem uwierzyć, że była do tego zdolna. Potwornie się pokłóciliśmy. - Zmarszczył brwi. - To była nasza ostatnia rozmowa. Rano wyjechałem do Nowego Jorku, a ona poszła do kochanka.

- Bardzo ci współczuję - szepnęła po chwili.

- Ciekawe, czy tylko ja nie znałem prawdy o Jessy?

- Caroline powiedziała to tylko dlatego, żeby mi zrobić przykrość - oświadczyła Kathleen. - Z pewnością nie opowiadała o tym wszystkim znajomym. Poza tym - pochyliła się i pocałowała go w policzek - przecież i tak kochasz Jessy.

- To prawda.

- Masz szczęście, że zostanie z tobą. Chciałabym tylko ... - Nie dokończyła zdania.

Patrick wiedział, że myśli o ich dziecku. Nie pozostały jej nawet wspomnienia, przecież nigdy go nie widziała. Mogła polegać tylko na informacjach z drugiej ręki. Drobne ciało, ciemna czuprynka i maleńkie serce, które zbyt szybko przestało bić.

Gorąco pragnął powiedzieć jej o Cameronie, ale bał się tego. Jeszcze wiele spraw mogło przybrać zły obrót i Kathleen przeżyłaby po raz drugi tę samą tragedię. Co będzie, jeśli sąd zadecyduje przeciw nim? Graniczyłoby z cudem, gdyby po sześciu latach Cameron bez trudu wrócił do rodziców. Patrick nie chciał, aby Kathleen znów cierpiała.

Nagle z końca korytarza dobiegł ich hałas. Usłyszeli cichy głos niani i płacz Jessy. Wołała ojca. Patrick zerwał się z łóżka i sięgnął po szlafrok.

- Jessy ma pewnie złe sny - powiedział. - Jest z nią niania.

- Ona potrzebuje ciebie - przynagliła go Kathleen. Niania to nie tata.

- Zaraz wrócę - obiecał. Serce przepęniała mu miłość do Kathleen. - Jessy miała ciężki dzień. -

Wiem. Idź już.

Gdy tylko Patrick wyszedł z sypialni, Kathleen wstała z łóżka. Jej nocna koszula leżała na podłodze pod oknem. Podniosła ją i włożyła. Odgarnęła włosy do tyłu i zapięła guziki. Była wciąż rozgrzana i podniecona. Pomyślała, że popełniła szaleństwo, ale wcale tego nie żałowała.

Płaszcz leżał dokładnie tam, gdzie go rzuciła. Ubrała się szybko i przez chwilę nasłuchiwała, czy nie dotrze do niej głos Patricka. W domu panowała głęboka cisza, tak jakby nikogo nie było.

Oprócz ducha Caroline.

ROZDZIAŁ 15

Patrick z piskiem opon zaparkował przed redakcją "Sentinela" i szybko wysiadł z samochodu. Minęły już trzy dni, odkąd usiłował skontaktować się z Kathleen, nie udało mu się jednak przebić przez barierę, jaką wokół niej ustawili ludzie Maxa Rutledge'a. Po raz pierwszy od dnia, kiedy postawił stopę na amerykańskiej ziemi, jego życie mogło się wreszcie ułożyć, gdyby tylko Kathleen zechciała je z nim dzielić. Musieliby pokonać pewne trudności, ale byłiby razem, tak jak chciało przeznaczenie. Dlaczego zaczęła go unikać, i to po tym, gdy brama do raju stanęła przed nimi otworem?

Tak właśnie Patrick myślał o ich spotkaniu w nocy po pogrzebie Caroline. Zżerało go poczucie winy i życiowej klęski i właśnie w tym momencie przysłała do niego Kathleen.

Dlaczego teraz nie chce go widzieć?

Kathleen udaje się mnie unikać, ale Rutledge'owi nie przyjdzie to tak łatwo, pomyślał i podszedł do recepcji. - Gdzie jest gabinet pana Rutledge'a? Muszę się z nim zobaczyć.

- Czy jest pan umówiony? - Recepcjonistka wstała i spojrzała na niego uważnie.

- Nie. Proszę mu powiedzieć, że przyszedł O'Connor i że tym razem muszę z nim porozmawiać. Nie zabiorę mu wiele czasu, ale nie opuszczę tego budynku, dopóki nie zamienię z nim kilku słów.

- Hm ...

- Mówię serio - zapewnił Patrick, usiłując zapanować nad agresywnym tonem. - Jestem jego znajomym - dodał, zmuszając się do uśmiechu.

- Proszę tu poczekać.

Ani mu się śniło. Gdy tylko kobieta zniknęła za drzwiami, natychmiast ruszył jej śladem. Postanowił, że tym razem nie da się spławić.

- Nie mogę dłużej odkładać tej rozmowy, Kathleen - powiedział Max. - Patrick nie należy do ludzi, którzy tolerują takie manewry. Czy zdecydowałaś już?

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz - odparł, usiadł na krześle przed jej biurkiem i przez chwilę mierzył ją wzrokiem. - Chodzi mi o twój cykl i przynależność Patricka do grupy inwestorów.

- Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy. Kathleen zwiesiła głowę i potarła palcami nos.

- Nie mam zamiaru odkładać publikacji. W niedzielę ukaże się kolejny artykuł, tak jak planowaliśmy. Czy sądziłaś, że zmienię zdanie?

- Nie, nie podejrzewałem cię o to. - Max pokręcił głową. Był czymś zmartwiony. - Nie wiem jednak, czy warto ... Chodzi mi o ciebie i twoje szczęście. Twój artykuł zniszczy Patricka, przynajmniej w Savannah. Może byś przekazała swoje materiały innemu dziennikarzowi, który opíše tę sprawę? Niech kto inny ...

- Wykona brudną robotę? Nie mogę się na to zgodzić, Max. Mam zamiar ...

Nagle w progu stanął Patrick. Zignorował Maxa i patrzył tylko na Kathleen.

- No, teraz wreszcie porozmawiamy - oświadczył, zamykając za sobą drzwi. - Możemy porozmawiać w cztery oczy lub w obecności Maxa, ale będziemy rozmawiać, Kathleen.

- Patrick? - Kathleen powoli wstała z krzesła.

- O' Connor? - Max wstał i na próżno usiłował go powstrzymać. - Może przejdziemy do mojego gabinetu? Możemy tam porozmawiać.

- Nie. - Patrick zablokował drzwi. - Z przyjemnością później z panem porozmawiam. Miałem taki

zamiar. Najpierw jednak Kathleen musi mi coś wyjaśnić. - Niczego nie muszę ci wyjaśniać!

- Owszem. Jak to ma się odbyć, *mavourneen*? Czy omówimy nasze problemy w obecności Maxa, czy też na osobności? Wybieraj.

Patrick w napięciu czekał na odpowiedź. Kathleen przyglądała mu się, czując głód, którego nic nie mogło nasycić. Miała nadzieję, że jej serce zaraz się uspokoi. W rozpiętej koszuli i rozluźnionym krawacie tak przypominał dZentelmenów z Południa, którzy często odwiedzali redakcję, jak pantera przypomina domowego kota. Miał trochę za długie włosy, był zbyt mocno opalony, a Jego oczy ...

- Słuchaj, O'Connor, nie możesz się tak zachowywać. Pamiętaj, że Kathleen ostatnio wiele przeżyła.

- Nieszczęście może się łatwo zdarzyć ponownie - wybuchnął gwałtownie Patrick, mierząc Maxa ostrym spojrzeniem.

- Niech to diabli, Rutledge! Przecież miał pan jej pilnować.

- I to właśnie robię - odparł Max. - Leo jest zawsze przy niej poza domem i redakcją.

- Zawsze? - spytał Patrick słodkim głosem.

- Patrick! - Kathleen spróbowała go powstrzymać.

- Tak, zawsze - z naciskiem potwierdził Max.

- A trzy dni temu? Czy może Leo siedział na tylnym siedzeniu, kiedy Kathleen przyjechała do mnie w środku nocy?

- Przyjechała do pańskiego domu? - Max spojrzał pytająco na Kathleen.

- Patrick, jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, to wyjdę stąd i już nigdy nie będę z tobą rozmawiać - ostrzegła go lodowatym tonem.

Patrick czuł wściekłość, ale był bezradny. Odwrócił się i podszedł do okna.

- O co ci właściwie chodzi, Kathleen? Co próbujesz ze mną zrobić? - powiedział z takim bólem, że Max zmarszczył brwi i spojrzał na Kathleen.

- Mam wrażenie, że biorę udział w jakimś przedstawieniu i tylko ja nie znam tekstu - oznajmił z irytacją.

- Patrick powinien był ugryźć się w język - rzuciła Kathleen, nerwowo kręcąc w palcach ołówki.

- Czy pojechałaś do niego sama w środku nocy?

- Tak.

- Po dwóch zamachach na życie? - Max nie wierzył własnym uszom.

- Patrick ma rację. - Wzruszyła ramionami. - O tym problemie muszę z nim sama porozmawiać.

- Mogę tu zostać, Kathleen. Wystarczy, że powiesz jedno słowo.

- Nic jej nie grozi, Rutledge - wtrącił Patrick stanowczym tonem. - Masz na to moje słowo.

- Kathleen? - Max spojrział na nią pytająco.

- Niech będzie, Max. Kathleen rzuciła ołówek na biurko, ciężko westchnęła i opadła na krzesło. - Zostaw nas samych, bardzo cię proszę.

Gdy Max wyszedł i zamknął drzwi, Kathleen wskazała Patrickowi krzesło.

- Proszę, siadaj- zaprosiła go chłodnym tonem. Patrick usiadł, założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu. Przyglądał się jej tak, jakby zastanawiał się nad jakąś łamigłówką. Kathleen pierwsza odwróciła wzrok.

- Dlaczego, Kathleen? - spytał Patrick.

- Dlaczego cię unikam?

- Tak. Dlaczego oddałaś mi się, jeśli nie traktowałaś tego poważnie? Dlaczego wymknęłaś się niczym złodziej? Odpowiedz mi, bo oszaleję. - Nagle zerwał się, z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Boże, przecież przyszłaś do mnie wtedy, kiedy najbardziej cię potrzebowałem. Spełniły się moje marzenia. Myślałem ... Myślałem, że to miało znaczyć, że zaczniemy od nowa, że w końcu ...

- Nie miałam prawa przychodzić do ciebie - powiedziała cicho. - Twoja żona została pochowana zaledwie parę godzin wcześniej, a ja już byłam w twoim łóżku. Nigdy nie powinnam była tego zrobić.

Dlaczego jednak to zrobiłam? - powtarzała w myślach, nie spuszczając z niego wzroku. Wiedząc, jakim stałeś się człowiekiem, jak mogłam to zrobić? Skoro wiedziałam, że podeptałeś wszystkie zasady przyzwoitości i sprawiedliwości, w które kiedyś wierzyliśmy oboje, dlaczego poszłam do ciebie? Czy to nie mówi czegoś o moich zasadach?

- Postąpiłam niesłusznie - powiedziała na głos, patrząc na swoje ręce.

- Nie mów tak, Kathleen. To, co zrobiliśmy, było dobre i słuszne. To była najlepsza rzecz, jaka może wydarzyć się między dwojgiem ludzi. Kocham cię i ..

- Przestań! - Kathleen wstała i zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

- Co?

- Muszę ci coś powiedzieć - oświadczyła, zbierając porozrzucane na biurku dokumenty.

Przymknęła na sekundę powieki i zebrała się na odwagę. - Wiem o wszystkim, Patrick.

W milczeniu czekał, co będzie dalej.

- Wiem o ludziach, z którym wszedłeś w spółkę. Wiem, jak prowadzicie swoje interesy. Chodzi

wam tylko o zyski i nie wahać się ryzykować zdrowie i życie pracowników. Liczą się tylko pieniądze. - Potrząsnęła z oburzeniem głową. - Wiem wszystko.

- Kathleen ...

- Skończyłam już dochodzenie. Cykl artykułów jest prawie gotów. W niedzielnym numerze ukaże się pierwszy odcinek.

Patrick patrzył na nią i gorączkowo zastanawiał się, co ma powiedzieć. Był czwartek, a posiedzenie rady nadzorczej wyznaczono na wtorek rano. Od dnia publikacji artykułu do zwycięstwa dzieliły go zaledwie dwa dni. Te dwa dni mogą sprawić, że jego plan zakończy się klęską. Artykuł Kathleen wywoła taką burzę, że wszyscy jego przeciwnicy zaczną gorączkowo walczyć o życie.

- Co masz do powiedzenia? - nalegała.

Pomyślał, że ona jest przecież dziennikarką. Jego udany zamach w LelandFerguson z pewnością odbiłby się szerokim echem w Savannah i Nowym Jorku. Gdyby go opisała, z pewnością zwiększyłoby to sławę Williama Collinsa. Czy mógł jej zaufać? Wiele od tego zależało.

- Czasami pozory mylą, Kathleen - powiedział spokojnie.

- Doprawdy? - Pomachała mu przed nosem teczką z dokumentami. - Oto zebrane przeze mnie dowody. Mam tu wszystko czarno na białym. Jesteś w spółce z tymi szakalami. Jak mogłeś myśleć, że tego nie wygrzebię? Oczywiście zabrało mi to trochę czasu, popełniłam kilka błędów. Twój wspólnicy to wyjątkowo szczwane lisy. Takich chyba jeszcze nie spotkałam w swojej praktyce. Mam jednak w ręku wszystkie fakty. Zbierałam je tak długo, aż ułożyły się w całość.

- Fakty, dochodzenie, całość - Wzruszył ramionami. - To tylko słowa, Kathleen. Dotąd nie powiedziałaś niczego naprawdę ważnego.

- Czy to cię usatysfakcjonuje? - Kathleen uderzyła teczką o biurko. - Szwalnia przy River Street zatrudnia nieletnie. Ponad połowa pracownic nie skończyła jeszcze czternastu lat. A to? Magazyn i hurtownia alkoholu z przemytu. Mam wrażenie, że policja patrzy na to przez palce dodała z goryczą. - To dość zrozumiałe, bo z moich dokumentów wynika, że wśród udziałowców jest sędzia i policjant.

Urwała i spojrzała na niego z wyraźnym potępieniem. Patrick milczał.

- Czy to ci jeszcze nie wystarcza? Jesteś bezwstydnym, Patrick. Muszę przyznać, że kiedy dowiedziałam się o twoich powiązaniach, o udziałach w przedzalni, w której zginęła Meggy, byłam zaszokowana i zawstydzona.

Siedział nieruchomo, zaciskając kurczowo usta, lecz nie zaprzeczał. Kathleen знаła go na tyle, by wiedzieć, że jest wzburzony.

- Jednego nie mogę zrozumieć - dodała. - Masz przed sobą piękną przyszłość w firmie LelandFerguson. Mogłeś trzymać się tej korporacji i nie wdawać się w takie nielegalne operacje. LelandFerguson to potężna firma. Nic nie grozi waszym interesom w dziedzinie budowy okrętów i transportu morskiego. Po co ci takie podejrzane interesy?

Patrick odwrócił twarz w stronę okna. Kathleen widziała go teraz z profilu. Dostrzegła, jak zaciska mocno zęby.

- Czy nie masz nic do powiedzenia? - spytała ostrym tonem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zbiera się jej na płacz. Gdy chodziło o Patricka, zawsze była sentymentalną idiotką.

- Zaimponowałaś mi swoją dociekliwością - powiedział, patrząc jej w oczy. - Teraz rozumiem, dlaczego odniosłaś takie sukcesy w swoim zawodzie.

- Czy to wszystko? - spytała po dłuższej chwili.

- Nie. Mam jedną prośbę. Czy mogłabyś odłożyć publikację tego artykułu? Tylko o dwa dni.

Może ukazać się w środę - dodał pośpiesznie, gdy dostrzegł jej zdziwienie.

- Może ukazać się w środę? - powtórzyła z niedowierzaniem, że śmie jej coś takiego proponować.

- Lepsza byłaby następna niedziela - oznajmił bez zmużenia oka.

- Dlaczego miałabym się na to zgodzić? Żeby dać czas tobie i twoim kumplom na przygotowanie kontraktów? Żebyście zdążyli zabezpieczyć swoje inwestycje? Nic z tego. Możecie robić co chcecie, i tak nic wam nie pomoże. Kiedy ujawnię wszystkie fakty, skończą się, wasze złote interesy w Savannah i w całym stanie.

- A gdybym ci teraz obiecał, że będziesz miała jeszcze bardziej sensacyjną historię i że zagwarantuję ci wyłączny dostęp do informacji, to czy przełożyłabyś tę publikację?

- Zdumiewasz mnie. - Kathleen patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Czy sądzisz, że w to uwierzę? Czy nie słyszałaś, co ci powiedziałam? Z moich artykułów ludzie dowiedzą się prawdy o wielu mieszkańcach Savannah, także o tobie. Nie zaprzeczyłaś, że należysz do spółki. Nie, nie zgodzę się na zwłokę w zamian za obietnicę jeszcze większej sensacji, opierając się wyłącznie na twoim słowie. Nie mogę uwierzyć, że masz czelność o to prosić.

Patrick wiedział, że zebrane przez nią materiały bardzo go obciążają. Z jej punktu widzenia musiał wydawać się takim samym przestępcą jak pozostali. Nie mógł jej jednak tego wyjaśnić, ponieważ w tej chwili nie wolno mu było ryzykować.

- A może chodzi mi o ciebie? - powiedział ponuro. - Czy zapomniałaś, że walczyłeś z bardzo niebezpiecznymi przeciwnikami?

- Co to ma znaczyć, Patrick? Czy chcesz, żebym zrezygnowała z zawodu? Żebym przestała podburzać wykorzystywanych robotników z Savannah? Wybij to sobie z głowy. Nie zamierzam dać się zastraszyć jakimś draniom. Pierwszy artykuł ukaże się w niedzielę.

- Niech to diabli! - Patrick przestał nad sobą panować. - Czy ty nie słyszysz, co do ciebie mówię? Czy sądzisz, że pokornie stanę na uboczu i będę przyglądał się twoim wyczynom? A co będzie, jeśli ludzie, których zaatakujesz w tym swoim arcyważnym artykule, postanowią cię uciszyć na zawsze? Raz już cię straciłem, Kathleen, z powodu okrutnego zrządzenia losu. Nie pozwolę, żeby ...

- Nie masz nic do pozwalania! - Kathleen również dała się ponieść i patrzyła na niego płonącymi z gniewu oczami. - Od lat sama decyduję o tym, co robię. Mówiąc ściśle od dnia, kiedy wyjechałam z Kilkenny. Nie mam zamiaru rezygnować z niezależności dla żadnego mężczyzny, a zwłaszcza dla ciebie!

- Do cholery, co to ma znaczyć? Dlaczego zwłaszcza nie dla mnie? Chcę ...

- Nie potrzebuję żadnego opiekuna! - krzyczała. Nie waż się wykręcać kota ogonem. Mówimy tu o dziennikarstwie, a nie o możliwościach, jakie mam przed sobą jako kobieta. Jako dziennikarka nigdy nie rezygnuję z pisania o kontrowersyjnych problemach. Jeśli to urazi panów dyrektorów z LelandFerguson, to trudno, jakoś to przeżyję.

- Lepiej posłuchaj, co mówisz! - zawołał głośniejszym głosem niż ona. - To same głupstwa! Taka polityka może łatwo doprowadzić do tego, że zostaniesz zamordowana. Mam pełne prawo, żeby cię chronić. Moja żona.

- Nie jestem twoją żoną!

Zapadła cisza.

- Doprawdy? - powiedział po chwili zastanowienia. - Kiedy przyjechałaś ode mnie obrączkę, tej nocy przed moim wyjazdem z Irlandii, czy nie zostałaś moją żoną?

- Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że potrafisz zapomnieć, czym jest honor i uczciwość - odparła, patrząc na niego przez łzy.

- A mimo to poszłaś ze mną do łóżka. Spuściła oczy. - Jeśli mówisz prawdę, to wykorzystyłaś mnie. Znam na to pewne słowo - powiedział twardo. - Nie jest zbyt pochlebne.

- Nie! - Kathleen poderwała głowę. - To wcale tak nie było. Ja

- Tak, było dokładnie tak, jak powiedziałem. Jeśli nie możesz mi zaufać, jeśli nie wierzysz, że jestem takim człowiekiem, jak ci mówię, to mnie wykorzystyłaś.

Kathleen spojrzała na swoje ręce. Splotła je, żeby nie widać było ich drżenia.

- Mam jeszcze jedno pytanie - dodał ponuro. - Kiedy się o tym dowiedziałas?

- Kiedy? - Kathleen zamrugnęła oczami i pokręciła głową. - Kilka dni temu. - Wzruszyła ramionami. - Tego dnia, kiedy utonęła Caroline. Byłeś wtedy w Nowym Jorku.

- Skoro uznałeś, że zasługuję na wieczne potępienie, to dlaczego przyszedłeś do mnie w nocy po pogrzebie?

- Już ci powiedziałam. Sama nie wiem dlaczego. Czułam, że mnie potrzebujesz. W tym momencie wydawało mi się to najważniejszą rzeczą na świecie.

- Posłuchałaś serca - powiedział łagodnie. Z jego twarzy zniknął gniewny grymas i pogłaskał ją po policzku. - Być może powinnaś się zastanowić, czy nie zrobić tego jeszcze raz.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie należysz do tej kliki?

- Mówię ci, że możesz mi zaufać. Jak zawsze.

- Dlaczego miałabym ci ufać?

Nie mógł znieść widoku jej drżących ust. Pochylił się i szybko ją pocałował. Kathleen czuła, jak ogarnia ją fala zmysłowych wrażeń, wyzwalających w niej niemal bolesną błogość. Rozkoszowała się jego pocałunkiem, ale po chwili oprzytomniała i odepchnęła go od siebie.

- Nie, nie pozwolę ci na to! Najpierw musisz wyjaśnić, jaką rolę odgrywasz w tym wszystkim - zażądała i odsunęła się jeszcze dalej. Nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Wystarczyło kilka słów, jeden pocałunek, i natychmiast zapomniała o wszystkim.

Miała ochotę się rozplakać, ale nie mogła pozwolić, żeby miłość, nawet miłość do Patricka, oślepiła ją do tego stopnia. Nie mogła zrezygnować dla niego ze swych zasad, mimo że zawładnął jej sercem. Wiedziała, że nie będzie nigdy kochać żadnego mężczyzny tak jak Patricka, ale mogła żyć bez niego. Przekonała się o tym w ciągu minionych lat.

Tej nocy, leżąc w łóżku, Kathleen spojrzała prawdzie w oczy. Musiała przyznać, że przez chwilę naprawdę zastanawiała się, czy nie poczekać z publikacją swego cyklu. Gdyby Patrick przedstawił jakieś wyjaśnienie, gdyby zaprzeczył lub spróbował się bronić, pewnie zgodziłaby się na to.

Przewróciła się na bok i uderzyła pięścią w poduszkę. Uświadomiła sobie, że nawet teraz usiłuje znaleźć jakieś luki w swych dowodach, stara się usprawiedliwić jego perfidię. Dotknęła złotej obrączki, którą nosiła na szyi na jedwabnej tasiemce i zastanowiła się, ile trzeba czekać, nim miłość umrze.

Obudziła się wcześniej rano, czując gwałtowne bicie serca. Słońce dopiero przed chwilą ukazało się nad horyzontem. Słyszała głosy ze swego snu, pomieszane ze śpiewem ptaków. Dziwne głosy No, nie wszystkie. Niski, męski głos wydawał się jej znajomy, ale słyszała w nim dumę, radość i

szczęście.

Jakaś kobieta z dzieckiem przeszła przez trawnik i usiadła na ławce. Nigdzie nie widać było zieleni, była już późna jesień. To było dziecko z jej snu. Nagle zobaczyła, że jakiś mężczyzna wyciąga rękę do dziecka, które w tym momencie zmieniło się w kilkuletniego chłopczyka. Kathleen wstrzymała oddech. Tym mężczyzną był Patrick! Gdy zobaczyła jego uśmiech, poczuła gwałtowny skurcz serca.

Patrick i chłopczyk uścisnęli sobie ręce. Chłopiec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Kathleen czuła, jak krew napływa jej do głowy. Nie miała siły się ruszyć. Dlaczego tak zareagowała na ten sen? Nic w nim nie zapowiadało nieszczęścia. Widziała tylko Patricka z chłopcem i słyszała jego imię.

Co to może znaczyć?

Zerwała się z łóżka, zdjęła koszulę nocną, po czym wyciągnęła z szafy pierwszą lepszą sukienkę i szybko się ubrała. Drżała i nie mogła uporządkować swych myśli. W kilka minut później zbiegła na dół i odszukała Lea.

- Kathleen! Boże, co się stało? - Patrick zatrzymał się przy schodach. Był tylko w spodniach, miał mokre włosy i jeszcze nie zdążył się ogolić. Szybko ruszył na dół na jej spotkanie.

- Patrick, kto to jest Cameron? - spytała, nim zdążył zejść.

Stanął osłupiały, zbladł jak ściana i gwałtownie zamrugnął powiekami. Z trudem przełknął ślinę, po czym ruszył dalej, teraz już wolniej.

- Kto ci powiedział? Lizzie?

- Lizzie? - Kathleen zmarszczyła brwi. - Co ona ma z tym wspólnego?

- Nie, skąd ona mogła znać imię? Nikomu o tym nie mówiłem. Przysięgam, że ty dowiedziałabyś się pierwsza ...

- Czego miałabym się dowiedzieć? - zawołała. O czym ty mówisz, Patrick? Przyjechałam, żeby z tobą porozmawiać o moim śnie.

- O śnie?

- Tak, opowiedziałam ci o nim. O dziecku. Nie pamiętasz?

- Tak, pamiętam - przyznał z ociąganiem. - Dlaczego więc spytałaś o Camerona?

- Nie wiem. - Pochyliła głowę i potarła ręką czoło.

- Miałam sen. Słyszałam jakieś głosy. Słyszałam twój głos, Patrick - powiedziała i gwałtownie uniosła głowę. - Był tam jeszcze kilkuletni chłopiec i jakaś kobieta. Byliście w parku. Rozmawiałeś z

tym chłopcem.

- Boże! - Patrick spojrział na jej drżące usta, po czym zmusił się, żeby patrzeć jej w oczy. - To był..

- Co to znaczy, Patrick? Kim jest Cameron?

- Kathleen ... - Podszedł i wziął ją w objęcia. – Nie chciałem, żebyś wiedziała, dopóki ...

- Nie wiedziała o czym? - Odsunęła się tak, aby móc spojrzeć mu w twarz.

- Jak się tu dostałaś? - spytał nieoczekiwanie. Mam nadzieję, że nie przyjechałaś znowu sama?

- Leo mnie przywiózł - rzuciła niecierpliwie. - Co to ma za znaczenie?

- Ezra! - Patrick wezwał służącego, który stał w pobliżu i z ciekawością się im przyglądał. - Idź i powiedz Leo, że może wracać do domu. Sam odwiozę panią do domu.

Gdy Ezra wyszedł, Patrick wziął Kathleen za rękę.

- Chodź na górę, tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy chwycił ją na rękę i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz. Kathleen zarzuciła mu rękę na szyję. Gdy już byli w jego pokoju, spojrział na nią tak, że na chwilę wstrzymała oddech.

- Mam ci do powiedzenia coś ważnego. - Uniósł jej rękę i czule pocałował. - Zastanów się, kochanie. Czy w głębi serca nie wiesz, kim jest Cameron?

Kathleen czuła, że od nadmiaru uczuć kręci się jej w głowie. Bała się, że może zemdleć.

- Czy to mój syn? - szepnęła.

- To nasz syn, *mavourneen* - poprawił ją. - Cameron to dziecko naszej miłości.

- Więc on żyje - szepnęła.

- Żyje, kochanie. Urodził się silny i zdrowy. Dziś jest wspaniałym chłopcem.

Kathleen wybuchnęła płaczem. Patrick przytulił ją do siebie, szeptał czułe słowa, przeprosiny i obietnice, podczas gdy ona łkała z radości i zaskoczenia. Całował jej skronie i mokre od łez oczy i cieszył się, że choć dzieliło ich tak wiele, mógł z nią przeżywać tę chwilę.

Gdy Kathleen nieco się uspokoiła, była zbyt słaba, aby opuścić bezpieczną przystań jego ramion.

- Moje dziecko żyje - szepnęła. - Nie mogę w to uwierzyć.

- To prawda. Trudno w to uwierzyć, ale to prawda.

- To cud.

- Niewątpliwie - przyznał, całując kącik jej ust.

- Opowiedz mi wszystko.

- To długa historia, kochanie. To sprawka Parsonsów. To wszystko trwało od dnia, kiedy trafiłaś do domu Drummondów i skończyło się dopiero wtedy, gdy Max cię stamtąd zabrał.

- Mówisz o Amelii i Herbercie?

- Tak. Po tym, jak zostałaś uśpiona, akuszerka odebrała poród. To był zdrowy, silny chłopak. Herbert Parsons miał na ciebie ochotę, ale nie chciał żadnych komplikacji związanych z dzieckiem. Przygotował wszystko, żeby się go pozbyć. Zawsze można znaleźć ludzi, którzy gotowi są zapłacić za zdrowe dziecko. Jego matka zgodziła się na ten plan.

- Zawsze nazywał moje dziecko bękartem - mruknęła.

- Tak, ale myślę, że więcej tego nie zrobi - oświadczył, przypomniał sobie, jaką czuł satysfakcję, gdy zdzielił tamtego w twarz. Wiedział również, że Edward Drummond zwolnił Parsonsów. Spotkało ich to, na co zasłużyli, choć dopiero po sześciu latach. Trzymając Kathleen w ramionach, Patrick opowiedział jej całą historię.

- Zacząłeś to podejrzewać, kiedy opowiedziałam ci swój sen?

- To było tak niewiarygodne, że nie pozwalałem sobie nawet na promyk nadziei - odpowiedział spokojnie. - Im więcej o tym jednak myślałem, tym bardziej w to wierzyłem. Coś mi mówiło ... Jedyna osoba, która mogła mi jakoś pomóc, to Lizzie.

- Lizzie? - zdziwiła się Kathleen. - Nigdy o tym nie wspomniała.

- Widzisz teraz. - Patrick uniósł jej twarz i spojrzał jej w oczy. - Twoje zdolności jasnovidzenia są darem, nie klątwą. Gdyby nie twoje wizje, nie odnaleźlibyśmy Camerona.

- Chcę go zobaczyć - powiedziała po chwili. - Czy to możliwe?

- Tak, ale sądzę, że nie powinniśmy tego robić. Jeszcze nie pora. Wynająłem adwokata. Lepiej poczekajmy, aż on wyjaśni, jak sytuacja wygląda z prawnego punktu widzenia.

- Nie chcę czekać.

- Wiem, kochanie. - Patrick pocałował ją w czubek głowy. - Jeśli jednak zastanowisz się trochę, sama dojdiesz do wniosku, że tej sprawy nie można przyspieszać na siłę. Znacznie bezpieczniej i rozsądniej jest pozostawić to w rękach adwokata.

- Przecież oni ukradli moje dziecko, Patrick. Nie mają do niego żadnych praw. Po co tu adwokat?

- Rozumiem twoje uczucia, ale nie możemy ich płoszyć. Mogą ukryć gdzieś Camerona i wtedy sytuacja się skomplikuje.

- Czy sądzisz, że to możliwe?

- Nie, raczej nie. To właściwie mało prawdopodobne. Nie znamy jednak tych ludzi, więc musimy działać ostrożnie. Oprócz tego nie chcę, żebyś jechała sama do Nowego Jorku, a jutro mam tu ważne spotkanie. Obiecuję, że później zajmę się wyłącznie odzyskaniem naszego dziecka.

- Jak on wygląda, Patrick? - Kathleen przytuliła się do niego. - Jestem pewna, że jest podobny do ciebie.

Patrick uśmiechnął się i przypomniał sobie synka.

- Wygląda jak mężczyźni z mojej rodziny, ale ma twoje zielone oczy.

- Ciemne włosy i upartą brodę?

- Tak jak jego mama - zaśmiał się Patrick.

- Chciałeś powiedzieć, jak jego ojciec!

- Będziemy musieli podzielić się odpowiedzialnością za tę cechę - powiedział, gładząc ją po plecach. -W każdym razie, Cameron jest cudownym chłopcem i nie mogę się doczekać, kiedy się spotkacie.

- Dziękuję ci - szepnęła, ocierając się policzkiem o jego pierś.

- To ja ci dziękuję - odrzekł z uśmiechem i przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Uniósł się na łokciu i spojrzął na nią z góry. - Długo o tym marzyłem - powiedział, wsuwając palce w jej włosy. Wczesny poranek, tylko my dwoje.

ROZDZIAŁ 16

Chciała zaprotestować, lecz nie zdążyła, bo Patrick przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Patrick zerknął kątem oka na Kathleen i zmarszczył brwi. Wiedział, że powinna rozpierać go radość, a tymczasem czuł się wyraźnie nieswojo. Kathleen siedziała w samochodzie obok niego z dziwnym marsem na czole. Czyżby miała wyrzuty sumienia, bo się kochali? Nie, to niemożliwe. Ich miłość była czymś słusznym i dobrym. Patrick żałował tylko, że nie mogą być razem dłużej. Chciał spędzić z nią cały dzień, lecz właśnie tego dnia było to niemożliwe. Musiał szybko odwieźć ją do domu i

jechać do stoczni. Jakimś cudem zdołał przyspieszyć posiedzenie rady nadzorczej, które miało być uwieńczeniem jego kilkuletnich starań. Jeśli wszystko się uda, w jego życiu nastąpi wielka zmiana.

Również w życiu Kathleen. Wiele musieli przeżyć, żeby się spotkać ponownie, lecz w końcu przeznaczenie dało im szansę. Patrick wierzył, że połączyli się już na zawsze. Jeśli dopisze mu szczęście, wkrótce będą mieli za sobą ostatnią przeszkodę.

Zerknął na nią ponownie. Kathleen wydawała się smutna, jakby zrezygnowana. Dlaczego?

Bolało go to, że Kathleen nie ma do niego zaufania, ale rozumiał ją. Zaufanie dotyczy obu stron, a on także nie mógł jej w tej chwili zaufać. Na szczęście, już wkrótce będzie mógł jej wszystko opowiedzieć. Ciekaw był, jak zareaguje, gdy dowie się, co przygotowywał przez tyle lat.

- Dlaczego stajemy? - spytała, gdy skręcił w bramę stoczni i skierował się do biura.

- Mówiłem ci, że mam spotkanie. Muszę uprzedzić, że się spóźnię. To potrwa minutę. Zaraz zawiozę cię do redakcji.

- Nie powinieneś być odsyłać Lea do domu. Mógł poczekać.

- Dwie godziny? Ciekawe, co by sobie pomyślał.

- Wobec tego nie powinnam była siedzieć u ciebie tak długo. - Patrick ... - Na jej policzkach pojawiły się ciemne rumieńce, bo przypomniała sobie, jak mówił, że go wykorzystwała.

- Nieważne. - Machnął ręką, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. - Poczekaaj tutaj. Tylko bez żadnych głupstw! Zablokuj drzwi i nie wysiadaj. Zaraz wracam. Muszę tylko wszystkich uprzedzić, że posiedzenie się odbędzie. Teraz, kiedy zbliża się godzina próby, mogą sobie pomyśleć, że się wycofuję. Czekaj tu!

- Tak jakbym miała możliwość wyboru - mruknęła i odprowadziła go wzrokiem do wejścia.

Godzina próby? Ciekawe, co miał na myśli? Rozglądała się wokół, na próżno usiłując rozgryźć tę zagadkę. Mimo kryzysu, stocznia pracowała na pełnych obrotach. Na pobliskiej pochylni leżał już kil kolejnego okrętu patrolowego. Kathleen znów zaczęła dociekać, dlaczego Patrick wszedł w spółkę z jakimiś podejrzanymi typami, skoro miał zapewnioną przyszłość. To wydawało się nie do pojęcia.

Nieobecny wzrokiem patrzyła, jak do biura zbliżają się dwaj mężczyźni. Jeden miał na sobie garnitur i kapelusz. Ciekawe, czy też przyszedł tu na "godzinę próby"? Drugi wyglądał na robotnika; był wysoki, miał na sobie kombinezon, wełniany sweter i okrągłą czapkę. Wprawnym okiem dziennikarza natychmiast zauważyła, że ci dwaj się kłócą. Słyszała ich głosy, ale nie mogła odróżnić słów. Głos wysokiego wydał się jej nieprzyjemny i dziwnie znajomy. To ją zainteresowało. W tym momencie z biura wyszedł Patrick i tamci, jak na sygnał, przerwali rozmowę. Mężczyzna w garniturze przywitał się z Patrickiem, a drugi usunął się na bok.

Z jakiegoś powodu nie mogła oderwać od niego oczu. Kiedy mijał róg budynku, uświadomiła sobie, że kogoś jej przypomina. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła, jak wyciąga z kieszeni dużą chusteczkę, zdejmując czapkę i wyciera głowę.

Niewiele brakowało, a zaczęłaby krzyżeć. Mężczyzna był zupełnie łysy! Był wysoki, mocno zbudowany i miał ochrypy głos, więc nic dziwnego, że wydał się jej znajomy! To właśnie on napadł na nią w magazynie!

Bez zastanowienia wyskoczyła z samochodu i ruszyła za nim.

- Kathleen! - zatrzymał ją ostry głos Patricka. Stojący obok mężczyzna spojrzał na nią z zaniepokojeniem. - Kathleen, już jedziemy - powiedział z naciskiem Patrick, ale nie zwróciła na to uwagi. Myślała tylko o tym, żeby doścignąć robotnika.

- Kathleen!

- Chwileczkę, Patrick - zawołała, niecierpliwie machając ręką. Tamten właśnie schował się za wielką szpulą stalowej liny. Kathleen już miała rzucić się w pościg, gdy Patrick chwycił ją za rękę.

- Powiedziałem ci, że masz czekać w samochodzie, do diabła! - warknął przez zęby.

- To on, Patrick! - Kathleen na próżno usiłowała się wyrwać. - To ten, który napadł na mnie w magazynie!

- Przestań mówić, na litość boską! - syknął Patrick tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć.

- Co? - Nie była pewna, co robić.

Mężczyzna w garniturze, stojący obok, przyglądał się im z wyraźnym zainteresowaniem. Patrick zwrócił się do niego, nie puszczając ręki Kathleen.

- Muszę odwieźć panią Collins do redakcji, Sculley - powiedział. - Możecie zaczynać posiedzenie. Będę nie później niż za pół godziny. Do tego czasu niech przewodniczy Russ Whitley.

- Czy masz pełnomocnictwo Fergusonsona? - spytał Sculley, zachowując kamienny wyraz twarzy.

- Tak - odpowiedział Patrick, patrząc mu w oczy.

- Czy może coś ci się nie podoba?

Przez chwilę panowała pełna wrogości cisza.

- Myślisz, że jesteś wielkim cwaniakiem, prawda, O'Connor? - rzucił Sculley. Nie czekając na odpowiedź, kiwnął głową w kierunku Kathleen, odwrócił się i wszedł do biura.

- On cię nienawidzi! - zauważyła Kathleen, na chwilę zapominając o tamtym łysym.

- Wiem, i wcale mnie to nie dziwi. Dziś mam zamiar go wykończyć. - Kto to?

- Ben Sculley.

Kathleen przypomniała sobie, że to nazwisko znajdowało się na liście właścicieli przedzalni. Kolejny typ z paczki Patricka, ale raczej nie jego przyjaciel.

- Sculley był najbliższym współpracownikiem Wade'a - wyjaśnił - ale jeszcze na długo przed wylewem Wade zaczął wątpić, czy jest uczciwy.

- Ach, rozumiem.

Odrzucona kobieta potrafi być groźna, ale to samo dotyczy odrzuconego mężczyzny. Jej zdaniem, Sculley był wściekły.

- Powiedziałem ci, żebyś czekała w samochodzie powiedział Patrick i potrząsnął ją za ramię. - Co cię napadło, żeby biegać po stoczni?

- Powiedziałam ci, że rozpoznałam tego łysego mężczyznę

- I postanowiłaś go dogonić, żeby poprosić o wywiad - zakpił.

- Przyznaję, że chciałam go dogonić. Co może mi zrobić na oczach setek ludzi?

- Kobieto, wpędzisz mnie do grobu - westchnął i wzniosł oczy do nieba, po czym delikatnie popchnął ją w kierunku packarda. - Raz jeszcze proszę cię, żebyś mi zaufała. Już tylko jeden dzień. Jeśli do wieczora nie rozwieję wszystkich twoich wątpliwości, to przysięgam, że możesz mnie porzucić, a ja nie zrobię nic, żeby cię zatrzymać.

- Czy masz zamiar zignorować to, co ci powiedziałam? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - To ten łysy napadł na mnie w magazynie.

- Wcale tego nie ignoruję. Sam go podejrzewałem.

- I nie zawiadomisz nawet policji?

- Jeszcze nie.

- Czy on ma coś wspólnego z Benem Sculleyem?

- Dlaczego o to pytasz?

- Zanim wyszedłeś z biura, ci dwaj się kłócili.

Patrick zatrzasnął za nią drzwi i obszedł samochód, żeby wsiąść z drugiej strony.

- Zaufanie polega również na tym, że nie będziesz zadawać mi pytań, dopóki nie będę mógł na wszystkie odpowiedzieć.

- Wcale nie obiecywałam, że będę ci ufać.

- Owszem, obiecałaś.

- Kiedy?

- Ponad sześć lat temu - odpowiedział krótko - To cię nadal obowiązuje.

Gdy została sama w redakcji, zmusiła się, żeby nie myśleć ani o odnalezionym dziecku, ani o chwilach, które spędziła w sypialni Patricka. Wzięła się do pracy, która zawsze działała na nią uspokajająco. Wyszlifowała swój pierwszy artykuł, który miał się ukazać w niedzielę, i gdy wreszcie

ze wszystkiego była zadowolona, posłała go do składu.

Oto przypieczętowałam los mężczyzny, którego kocham, skonstatowała posepnie. Ten artykuł musi zniszczyć opinię Patricka.

Nagle wstała i podeszła do okna. Nie wiedziała, dlaczego nie może pozbyć się poczucia, że coś jest nie tak. Dlaczego nagle straciła pewność co do słuszności swej decyzji o rozpoczęciu druku artykułów? Wprawdzie miała dowody na wszystkie fakty, jakie opisywała, ale mimo to czuła, że popełnia błąd. Na chodniku przed redakcją czekał Leo i gawędził z jakimś znajomym. Zgodnie z rozkazem Patricka, zawsze jej towarzyszył, gdy wychodziła z domu. Nie dlatego, żeby ograniczyć jej niezależność, lecz by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Czy naprawdę tak zachowywałby się człowiek skorumpowany?

Pojechał do Nowego Jorku, żeby odnaleźć ich dziecko. Nic jej o tym nie powiedział, żeby nie cierpiała w razie niepowodzenia.

Czy tak zachowywałby się człowiek, któremu na niej nie zależy?

Był czułym, kochającym ojcem dla Jessy i odnosił się troskliwie do chorego teścia, choć to Wade Ferguson skłonił go do poślubienia Caroline.

Czy tak zachowywałby się człowiek nieuczciwy? Przez całe lata dotrzymywał ślubnej przysięgi, choć Caroline od pierwszych dni nie kryła swych zdrad.

Czy tak zachowywałby się człowiek bez honoru? Wciąż myślała o tym samym. Jeśli rzeczywiście wierzyła w jego winę, to dlaczego coś ją pcha w jego ramiona? Czy mogła kochać człowieka nieuczciwego i pozbawionego poczucia honoru? Wiedziała, że to niemożliwe.

Jak zatem wyjaśnić fakt, że jego nazwisko znalazło się na liście właścicieli przędzalni? W tym kryła się jakaś tajemnica, której, mimo wszystkich starań i słynnego dziennikarskiego nosa, nie udało się jej wyświetlić. Niezależnie jednak od tego, co się za tym wszystkim kryło, właśnie w tej chwili w biurze Patricka mogłaby dowiedzieć się prawdy. Zamiast tam zostać, pozwoliła Patrickowi odwieźć się do redakcji, gdy na scenie pojawili się Sculley i ten zbir. Gdyby została, nie zadawałaby sobie teraz tych pytań ani nie dręczyłyby jej wątpliwości, czy słusznie kocha Patricka. A może on tylko gra jakąś rolę?

Pewnie tak, pomyślała i zdecydowanym ruchem sięgnęła po płaszcz. Patrick ułożył jakiś skomplikowany plan i dziś ma nastąpić wielki [mał, "godzina próby" - cokolwiek to znaczy.

- Wychodzisz?

- Max - Kathleen na próżno usiłowała przywołać na twarz uśmiech.

- Hm, to dziwna mina jak na kogoś, kto właśnie skończył artykuł, z którego byłby dumny każdy naczelny redaktor.

- Naprawdę tak myślisz? - Kathleen wzruszyła ramionami.

- Naprawdę. To znakomity tekst. Jeśli pozostałe odcinki będą równie dobre, to możesz zacząć myśleć o nagrodzie Pulitzera.

- Albo o sprawie w sądzie.

- Hm ... - Max wszedł do jej pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. - To brzmi groźnie, nawet jeśli to żart. Jakiej sprawie? Czy drukujemy oszczerstwa? Czy nie mamy dowodów na wszystkie twierdzenia?

- Jakie takie.

- A więc powinnaś się uśmiechać - zauważył Max i usiadł w fotelu.

- Chyba żartowałam - mruknęła. - Dowody są solidne. Nie mamy się o co martwić. Tylko ...

- Tak? - Max uniósł brwi.

- Dzisiaj, kiedy Patrick mnie tu przywiózł, wszedł na chwilę do ciebie - powiedziała, zatrzymując się przed nim. - O czym rozmawialiście?

- O twoim bezpieczeństwie - odpowiedział Max bez wahania.

- Dlaczego rozmawiał o tym z tobą? Mógł rozmawiać bezpośrednio ze mną.

- Patrick jest na tyle staroświecki, że jego zdaniem mężczyzna, który kocha kobietę, odpowiada za jej bezpieczeństwo - uśmiechnął się Max. - On wie, że ja kocham cię niemal tak jak on.

- To chyba nie wszystko, Max.

Przyjrzał się jej uważnie i po chwili podjął decyzję.

- Mówiliśmy o wielu sprawach, między innymi o twoim dziecku. Patrick niepokoił się, że zlekceważysz jego radę i pojedziesz do Nowego Jorku, zanim on skończy ze swoimi sprawami. Błagał mnie, żebym temu zapobiegł.

- Patrick nikogo nie błaga.

- Owszem, gdy chodzi o jego ukochaną.

- Chyba dobrze mnie zna - przyznała, siadając na skraju biurka. - Chcę jechać do Nowego Jorku. Ukradziono mi dziecko i nie spocznę, dopóki go nie odzyskam. Obiecałam mu jednak, że zostawię załatwienie tej sprawy adwokatowi i dotrzymam słowa. Ale ... - Urwała i potarła nerwowo czoło. - Muszę się wreszcie na coś zdecydować.

- O czym myślisz?

- O Patricku. Czy mimo wszystko mam mu wierzyć, czy mam wierzyć w niego? - Kathleen nagle się wyprostowała

- Max, on chyba nie jest w to wszystko zamieszany! On nie zrobiłby czegoś takiego. Za dobrze go

znam. Ludzie nie zmieniają się aż tak.

- Jesteś tego pewna? - Max uśmiechnął się, jakby skrywał przed nią jakiś sekret.

- Tak. Jestem pewna. Wierzę w Patricka. - W tym momencie poczuła, że zrobiło się jej lekko na sercu. Nagle zyskała pewność, że ma rację.

- A więc co masz zamiar zrobić? - spytał i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Przede wszystkim, wstrzymaj pierwszy artykuł. Mam przeczucie, że gdybyśmy go wydrukowali, przysłoby nam gorzko tego żałować. A teraz - Kathleen podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko

- chcę znaleźć Patricka. Musi mi wszystko do końca wyjaśnić, choćbym miała zamknąć się z nim w pokoju i wyrzucić klucz przez okno.

Gdy wychodziła, słyszała za plecami cichy śmiech Maxa.

Patrick zaparkował przed redakcją "Sentinela" dokładnie w momencie, gdy Leo pomagał Kathleen wsiąść do wielkiego hudsona. Gdy go zobaczyła, na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Szepnęła coś do Lea, wysiadła z samochodu i podeszła prosto do niego.

- Cześć - powitała go stłumionym głosem. - Nie myślałam, że przyjedziesz tak wcześniej. - Patrick nie zareagował na jej uśmiech. Nie wyglądał na człowieka, który właśnie z powodzeniem zrealizował swoją misję. Kathleen spoważniała. - Czy spotkanie nie potoczyło się po twojej myśli?

- Wszystko ułożyło się doskonale - odrzekł chłodno i spojrzał na stojącego przy hudsonie Lea. - Zdaje się, że gdzieś się wybierałaś.

- Tak, ja ...

- Na stację kolejową?

- Na pociąg? Nie. Wybierałam się do twojej stoczni. Patrick zerknął na Lea, jakby oczekiwał na potwierdzenie jej słów.

- To prawda, Patricku. Chciałam ci zadać parę pytań.

- Znowu pytania - westchnął. - Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz! - zniecierpliwiła się Kathleen - Chciałam ci powiedzieć, że nie wierzę, żeby twoje nazwisko słusznie znalazło się na tej liście. - Jakiej liście?

- Liście bogaczy z Savannah, którzy są współwłaścicielami fabryk zatrudniających nieletnich, szmuglujących alkohol i łamiących prawo morskie ... Mam mówić dalej?

- Nie, już kiedyś słyszałem streszczenie twojego artykułu. Czemu teraz uważasz, że jestem niewinny?

Gdy pół godziny temu postanowiła mu wierzyć, poczuła się tak, jakby potrafiła latać. Koniecznie chciała mu o tym powiedzieć i miała nadzieję, że on się z tego ucieszy. Jego chłód zgasił jej

entuzjizm.

- No więc? Jak do tego doszło, że nie jestem już skorumpowanym draniem?
- To kwestia wiary - powiedziała.
- Wiary?
- I zaufania.
- Wiary i zaufania.
- Tak - zapewniła go, zniecierpliwiona przebiegiem rozmowy. - Mimo że robiłeś wszystko, co mogłeś, żeby trudno ci było wierzyć i mieć do ciebie zaufanie.
- Jesteś pewna, że nie zmieniłaś zdania po naszym komunikacie prasowym?
- Jakim komunikacie? - Pokręciła głową. - Nie widziałam żadnego komunikatu.

Patrick spojrział na Lea, który pilnie przyglądał się własnym butom. Za nim, przy drzwiach redakcji, stał Max, trzymając w dłoni kartkę papieru. Pomachał nią Patrickowi. Kathleen wydawała się zdezorientowana.

- Czy chcesz powiedzieć, że Max nie pokazał ci komunikatu, który przysłałem do redakcji godzinę temu? - spytał Patrick, patrząc jej w oczy. - Nie wiedziałas, że ja

- Nie widziałam żadnego komunikatu. Od naszego rozstania starałam się jakoś pogodzić z myślą, że cię kocham.

- Wbrew wszystkim dowodom, jakie zebrałaś w ciągu kilku tygodni?

- Tak, wbrew tym dowodom.

- I co z nimi teraz zrobisz, *mavourneen*? - spytał, gładząc jej dłoń.

- Nie wiem. Nie wierzę w nie - powiedziała, przyglądając mu się szeroko otwartymi oczami. - Nie potrafię tego wyjaśnić, ale po prostu wierzę, że jesteś uczciwym człowiekiem.

Patrick przygarnął ją do siebie i mocno pocałował, nie zwracając uwagi na Maxa, Lea i przechodniów. Kierowcy przejeżdżających obok samochodów naciskali na klaksony.

Gdy wreszcie wypuścił ją z objęć, z trudem chwytła powietrze. Była zawstydzona i szczęśliwa. Gdy spojrzała na Patricka, zauważyła, że z jego twarzy zniknęła wyniosłość. Znów ogarnęła ją radość i uśmiechnęli się do siebie.

- Bałem się, że nigdy nie będziesz mi ufać - westchnął Patrick.

- Teraz, skoro już wiesz, że ci ufam, mógłbyś chyba mi coś wyjaśnić? - poprosiła z uśmiechem.

- Wszystko w swoim czasie. - Otworzył drzwi swojego samochodu i zaprosił ją do środka. -

Wsiadaj. Jedziemy do domu. Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

- Do domu?

- Na razie do mojego obecnego domu - odpowiedział i spojrział na nią niespokojnie. - Zgadzasz się? - Wszystko mi jedno, chcę być z tobą.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym pstryknął palcami, podbiegł do Maxa i bez słowa wziął od niego komunikat prasowy.

- Masz, czytaj. - Podał go Kathleen, gdy już siedział za kierownicą. Włączył silnik i ostro nacisnął gaz. Gdy podjeżdżali do wielkiej rezydencji z białymi kolumnami, Kathleen właśnie kończyła czytać komunikat. - Całkowicie zreorganizowałeś waszą firmę - powiedziała ze zdumieniem. - Teraz ty jesteś prezesem.

- Aha - mruknął. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

- Wyleciało kilku członków rady i zarządu, w tym również John Leland.

- No, to trochę za ostre określenie, zwłaszcza w stosunku do Johna Lelanda - powiedział, opierając się łokciami o kierownicę. - Przekonaliśmy go, żeby przeszedł na emeryturę. Ma już prawie osiemdziesiąt lat, więc nie powinien narzekać.

. - Niektórzy z tych ludzi są na mojej liście. - Ach, tak. Ta osławiona lista.

- Oni również odeszli.

- Owszem. Wszystkie ich machinacje wyszły na jaw. Savannah to dla nich drobiazg. Działali na całym Wschodnim Wybrzeżu. Robili ogromne pieniądze wykorzystując robotników, zatrudniając nieletnich, szmuglując alkohol, i tak dalej. Pisałaś o tym wszystkim.

- Nie udało mi się tylko wyjaśnić twojej roli.

- Tak, ale ja dobrze zacierałem ślady. Kiedy nikt nie zna sekretu, to łatwo o dyskrecję.

- Naprawdę nikt nie znał twoich planów?

- Wade wiedział, ale dopiero od niedawna.

- Cieszę się, że ci się udało - powiedziała, gdy wysiedli z samochodu. - To wielki sukces.

- John Leland faktycznie przestał kontrolować firmę już dziesięć lat temu - wyjaśnił, wprowadzając ją do domu. - Wtedy też zaczęły się kandy, takie jak oszczędności przy budowie i konserwacji statków, zwiększanie liczby pasażerów ponad normę, zwłaszcza na statkach do przewozu imigrantów.

- Jak w przypadku "Irish Queen".

- Właśnie. Kiedy myślałem, że utonął, przysięgłem sobie, że zniszczę Lelanda. To było ambitne przedsięwzięcie. Tylko ktoś zupełnie pozbawiony doświadczenia może wpaść na taki pomysł. Gdy Wade Ferguson zaproponował mi pracę, uznałem to za uśmiech losu. Później doszło do fuzji z Lelandem.

- Najbardziej męczył mnie twój związek z tą grupą biznesmenów z Savannah - powiedziała. - Dlaczego dołączyłeś się do nich?

- Kluczową rolę odgrywali tam ludzie Lelanda.

Działając od środka, mogłem lepiej poznać ich praktyki. - Patrick spochmurniał, po czym ciągnął: - Szefem tej grupy był Ben Sculley. Pod wpływem twoich artykułów niektórzy udziałowcy chcieli się wycofać i dlatego Sculley najął Arta Schoemakera, tego łysego zbira, żeby cię nastraszył.

- Czy to on był kierowcą tego samochodu, który niemal przejechał mnie przed klubem?

- Pewnie tak, ale prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. W każdym razie Sculley spróbował wyjechać z Savannah. Prysnał, kiedy tylko zorientował się, co dzieje się na posiedzeniu rady. Policja z pewnością go złapie. Schoemaker już został aresztowany. Obaj posiedzą parę latek, zapewniam cię.

Patrick wziął ją za rękę i poprowadził na górę. - Dokąd idziemy? - spytała lekko zdyszana.

- Do jedynego miejsca, gdzie będziemy mieli spokój, czyli do mojej sypialni. - Przystanął i spojrzał na nią. - Chcesz?

- A co masz na myśli? - Kathleen położyła dłonie na jego ramionach i uśmiechnęła się ciepło.

Patrick cicho się zaśmiał i objął ją w pasie.

- To. - Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Kathleen rozchyliła wargi i oddała mu pocałunek.

Mieli przed sobą długie lata miłości. Teraz wystarczała jej świadomość, że wreszcie są razem, naprawdę razem i że nigdy się nie rozstaną. Obietnica, jaką sobie złożyli w pierwszych dniach ich młodości, niewinnej miłości, wreszcie doczekała się spełnienia.

EPILOG

Kathleen skończyła czytać ostatnią notatkę w swoim dzienniku. W ogrodzie panowała niezmacona niczym cisza, w powietrzu unosił się odurzający zapach róż. Gdy zbliżyła się do niej wnuczka, podniosła głowę, lecz w dalszym ciągu myślała o przeszłości.

Shannon czuła, że wzruszenie dławi ją w gardle.

Spojrzała na stare dłonie babki, na jej palce zaciśnięte na wyblakłej wstążeczce. Kiedyś była koloru nieba. Czy była tak niebieska jak oczy Patricka? Teraz Shannon zauważyła błysk złota. To była obrączka, którą Patrick

przypieczętował obietnicę, jaką złożyli sobie przy pożegnaniu młodzi kochankowie.

Shannon odwróciła się i cicho odeszła, pozostawiając Kathleen samą ze swymi wspomnieniami.

15 marca 1934 r.

Dziś, z boską pomocą spełniło się moje najgłębsze marzenie. Patrick i ja pojechaliśmy razem do Nowego Jorku. Jak powiedział, mieliśmy tam spotkać się z prawnikiem. Byłam bardziej zdenerwowana niż tego dnia, kiedy wsiadłam na statek, żeby popłynąć do Stanów; bardziej niż tydzień temu, gdy brałam ślub. Wiedziałam, że szykuje się jakaś niespodzianka. Zawsze potrafię odgadnąć, że Patrick coś planuje. Zamiast pojechać na Manhattan na spotkanie z adwokatem, pojechaliśmy prosto na Long Island, do parku. Poznałam go: to był ten sam park, który widziałam we śnie. Po drugiej stronie trawnika czekał na nas starszy pan z małym chłopcem. Patrzyli na nas, gdy szliśmy w ich stronę, brodząc po kostki w zeschniętych liściach. Do końca życia nie zapomnę tej chwili, gdy stanęliśmy przed nimi.

- Kochanie, oto Cameron - powiedział Patrick ze łzami w oczach.

Chłopiec podał mi swoją małą rączkę i po raz pierwszy dotknęłam swojego syna. Kolana tak mi drżały, że z trudem utrzymałam się na nogach.